



WARZECZA KRYTYCZNIE O NOWYCH PRZEPISACH

**Żołnierze i ich prawo do użycia broni
w obronie granicy Polski**

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 27/585 1-7 LIPCA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

JEGO MISJĄ JEST ZEMSTA

**Saga rodu Le Penów
– długi marsz na Paryż?**



**PODRÓŻE
Z PAŁKIEWICZEM
– WAKACYJNY
CYKL „DO RZECZY”:
JAK SIĘ PRZYGOTOWAĆ
DO WYPRAWY**

**Wojna domowa
w ukraińskich okopach**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



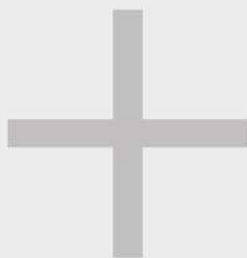
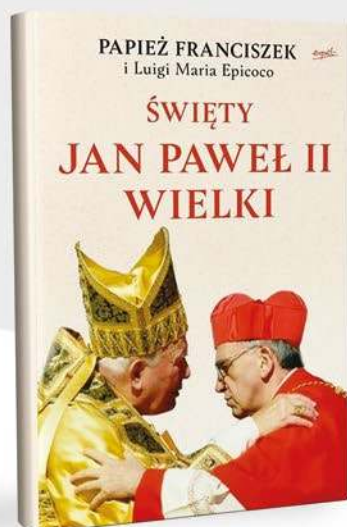
Nakład: 51 500 egzemplarzy

eprasa.pl 422403adc8

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



489zł

234,00zł
OSZCZĘDNOŚĆ 255 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 422403adc8

Wstrząs, który wywołał Trump



PAWEŁ LISICKI

Czytając polskie media, a ściślej – czytając ogół liberalnych mediów europejskich (polskie zwykle po prostu powielają przekazy dnia), można dojść do wniosku, że Donald Trump jest albo kompletnym idiotą, albo rosyjskim agentem wpływu. Przy czym propagandystom nie przeszkadza ani to, że mowa tu o byłym prezydencie USA, którego decyzje i działania polityczne można sprawdzić i ocenić, ani to, że zanim owym prezydentem został, należał do grupy najbogatszych amerykańskich biznesmenów, co sugeruje, że musi znać reguły rządzące światem i kierować się rozsądkiem, ani też to, że mimo potwornie silnej konkurencji i wściekłego ataku demokratów zdołał zostać kandydatem republikańskim na kolejną kadencję.

Nie, Trump ma być przedstawiony jako ktoś w rodzaju chłopka-roztropka, wiejskiego głupka, który to nie rozumie wielkich i złożonych procesów politycznych czy geopolitycznych. Te rozumieją za to doskonale redaktorzy właściwych mediów, niczym papugi powtarzające te same kalki.

Doskonale pokazuje to ostatnia wypowiedź Trumpa dotycząca przyczyn wojny na Ukrainie. Proszę zerknąć do Internetu: niemal wszystkie polskie media, każde z osobna i całkowicie od siebie niezależnie stwierdziły, że była ona szokująca. A teraz przyjrzyjmy się, co konkretnie tak zszokowało kilkadziesiąt polskich redakcji.

„Przez 20 lat słyszałem, że NATO to prawdziwy problem dla Rosji. Słyszałem to od długiego czasu i myślę, że to jest tak naprawdę powód, dla którego ta wojna się zaczęła” – stwierdził były amerykański prezydent. Trump dodał, że przystąpienie Ukrainy

do sojuszu północnoatlantyckiego byłoby „szaleństwem”, stwierdził też, że Joe Biden może doprowadzić do wywołania trzeciej wojny światowej. Otóż Trump – niezależnie od tego, co się sądzi na temat jego sądów – nic szokującego nie powiedział. Teza, zgodnie z którą USA, dążąc do rozszerzenia NATO o Ukrainę, przyczyniły się do wojny, nie jest niczym zaskakującym: tak uważają różni inni znawcy geopolityki. Dokładnie taką samą tezę stawiają wybitni amerykańscy politolodzy, jak John Mearsheimer, Jeffrey Sachs czy inni. Ten pierwszy stwierdził nawet ostatnio, że nie istnieje żaden najmniejszy dowód na to, że dokonując inwazji na Donbas w 2022 r., Rosja zamierzała podbić całą Ukrainę. Najważniejszym powodem wybuchu konfliktu i napaści Moskwy było przekonanie Kremla, że Ukraina łada moment zostanie przyjęta do sojuszu, co Rosjanie uznali za bezpośrednie zagrożenie dla swojego bezpieczeństwa. Moskwa uważała, że Ukraina w NATO byłaby przyczółkiem służącym do narzucenia Rosji hegemonii politycznej i kulturowej Zachodu. Inwazja w lutym 2022 r. nie była, zgodnie z takim rozumieniem, pierwszym krokiem do powszechnego podboju. Chodziło o wymuszenie na Waszyngtonie rezygnacji z planów wciągnięcia Ukrainy do NATO.

Jest to, jak łatwo zauważyć, opis sytuacji diametralnie inny niż ten, który dominuje w polskich mediach, zgodnie z którym jedynym powodem wojny jest imperialne dążenie Rosji do podboju jak największej części świata. Zgodnie z kolei z tą wizją atak na Donbas był wstępem do zdobycia całej Ukrainy, a następnie do ataku na NATO. Rosja obecna idzie szlakiem wytyczonym przez Związek

Sowiecki i chce zdobywać kolejne obszary, które niegdyś wyrwały się z podległości. Mearsheimer i inni odpowiadają, że teza ta nie ma oparcia w faktach. Po pierwsze, zwracają uwagę na nieproporcjonalność środków użytych podczas inwazji w 2022 r. przez Rosjan do celu, którym miałyby być podbicie Ukrainy. Wskazują też, co często zauważa inny zwolennik Trumpa, premier Węgier Viktor Orbán, na przewagę militarną NATO (a więc USA i państw Europy łącznie) nad Rosją, z czego wynika, że bezpośredni atak na sojusz nie wydaje się prawdopodobny. Dlatego też tak Trump, jak jego doradcy sądzą, że kluczem do pokoju na Ukrainie musi być oficjalna deklaracja Kijowa, że rezygnuje z wstąpienia do NATO, oraz jakaś forma ustępstw terytorialnych ze strony Ukrainy. W Polsce ta postawa jest odrzucona i dlatego media nazywają ją szokującą.

Podstawowym problemem krytyków Trumpa jest to, że nie są w stanie wskazać realistycznego scenariusza zakończenia wojny. Kolejne pakiety sankcji (bodajże teraz został nałożony 14.) i dostawy broni pozwalają podtrzymać opór Ukrainy, jednak powodują też ogromne straty ludzkie. Mimo tego wysiłku front powoli przesuwają się w głąb Ukrainy. Żeby to zmienić, należałoby rozpocząć wojnę z Rosją na pełną skalę, czyli – jak słusznie zauważył Trump – trzecią wojnę światową. Nie da się ukryć, że powoli mogą doprowadzić do tego kolejne decyzje administracji Bidena, jak choćby zgoda na użycie amerykańskiej broni do uderzania celów na terenie całej Rosji. Poziom ryzyka rośnie.

Można się z opiniami Trumpa nie zgadzać. Nie są one jednak szokujące. Są próbą powstrzymania wielkiej wojny. ©

TEMAT TYGODNIA

14 JAN FIEDORCZUK

NADPROKURATOR

Człowiek od medialnych rozliczeń

18 ROZMOWA Z PROF. ANTONIM DUDKIEM

ROMAN GIERTYCH MA OSOBISTY URAZ DO KACZYŃSKIEGO

20 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

ZESPÓŁ ŚLEDZCY NR 2



KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PIS W POSZUKIWANIU PIS

Prawica nie zrozumiała porażki

27 PIOTR SEMKA

NIE CHODZI TYLKO O GODKĘ

30 ROZMOWA Z BOGDANEM RZOŃCĄ

NADCHODZI TSUNAMI

32 ŁUKASZ ZBORALSKI

CZY JEDZIE Z NAMI TAKSÓWKARZ?

KULTURA

34 ŁUKASZ CZARNECKI

W ŚWIECIE KSIĘCIA GENJI

Japońska klasyka

36 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

TRZY TWARZE MELPOMENY

38 PIOTR GOCIEK

TATA MUPPETÓW

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA

STRZELANIE ŚLEPAKAMI

Z dużej chmury mały deszcz

49 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

ZNOWU TRZĘSIEMY ŚWIATEM!

50 KACPER KITA

LE PENOWIE – DŁUGI MARSZ NA PARYŻ?

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI

PAPIESTWO OGOŁOCONE Z WŁADZY

HISTORIA



56 GRZEGORZ MAJCHRZAK

KULISY SREBRA

Skandale wokół mundialu

ŚWIAT

62 DOMINIKA COSIĆ

TEFLONOWY MARK

Nowa twarz NATO

65 MACIEJ PIECZYŃSKI

WOJNA DOMOWA W UKRAIŃSKICH OKOPACH

EKONOMIA

68 ROZMOWA Z CHASE XU,

WICEPREZESEM REALME

POLSKA TO DLA NAS KLUCZOWY RYNEK

W Polsce jesteśmy w TOP5,
a do końca roku chcemy już być w TOP4

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK

GLAMOUR PRZY SIATCE

Marki modowe zmieniają tenisa

WAKACJE

74 JACEK PAŁKIEWICZ

JAK ZORGANIZOWAĆ WYJAZD NA URLOP?

Podróże z Pałkiewiczem

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Marek Jurek,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczyk-Stefaniak
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **ArtService/Forum, Paweł Supernak/PAP**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 500 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

W darze wielkiej Angeli

Kiedys, bodaj w 2017 r., Jarosław Kaczyński powiedział, że Muzeum II Wojny Światowej jest swoistym darem Donalda Tuska dla Angeli Merkel. Nie muszę przypominać, jak zareagowały wtedy media. Oczywiście prezes PiS był wtedy pokazywany jako ktoś z obsesją na punkcie Niemiec i swojego politycznego konkurenta.

Ostatnie wydarzenia związane z haniebnym usunięciem elementów ekspozycji związanych z polskimi bohaterami – rodziną Ulmów, o. Kolbem, rtm. Pileckim – pokazują, że w słowach tych nie było wiele

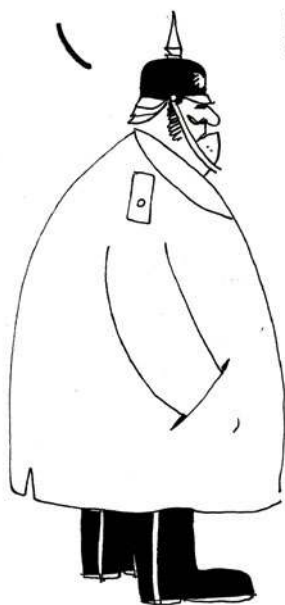
przesady. I kiedy czytam opinie, że to muzeum wojny, tragedii światowej, tragedii wielu narodów i nie ma w nim miejsca na polską martyrologię, to nie mogę zrozumieć motywacji osób wygłaszających takie tezy. Jak można twierdzić, że w placówce muzealnej na terenie Polski, utrzymywanej z pieniędzy polskich podatników, nie może być miejsca dla polskich bohaterów?

Protestujemy głośno!

PS Przy okazji chciałbym zwrócić uwagę na gest prezydenta Andrzeja Dudy. Po nagłośnieniu „nocnej zmiany” w Muzeum II Wojny Światowej na fasadzie Pałacu Prezydenckiego wyświetlano zdjęcia Pileckiego, Kolbego i Ulmów. Wcześniej, przy okazji oskarżeń wysuwanych wobec polskich żołnierzy za strzały na granicy z Białorusią, wyświetlano grafikę z napisem: „SOLIDARNI Z ŻOŁNIERZAMI”.

Imię i nazwisko
do wiadomości redakcji

Wtąściwie nie ma już potrzeby
nazywania tego Polską



c e z a r y e y i z t o r z



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Co z tymi Filipińczykami?

Gazeta Wyborcza” rozpoczęła druk cyklu artykułów o grupach imigrantów, którzy pracują lub mieszkają w Polsce. Dziennik z ulicy Czerskiej postanowił zacząć swój cykl od Filipińczyków. Dlaczego właśnie od nich? Można podejrzewać, że zdecydowały o tym często podkreślane w tekście podobieństwa kulturowe.

„Dwa lata temu w Manili cała masa agencji pracy zaczęła oferować wyjazdy do Polski – opowiada Filipińczyk mieszkający w Warszawie. Dał się skusić. – Dziś Filipińczycy są trzecią grupą narodowościową, która najczęściej otrzymuje w Polsce zezwolenia na pracę”. Jak pisze „Gazeta”: „W 2017 r. pozwolenie na pracę w Polsce dostało jedynie 733 Filipińczyków. W 2023 roku było ich 40 razy więcej, bo ponad 29 tys. Więcej dostali tylko obywatele Indii (45 tys.) i Nepalu (35 tys.)”. Autor tekstu, Michał Żyłowski, cytuje Olgę Wanicką z Uniwersytetu Warszawskiego, badaczkę migracji Filipińczyków, która omawiając specyfikę filipińskiej migracji, wskazuje: „O ile w przypadku Indii aż 90 proc. migrantów to mężczyźni,

to wśród Filipińczyków liczba kobiet i mężczyzn, dla których wydano zezwolenia w ostatnim roku, jest niemalże równa”.

Sporą część tekstu zajmuje też podkreślanie, że Filipińczycy jako naród katolicki są bardzo bliscy kulturowo Polakom. „Wyborcza” pisze: „Agencje pracy reklamują filipińskich migrantów polskim pracodawcom jako pracowitych, uśmiechniętych, świetnie znających język angielski (który jest jednym z dwóch języków urzędowych na Filipinach) oraz podobnych kulturowo, ponieważ na Filipinach religią dominującą jest katolicyzm. – Jesteśmy jednym z najbardziej wierzących narodów – chwali się o. Tirso Alcover Jr. [zakonnik opiekujący się filipińską diasporą w Polsce – przyp. P.S.]”. Dziennik Adama Michnika wybija nawet zdanie: „– Jesteśmy jedynym państwem poza Watykanem, w którym nie ma rozwodów. Po prostu nie można go wziąć – mówi z dumą duchowny”.

„Gazeta Wyborcza” uwielbia wchodzić w rolę świeckiego misjonarza, który przybliży Polakom grupy społeczne, które jej zdaniem

wymagają akceptacji. Tak było z akcją „Narkopolacy”, z akcją „Przygotujmy się na przyjęcie uchodźców” w 2015 r. i tak jest teraz. Pytanie jednak, czy „Wyborcza” rozumie, jaki jest – niezależnie od jej intencji – wniosek nasuwający się z tekstu o Filipińczykach w Polsce. Imigracja, aby była udana, musi być wybiórcza pod względem kulturowym. O wiele lepsze będzie współżycie Polaków z katolikami z Azji niż z muzułmanami. O wiele lepiej wybrać grupy migracyjne, gdzie liczba kobiet i mężczyzn jest zrównoważona, niż grupy z tych kultur, w których słabe jest równouprawnienie kobiet i mężczyzn. Kobiety łagodzą obyczaje, za to duże skupiska młodych mężczyzn mają skłonności do tworzenia przestępczych subkultur czy gangów.

Chciałbym się mylić, ale podejrzewam, że lewicowi ideolodzy z Czerskiej tej prostej prawdy nie zaakceptują. Natychmiast zaczną pytać, jakim prawem ktoś może dzielić kultury na lepsze i gorsze. Najprostsza odpowiedź – w imię zdrowego rozsądku – raczej nie przypadnie im do gustu. ©

TRUMP ZMIAŹDZYŁ BIDENA

Nie ma wątpliwości, kto wygrał czwartkową debatę kandydatów na prezydenta. Według sondażu na zlecenie CNN 67 proc. wskazało na Trumpa, a tylko 33 proc. na Bidena. Sympatycy Partii Demokratycznej wpadli w panikę. Dostrzegli bowiem to, o czym konserwatywne media piszą od dawna: 81-letni Joe Biden nie nadaje się już do pełnienia urzędu. Część liberalnych komentatorów mówi już więc głośno, że partia musi wystawić w wyborach innego konkurenta, bo Biden nie da rady pokonać Donalda Trumpa. (jap) ©



FOT. LOKMAN VURAL EUBOL/ANDOLU/GETTY IMAGES



Media obiegła informacja o tym, że Jacek Kura Kurski zatrudniony ma zostać przez eurodeputowanego PiS i od 10 z nich dostać po jednej dziesiątej etatu, żeby się złożył jeden etat. Generalnie tak ma być, ale z drobną poprawką – być może będzie to tylko trzech eurodeputowanych i każdy da jedną trzecią etatu. Ma to być jednak sytuacja tymczasowa. Kiedy uformują się już nowe władze PE oraz wszystkich frakcji, Kura ma dostać jeden zwykły etat u Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Ale na razie będzie obowiązywał podymne. To znaczy pokurne.

Zapytaliśmy wiewiórkę, czy Kura nie mógł poczekać te parę miesięcy na etat, bo przecież na biednego nie trafiło. W odpowiedzi usłyszeliśmy, że podobno jako nabab Banku Światowego w Ameryce wziął jakieś kredyty i musi teraz spłacać. A szeregowy poseł Jarosław Kaczyński ma dobre serce, więc wykazał się zrozumieniem sytuacji.

Jeśli ktoś zastanawia się, czy takiego etatu w EKR nie mógłby dostać ktoś, kto też nie został wybrany, ale ma większą wiedzę o Europie – np. Jacek Saryusz-Wolski – odpowiadamy: nie. Europarlament ma bowiem nieludzkie prawa, które zakazują zatrudniania osób po 70. roku życia. A Saryusz ma kilka lat więcej.

Jest i dobra wiadomość. Nie ma się co martwić, bo Saryusz będzie żył z pisaną analizą dla EKR. Za nie z kolei można płacić osobom w dowolnym wieku. Na razie, na zachętę, szeregowy poseł Jarosław mianował go sekretarzem PiS do spraw międzynarodowych. Co oznacza, że Saryusz został nowym Fogielem w miejsce starego Fogiela.

Nie mamy natomiast potwierdzenia informacji o tym, jakoby PiS miał zmienić nazwę na Biało-Czerwoni. Jeden rabin mówi, że tak, inny – że nie. Wszyscy potwierdzają natomiast, że będzie zjednoczenie z Suwerenną Polską. Wśród polityków SuwPolu jest jeden, który ma nadzieję na zjednoczenie tak udane, że zostanie kandydatem na prezydenta. Ten polityk to Patryk Jaki.

Tymczasem poseł Janusz Kowalski, który wyszedł z SuwPolu, ale pozostał w klubie PiS, wezwał, by do polityki włączyła się Patrycja Kotecka, żona Zbyszka. To nie jest głupi pomysł, Patrycja jest bowiem twardszym zawodnikiem od większości polskich polityków. Powiemy więcej: jaki byłby dobrym kandydatem na prezydenta, ale po dwóch kadencjach Patrycji.

Co do przyczyn wyjścia Kowalskiego z SuwPolu słyszeliśmy dwie plotki. Pierwsza, że i tak był bardziej pisowski niż niejednen pisowiec. Druga, że w małym stawie, którym jest Opole, nie ma miejsca dla dwóch samców alfa, to znaczy Kowalskiego i Jakiego. W drugiej plotce najbardziej bawi nas, że ktoś mógł uznać Kowalskiego za samca alfa.

Jedna z pracowni zrobiła badania poparcia dla kandydatów na kandydatów na prezydenta. Najciekawsze jest nie to, kto uzyskał największe, ale kto tak sładowe, że nie został nawet zamieszczony w wynikach. Był to niejaki Marcin Mastalerk. Niniejszym tematem uważamy za zamkniętą.

Tymczasem prezydent Andrzej Sebastian odwiedził Chiny, ale Mastalerka zabrakło w składzie delegacji. Nie będziemy dalecy od prawdy, jeśli stwierdzimy, że było nawet gorzej – Masty nikomu w delegacji nie brakowało.

Za to decyzja o starcie gen. Andrzejczaka w wyborach prezydenckich właściwie zapadła. Trwa kompletowanie sztabu wyborczego. Będzie się on składał w dużej mierze z towarzyszy broni gen. Rajmunda. Ale będą tam też

ludzie służb. Na razie jest to jednak wojsko bez szeregowców. Czyli tych, którzy mają zbierać podpisy.

Chcieliśmy jakoś skomentować tuskowe CPK. Jednak nic lepszego nam nie przychodzi do głowy niż to, co napisała „Rzepa”: „Propaganda dla tumanów”. Chyba Graś znowu będzie się musiał spotkać z Hajdarowiczem. Mamy nadzieję, że nie przy śmietniku.

Niby powinniśmy się cieszyć, że surrealistyczną konferencją o CPK wystawił nam Zły Donald z Sopotu łatwe piłeczki do ścinki, choć wolelibyśmy zamiast tego mieć prawdziwe CPK. Jednak będziemy mieć inne. Nie Centralny Port Komunikacyjny, tylko Coraz Piękniej Kłamię.

Dla tych, którzy przegapili: poprzednia władza lubiła centralizować, więc chciała Centralnego Portu Komunikacyjnego. Nowa jest megalomańska, więc chce megalopolis. Problem w tym, że obiecane megalopolis to słoń, który w istocie jest nadmuchiwana mysz. Nie pierwszy raz odwołać się trzeba do znanego porzekadła: Polak mądry po dmuchaniu.

Apropos Tuska. Mało kto wie, że w Sejmie powstał Parlamentarny Zespół do spraw afer osób związanych z Donaldem Tuskiem. Wicemarszałek Sejmu Monika Wielichowska odpisała jednak założycielom, że Prezydium Sejmu „podjęło decyzję o konieczności korekty językowej nazwy Zespołu”, w związku z czym „nie przyjęło do wiadomości informacji o powołaniu Zespołu”. Mamy w związku z tym pytanie natury filozoficznej. Czy coś, o czym nie przyjęliśmy informacji do wiadomości, istnieje?

Tymczasem w sądach: jak wiadomo, bodnarowcy zainicjowali akcję rozsyłania do sądów okręgowych paprotek. „Ideą akcji jest zmiana zwyczajowego nazywania ławników paprotkami” – ogłoszono. Niestety, sędziowie nie poznali się na żarcie i odsyłają otrzymane paprotki wprost do Ministerstwa Sprawiedliwości. Efekty przypominają dobry horror: wchodzi jedna z urzędniczek rano do gabinetu, a tu gąszcz paprotek. Gdyż dostarczono już poranną pocztę. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Antropologia unijna

Zmiany, które w ekspozycji Muzeum II Wojny Światowej wprowadzono za rządów PiS, były solą w oku lewicowo-liberalnych elit. Można było się spodziewać, że skoro po ośmiu latach doszło do tego nie-szczęścia, którym jest ich powrót do władzy, to jednym z symboli tego powrotu będzie zniszczenie ekspozycji. Co w końcu się stało – nocą, wbrew prawu, usunięto trzy najbardziej skandaliczne dla unijczyków elementy wystawy, upamiętniające rtm. Pileckiego, św. o. Kolbego oraz rodzinę Ulmów. Dla wielu ludzi jest to niezrozumiałe. Co kontrowersyjnego, co złego jest w tych postaciach?

Tuskowy likwidator muzeum, Rafał Wnuk, udzielił odpowie-

dzi: Pilecki, Kolbe i Ulmowie nie przystawali do „antropologicznej perspektywy” ekspozycji. Jeśli nie wiedzą państwo, jaka to perspektywa, to zachęcam do zapoznania się z unijnym muzeum matką, nazwanym „Domem Historii”, w Brukseli. Dokładniej opisanym, gdyby ktoś był ciekaw, w moim „Chamie niezbuntowanym”.

Centralizacja Unii i likwidacja państw narodowych jest projektem obliczonym nie tylko na zbudowanie wspólnej przyszłości, lecz także wspólnej przeszłości. Polskie muzeum, wybudowane za pierwszego Tuska jako „prezent dla Angeli Merkel” – jak celnie nazwał je prezes PiS – to jedynie lokalna ekspozytura brukselskiego przed-

sięwzięcia. „Antropologiczna perspektywa”, której miało służyć, to historia Europy jako jednego europejskiego społeczeństwa, które cierpiało przez wieki, bo je i skłócono, ale w końcu dzięki UE te podziały przewyciężyło. Kto skłócił? Mówiąc najkrócej: religia chrześcijańska i nacjonalizm, czyli po naszymu – patriotyzm. Tak zwane tradycyjne wartości.

W nowej opowieści nie ma na nie miejsca: żadnych bohaterów narodowych, zwłaszcza katolików! Druga wojna była wspólnym nie-szczęściem agresora i napadniętych, jej zbrodnie – wspólnym cierpieniem katów i ofiar. Wszyscy padli ofiarą zgubnej wiary w istnienie osobnych narodów i w ich interesy. I „o tym ma być” to muzeum. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Tradycja zastrzeżona

Mnożą się doniesienia o nadchodzących kolejnych watykańskich restrykcjach wobec rzymskiej Mszy tradycyjnej i zachowujących ją wspólnot. Być może okażą się jedynie plotkami, oby. Ale dotychczasowe doświadczenia każą poważnie rozpatrzyć i taką ewentualność; bo choć nie każdej próbie bywamy poddani, na każdą powinniśmy być gotowi.

Wymaganie od siebie, gdy nikt od nas nie wymaga – to jedna z najwyższych form odpowiedzialności. Katechizm Kościoła Katolickiego mówi zaś jasno: „Nawet najwyższy autorytet w Kościele nie może dowolnie zmieniać liturgii; może to czynić jedynie w posłuszeństwie

wiary i w religijnym szacunku dla misterium liturgii” (art. 1125). Nie to jest więc najważniejsze, że restrykcje wobec Mszy tradycyjnej ranią ludzi (choć to też, naruszając pokój Kościoła, nie jest bez znaczenia). Najistotniejsze jest, że dewastują powierzony całemu Kościołowi depozyt. Tym bardziej więc należy go chronić.

Każdy kolejny podobny kryzys to próba solidarności. Po „Traditionis custodes” napisałem artykuł „Czas episkopatu”, zwracając uwagę, że nowa sytuacja w istocie jest szansą na umocnienie więzi między biskupami (opiekującymi się jeśli nie tradycyjną liturgią, to przynajmniej tradycyjnymi wspólnotami) a wiernymi. I tak się w wielu miej-

scach stało. Im trudniejsze warunki zachowania dobra wspólnego, tym bardziej rośnie autorytet władzy, która je chroni. I im bardziej rozchwiane struktury, tym większą wartość ma nonkonformistyczna wierność poszczególnych ludzi.

Obrona sprawiedliwości zawsze budowała autorytet Kościoła. Czyż dziś, patrząc wstecz na czasy dominacji sowieckiej w naszej części Europy, czcimy kogokolwiek za to, że wczuwał się w Ostpolitik Pawła VI? A oczyszczanie przeszłości zawsze musi być przede wszystkim oczyszczaniem teraźniejszości, by kolejne pokolenia nie miały powodów ubolewać nad naszą małodusznością i oportunistem. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Nie dla wrażliwych

Nielegalni migranci z Pundzabu Satnam i Sony Singh przybyli trzy lata temu do Italii. Pracują na czarno za grosze w rolnictwie. W tym roku, dzięki rodakom pośrednikom, trafili do gospodarstwa pana Lovato w Latinie w Lacjum. Zbierali melony. Maszyna do pakowania owoców obciąła Satnamowi rękę i uszkodziła nogi. Mimo apeli o wezwanie karetki Lovato junior wsadził Satnama z małżonką do furgonetki i wyrzucił pod barakiem, w którym mieszkali. Przed wejściem postawił skrzynkę na owoce z obciętą ręką.

W końcu Satnam trafił do szpitala w Rzymie, ale zmarł po dwóch dniach. Zdaniem lekarzy przeżyłby, gdyby przywieziono go do szpitala wcześniej. Lovato junior wyjaśnił włoskim me-

diom: „Mówiłem mu, żeby się nie zbliżał do maszyny, ale chciał być mądrzejszy i teraz wszyscy mamy kłopoty”.

Jak się okazuje, farmer Lovato powierzył werbowanie pracowników i organizację pracy niewolniczej gangowi sikhów. To metoda dość powszechna. Kilka lat temu polscy gangsterzy świadczyli identyczne usługi farmerom z Apulii, sprowadzając pracowników z Polski. Jak się okazuje, farmer Lovato już pięć lat temu został oskarżony o niehumanitarne wykorzystywanie swoich nielegalnych pracowników, ale sąd do dziś nie miał czasu się tym zająć. Teraz, gdy o tragedii Satnama od kilku dni mówią i piszą wszystkie włoskie media, zapewne sąd znajdzie trochę czasu i obaj odrażający panowie

Lovato na dłuższy czas trafią za kratki.

Choć może szkoda zachodu. Włoska lewica już znalazła prawdziwych winnych. Superpostępową damą Concita De Gregorio (kiedyś redaktorka naczelna komunistycznej „L'Unita”), gwiazdą programów telewizyjnych, wyjaśniła: „Mamy do czynienia z niewolnictwem państwowym”. A potem: „W Latinie, gdzie pośród popiersi Mussoliniego i symboli różg liktorskich głosują na prawicę, porzucono człowieka na pewną śmierć”. Czyli winien jest obecny rząd, a dokładnie – jak wyjaśnia „La Repubblica” – premier Giorgia Meloni. I naturalnie faszyści, bez których dziś w Italii nie może się zdarzyć żadne zło. ©©

Author jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

AKTOR OSTRO O NAS

„Andrzej Zieliński ostro o Polakach”. Widząc taki tytuł, wiemy, że nie zawiedziemy się na celebryckich mądrościach. Skoro aktor wypowiada się o swoich rodakach „ostro”, to można oczekiwać samych pogłębianych refleksji. „W polskich szkołach nie zmieniło się nic od czasów, kiedy ja byłem uczniem. Tyle że teraz dzieciaki mają dwa razy więcej materiału do przyswojenia niż kiedyś i pięć razy mniej czasu na to. Program jest przeładowany. Politycy klócą się o to, ile ma być klas w podstawówce, a przecież to jest sprawa drugorzędna. Czas zacząć rozwiązywać realne problemy” – postuluje Andrzej Zieliński znany

każą uczniom czytać Fredrę i wymagają znajomości jego dramatów, nie ucząc w ogóle języka, jakim zostały napisane. Przecież polszczyzna ewoluowała. Dla młodzieży takie zwroty jak »mocium panie, me wezwanie« brzmią jak z obcego języka. I to dotyczy praktycznie każdego przedmiotu” – stwierdza Andrzej Zieliński w wywiadzie dla serwisu Plejada. W dalszej części narzekał na sposób nauczania geografii, naprawdę szkoda na to czasu.

KRZYWDY WYOBRAŻONE

Znamienne, że krytykowanie „tradycyjnego” zestawu lektur często idzie w parze z pochwałą „nietradycyjnego” modelu życia. Zieliński przekonuje bowiem, że związki partnerskie powinny zostać wprowadzone natychmiast. „Uważam, że każdy zasługuje na szacunek. Prześladowanie czy obrażanie kogoś za to, że jego sposób życia jest inny niż większości, jest haniebne i absurdałne. Przecież przedstawiciele społeczności LGBT+ to ludzie, którzy są w takim samym stopniu obywatelami Polski jak inni. Tak samo jak wszyscy płacą podatki, czasem nawet dużo wyższe niż ci, którzy ich opluwają” – zaznacza aktor, sugerując chyba, że homoseksualiści zarabiają lepiej. „Odmawianie im chociażby prawa do związków partnerskich jest idiotyczne. Skoro dwie osoby żyją ze sobą przez lata, to dlaczego nie mogą po sobie dziedziczyć? Czemu nie mogą odwiedzać się w szpitalu? W głowie mi się to nie mieści. Powtórzę się, ale uważam, że to, że trzeba to komuś wyjaśniać, jest poniżające” – mówi oburzony. Gdyby tylko te sprawy, o których wspomina Andrzej Zieliński, można było załatwić u notariusza. Gdyby tylko...

PRZEŚLADOWANIA NIE USTAJĄ

Ostatni fragment z wywiadu aktora. Skoro złe są polska literatura i tradycyjne wartości, to trzeba też oburzyć się na

polski katolicyzm. „Z tą katolickością w Polsce jest dziwna sytuacja. Chyba ksiądz Sowa powiedział kiedyś, że w Polsce Bóg został zastąpiony nardem” – zauważa Zieliński. „Pochodzę z katolickiej rodziny i moi bliscy są wierzący. Ja kiedyś też wierzyłem w Boga i życie pozagrobowe. Ale dość wcześniej zacząłem mieć z tym problem” – przyznaje, wskazując, co jest dla niego przyczyną owego problemu z wiarą. „W Polsce, według mojej wiedzy, nie można zostać pochowanym poza cmentarzem. W innych krajach nie ma problemu z tym, żeby spalić prochy zmarłego i zakopać je pod drzewkiem. U nas jest to nielegalne” – stwierdza. Zły Kościół. I zła Polska. I złe cmentarze.

PSYCHOLOG W DOMU

Skoro już o aktorach. Marek Kondrat opowiedział w TVP Info o swoim spotkaniu z braćmi Jarosławem i Lechem Kaczyńskimi. Dla młodszych czytelników: zanim bliźniacy stali się politykami, w wieku 12 lat zagrali w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”. Kondrat miał wtedy 11 lat i twierdzi, że „ma bolesne wspomnienia” w związku z Kaczyńskimi. – Z perspektywy lat pomyślałem, że nie wykonałem nic w tym czasie, kiedy ich spotkałem, żeby ich przekonać, aby zostali jednak aktorami. Bo to by było dużo zdrowsze dla regionu, w którym żyjemy – mówił. Aktor zasugerował również, że ich dziecięce zabawy już wtedy zdradzały, kim zostaną w przyszłości. – Oni grali głównie w wojny, mieli kilka pudeł żołnierzy ołowianych. To była treść ich zabaw. Zazwyczaj Jarek musiał tę wojnę wygrywać. Leszek, który był skromniejszy w tych ambicjach, musiał przegrać, krótko mówiąc. Temperament okazywali bardzo znaczny. I widziałem, jak wiszą na sobie, jak są zależni od siebie. I jak komplikują życie innym ludziom, także wspólnie. Psycholog powiedziałaby, że to się daje w dzieciństwie zauważyć, kto kim będzie w przyszłości – analizuje gwiazdora, bawiąc się domorosłego psychologa. Psychologa, o którego nikt nie prosił i którego nikt nie potrzebował. ©



FOT. WOJCIECH KUSNIEWST

z serialu „Na Wspólnej”. Według niego realnym problemem, którym należy się zająć, jest np. obowiązkowa lektura „Pana Tadeusza”. „Przecież zmuszanie do czytania „Pana Tadeusza” w siódmej klasie szkoły podstawowej to absurd. Każdy minister edukacji, który wyraził na to zgodę, powinien się poważnie zastanowić. To skutkuje zrażeniem dzieci do literatury na dekady” – przekonuje Zieliński, który zapewne zna badania potwierdzające tę tezę. Nie wygłaszały jej przecież ot tak, z powietrza. „Nauczyciele



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zauważyliśmy ostatnio, iż coraz modniejszą formą protestu w zasadzie przeciwko czemukolwiek jest przykuwanie się do różnych obiektów. Może to być pomnik, może być krata, drzwi, cokolwiek, czego mocno się będzie trzymał sznurek.

Pomyśleliśmy, iż w sumie czemu nie. Trzeba iść ze świeckim duchem współczesnych czasów. A że powody do protestowania zawsze się znajdują, jest to tylko kwestia wyboru, to może i my spróbujemy, jak to jest i czy to działa.

Na drodze kolektywnego rozważania wybraliśmy do oprostowania temat konieczności pracy latem. Wiecie, chciałoby się wyjść gdzieś w plener, usmażyć sobie na wegegrillu bakłażana czy jakiegoś kabaczka, wypić piwko czy dwa i pochillować bez konieczności dźwigania obowiązków.

Przykuliśmy się więc do biurowych krzeseł, iżby Nowy z Tarnowa zobaczył, iż jesteśmy nadmiarowo systemowo przywiązywani do swoich miejsc pracy, co ogranicza naszą wolność osobistą. Nowy jednak powiedział tylko, że to jest nasza sprawa, jak my się teraz rozplączemy, że możemy i całą noc siedzieć, ale nadgodzin i tak nam nie wypłaci.

Dlatego protest uważamy za średnio udany, Nowy nas dostrzegł, ale nie zrozumiał – co jednak nie jest naszą winą. Musimy tylko nieco dopracować

formułę, iż nie zablokowaliśmy żadnego ważnego ciągu komunikacyjnego – skandaliczne niedopatrzenie z naszej strony, ale my też uczymy się na błędach.

Na złożeniu opozycji premier zapowiedział, iż nie porzuci projektu CPK, ale dodatkowo zbuduje linie szybkich kolei, dzięki którym pociągi będą jeździły nawet ponad 300 km/h. To naprawdę szybko.



O ile dobrze pamiętamy, to za poprzedniej ekipy rządzącej nie powstały ani CPK, ani szybkie koleje, a pociągi z pewnością nie jeździły ponad 300 km/h. Już nie mówiąc o tym, że teraz Polska będzie tenkrajem stanowiącym jedną wielką aglomerację. Czyli cała będzie jak wielka Warszawa z okolicami albo jak Kraków z Wieliczką lub Skawiną.

Czaicie? Z Przemyśla nad morze będziemy mogli dojechać w trzy godziny (tak, policzyliśmy), a jak ktoś będzie miał fantazję, to w połowie drogi przesiądzie się na samolot. To jest właśnie nowoczesność i postęp (of kors w umiarkowanym wydaniu, iż ciągle pamiętamy o tym, iż nadal naruszane są np. prawa kobiet, trzeba natychmiast odsunąć od władzy tych, którzy dotąd przy niej byli!).

Szczerze mówiąc, to bardzo nam się podoba taka wizja rozwoju tenkraju, gdzie można będzie sobie do korpo dojeżdżać z Krakowa do Warszawy, na wieczór wrócić i jeszcze wyskoczyć sobie na Kazimierz.

Jedna rzecz, o którą się trochę martwimy, to ten cały ślad węglowy, bo wyobrażamy sobie, iż taki szybki pociąg może zostawić go więcej niż pociąg, który jeździ powoli. My też, jak biegamy, to oddychamy szybciej niż podczas spaceru – to logiczne, prawda? Dlatego chcielibyśmy, iżby przy okazji rząd zainwestował w ekologiczne pociągi elektryczne oraz zapewnił odpowiednią infrastrukturę do ich ładowania, tak aby na każde pół godziny podróży przypadało pół godziny ładowania.

Co przyda się podróżnym, aby w tym szalonym świecie na chwilę zwolnić, nie pędzić tak, pozwolić sobie na refleksję. ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Bezpieczny seks

Monika, a kobieta to może faceta zgwałcić?

W sensie – technicznie? Bo nie rozumiem, Marta, o co ci chodzi.

No... Czy to jest teoretycznie możliwe?

Chyba tak. Nie zastanawiałam się nigdy.

No bo zobacz. Jakby się nam udało z tą definicją gwałtu, to czy nam to nie zaszkodzi? Taki facet może nas oskarżyć o gwałt, bo nie dał zgody na seks. I będziesz musiała wykazywać, że on się zgodził.

W sumie... Ale ja mam już na to właściwie sposób.

Jaki?

Mam dogadanego notariusza. Jak będzie potrzeba, to on przyjmuje dwadzieścia cztery na siedem. Podpisujemy zgodę, poświadczamy notarialnie i – cyk, do łóżka. Bezpiecznie! ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„ONR poparł Matysiaka. Następny będzie Hamas, a potem Hezbollah”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X, po tym, jak profil ONR pochwalił wspólną inicjatywę posłanki Lewicy i byłego ministra Zjednoczonej Prawicy w sprawie CPK



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy”, planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy”

przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy” jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym**, bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy”.

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy



ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:

Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:

Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:

Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:

Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.



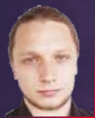
Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

epresa.pl.422403adc8

Nadprokurator



Jan Fiedorczuk

Między Adamem Bodnarem a Romanem Giertychem jest jedna fundamentalna różnica – o ile Bodnar, były rzecznik praw obywatelskich, wygląda na aktywistę autentycznie oddanego lewicowo-liberalnej krucjacie, o tyle Giertycha zdaje się zupełnie nie interesować jakkolwiek realna reforma w wymiarze sprawiedliwości. Obserwując jego poczynania, trudno nie odnieść wrażenia, że to polityczny cynik, którego działalność jest podporządkowana tylko jednej misji: zemście na PiS

Zwycięstwo w wyborach parlamentarnych to dla najbardziej oddanych zwolenników Donalda Tuska za mało. Radykałowie chcą zemsty. Domagają się jej nie tylko członkowie wulgarnego tzw. ruchu ośmiu gwiazd czy agresywnych grupek pokroju Silni Razem, lecz także politycy. Kamila Gasiuk-Pihowicz z KO odgrażała się niedawno parlamentarzystom Suwerennej Polski, że trafiają do więzienia. Podobne tezy pod adresem kierownictwa całej Zjednoczonej Prawicy formułował lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Jeszcze dalej poszedł były lider PO Borys Budka, który dywagował nad pomysłem delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości. Po wyborach do europarlamentu Radosław Sikorskie stwierdził z kolei, że elektorat rządzącej koalicji „domaga się rozliczenia PiS-owskiego złodziejstwa. My pokazaliśmy, że mamy tę determinację, a może koalicjanci byli mniej kategoriyczni i może zapłacili za to cenę”.

Oczekiwania dużej części obozu lewicowo-liberalnego są zatem jasne. Żądza

rozliczeń nie tylko wynika z chęci zemsty za osiem lat upokorzeń, lecz także – na co wskazuje wypowiedź Sikorskiego – politycy KO widzą w tym drogę do sukcesu wyborczego.

Jeżeli nadzieje na rozliczenia PiS nałożymy na faktyczne działania ministra sprawiedliwości z ostatniego półroczka, to nie może dziwić, że lud platformerski jest rozczarowany dotychczasowymi „osiągnięciami” rządu. Bo cóż, w oczach radykałów, udało się do tej pory zwojować? Po wielkich trudach Bodnar odbił Prokuraturę Krajową, wstawił trochę swoich ludzi, wywalił paru nominatów PiS, przygotował kilka wniosków uchylających immunitety i forsuje lewicowe zmiany prawne dotyczące tzw. mowy nienawiści. Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik trafili do więzienia, by po kilku dniach zostać uwłaskawionymi przez prezydenta. Gdzie jest, mówiąc kolokwialnie, krew? Gdzie zemsta? Czemu PiS-owcy chodzą po wolności? Czemu jeszcze nie rozkułaczono prawicowych dziennikarzy, celebrytów i kolaborantów obalonego reżimu?

Minister Bodnar nie spełnia pokładanych w nim nadziei – coraz częściej można usłyszeć taką opinię wśród zwolenników Donalda Tuska. – Osiem miesięcy od wyborów czuję złość i rozgoryczenie [...]. Utknęliśmy na mieliźnie – stwierdził w rozmowie z Onetem prezes stowarzyszenia sędziów Iustitia prof. Krystian Markiewicz, który nawoływał do bardziej zdecydowanych działań w wymiarze sprawiedliwości. Bodnar jest zbyt miękki, zbyt spolegliwy. Niedawno minister wprost powiedział, że nie wyobraża sobie zastosowania metod przemocowych w celu przejęcia KRS, czego domagają się radykałowie w środowisku sędziowskim. Warto też spojrzeć na reakcje proplatformerskich hejterów w sieci, którzy stają na głowie, próbując znaleźć usprawiedliwienie dla rozliczeniowego marazmu, lub też wprost obarczają odpowiedzialnością ministra sprawiedliwości za obecny stan rzeczy.

I w tym momencie na scenę wkracza Roman Giertych. W zeszłym tygodniu mecenas zapowiedział „przyspieszenie” roz-



FOT. FILIP NAWIENIŃSKI/REPORTER

bez szczególnych osiągnięć dla krzewienia progresywnych wartości i postulatów. W praktyce jednak Giertych to czołowa postać radykalnego skrzydła obozu lewicowo-liberalnego. Za jego plecami stoi cała armia ultrasów spod znaku takich organizacji jak Silni Razem czy wspomniane „ruch ośmiu gwiazd”.

Powołując do życia zespół do rozliczania Prawa i Sprawiedliwości, Giertych stworzył niejako obok systemu prawnopolitycznego nowy urząd, który nie tylko buduje pozycję „nadprokuratora”, lecz także spełnia nadzieje najbardziej radykalnych zwolenników PO, którzy są ewidentnie zawiedzeni „ślamazarną” postawą Adama Bodnara. Minister sprawiedliwości kręci na konferencjach, zapowiada zemstę, aby po chwili podkreślać, że nie sposób dokonać politycznych rozliczeń ad hoc, „szuka podstawy prawnej” itp., itd. Nawet jeżeli prokurator generalny łamie bądź obchodzi prawo, to ma na tyle przyzwoitości, że zdaje sobie z tego sprawę, tłumaczy się i próbuje wszystko ubrać w szaty legalizmu. „Nadprokurator” Giertych zdaje się być pozbawiony takich wątpliwości.

Najpełniej obraz obecnej sytuacji oddał Michał Kamiński, który nie mógł się nachwalić mecenasa. – Na razie nic nie zostało rozliczone z rządów PiS. Najwięcej w sprawie rozliczenia rządów PiS w ciągu ostatniego pół roku zrobił samodzielny poseł PO Roman Giertych [...]. On ratuje nasz honor – powiedział senator Trzeciej Drogi, a więc jednak formacji konkurencyjnej wobec Platformy. W tej wypowiedzi ważne jest nie tylko to, co wypowiedziano na głos, lecz także – może jeszcze bardziej – to, co przemilczano. Bo jeżeli Giertych musi „ratować honor”, to oczywiście się staje, że tenże honor naraził na uszczerbek prokurator generalny i minister sprawiedliwości Adam Bodnar. Były wicepremier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego to człowiek niezwykle ambitny i inteligentny, ale niestety również niemal całkowicie pochłonięty wizją rozliczeń PiS. Można odnieść wrażenie, że zemsta stała się jego jedynym celem w polityce.

OD NACJONALISTY DO LIBERAŁA

Warto przypomnieć drogę, którą przeszedł Giertych w trakcie swej długiej, bo liczącej już ponad trzy dekady kariery politycznej. Przygodę z polityką zaczynał od narodowych formacji oskarżanych

wówczas przez liberalny mainstream o „faszyzm”. Ten start jest o tyle zrozumiały, że tak go w oczywisty sposób kierowała rodzinna historia (jego dziadek, Jędrzej Giertych, to słynny przedwojenny narodowiec, jeden z liderów frakcji młodych). Młody Roman wydawał się naturalnym kandydatem do objęcia przywództwa nad narodowymi środowiskami u zarania III RP.

Jednak reaktywowane Młodzież Wszechpolska i Stronnictwo Narodowe, nawiązujące do swych przedwojennych organizacji endeckich, nie przyniosły sukcesów. Dopiero w 2001 r. kierowana przez niego Liga Polskich Rodzin weszła do Sejmu, domagając się rozliczenia komunistów i zapowiadając impeachment prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Cztery lata później LPR tworzyła koalicję z Samoobroną Andrzeja Leppera oraz Prawem i Sprawiedliwością braci Kaczyńskich. Sam Giertych zyskał funkcję wicepremiera oraz szefa Ministerstwa Edukacji Narodowej.

Tu zaczyna się historia, której finałem jest obecna pozycja „nadprokuratora”. Rząd w latach 2005–2007 tworzyła jedna z najbardziej niestabilnych koalicji w historii III RP. Kaczyński próbował rozegrać swych mniejszych koalicjantów, co zakończyło się upadkiem jego rządu, ośmioma latami dominacji Donalda Tuska oraz wypadnięciem Giertycha z Sejmu.

Post factum mecenas przekonywał, że będąc w koalicji, świadomie działał na jej niekorzyść, aby od wewnątrz zwalczać Jarosława Kaczyńskiego. Jak zapewniał w rozmowie z „Newsweekiem”, odgrywał rolę Konrada Wallenroda. – To ja rozwalilem ten rząd. I jestem z tego dumny – deklarował. Ile było w tej opowieści prawdy, a ile próby uwiarygodnienia się w oczach liberalnego mainstreamu, jako pomagier Donalda Tuska – nie sposób rozstrzygnąć. Faktem jest jednak, że po 2007 r. Giertych skrupulatnie krok po kroku dryfował w stronę centrum sceny politycznej, przechodząc publiczny proces „normalizacji”. Kluczem była ostra krytyka PiS, którą był szef LPR zaczął podnosić po wypadnięciu z Sejmu. Z biegiem lat zbliżył się on do Donalda Tuska oraz szeroko rozumiane go środowiska Platformy Obywatelskiej, co zaowocowało obroną w sądach ludzi z kręgu PO. Zaczęło się od syna Donalda Tuska powiązanego ze sprawą Amber Gold. Według nieoficjalnych informacji to

liczeń PiS. Stwierdził, że będzie „zachęcał” rząd, aby część ustaw uchwalonych przez PiS „w celu utrwalania władzy” po prostu arbitralnie uznać za niekonstytucyjną i części sędziów („neosędziom”) uniemożliwić pracę w KRS. Roman Giertych niczym wielki nadzorca patrzy z góry na działania władz, strofuje rządzących za opieszałość, a w razie konieczności bierze sprawy we własne ręce. Wydaje się wręcz, że to mecenas, a nie minister sprawiedliwości, ustala plan rozliczania prokuratorów uznanych za „pisowskich”: otóż sprawą ma się zająć Prokuratura Krajowa w Warszawie, prokuratorzy mają działać w osobnym budynku i pracować na dwie zmiany po 16 godzin na dobę. Bardzo dokładne wytyczne, ale – jak stwierdza Giertych – reakcja obecnego kierownictwa resortu sprawiedliwości „jest niewystarczająca”, mecenasowi zatem nie pozostaje nic innego, jak tylko podwinąć rękawy i samemu ruszyć do pracy.

W teorii były lider Ligi Polskich Rodzin jest zaledwie posłem – bez żadnego zaplecza, bez stojącej za nim frakcji w PO,

■ Radosław Sikorski miał osobiście zaproponować Giertycha jako obrońcę.

O Giertychu zrobiło się ponownie głośno w związku z taśmami ujawnionymi w 2014 r. – czyli nagraniami podsłuchów kelnerów z restauracji Sowa i Przyjaciele. Padły wówczas oskarżenia, że mecenas miał sugerować pisanie książek kompromitujących polskich milionerów, aby następnie od tychże milionerów pobierać swoje honoraria za niepublikowanie zleconych pozycji. Sam zainteresowany rzecz jasna zaprzeczał. „Dziennik Gazeta Prawna” opisywał w 2015 r., że „mimo reakcji rzecznika dyscyplinarnego stołecznej palestry Giertycha nie spotkały żadne konsekwencje. W oczach wielu adwokatów potwierdziło to tylko podejrzenie, że ma nad sobą nie tylko parasol ochronny ze strony swoich klientów polityków, lecz także obrońców na najwyższych szczeblach Naczelnej Rady Adwokackiej”. Giertych wówczas zdecydował się pozwać „DGP”, jednak sąd nigdy nie wydał wyroku w tej sprawie. Trudno powiedzieć, jaki był finał, ale prawdopodobnie – jak opisuje to z kolei Wp.pl – to sam Giertych cofnął powództwo.

Z czasem były lider LPR w oczach liberalnego mainstreamu zaczął się wydawać coraz bardziej przystępny na podobnej zasadzie, jak niedgdyś Michał Kamiński, który od zwolennika Augusta Pinocheta ewoluował w kierunku liberalnego demokracji. Owocem tej transformacji stały się m.in. regularne wizyty Giertycha w stacji TVN24, a swoistym podsumowaniem przemiany była jego deklaracja, że ze względu na antysemickie poglądy nie przyjąłby Romana Dmowskiego do Ligi Polskich Rodzin.

Jeżeli Giertych był już wówczas opętany antypisowską fobią, to osiem lat rządów Kaczyńskiego spotęgowało te odczucia do gargantuicznych rozmiarów.

W 2020 r. służby weszły do domu mecenasu w związku z podejrzeniami dotyczącymi wyprowadzenia 72 mln zł z giełdowej spółki deweloperskiej Polnord. W trakcie akcji służb Giertych zaskarżył i trafił do szpitala (sąd uznał zatrzymanie za niezasadne i nielegalne). Sam mecenas będzie przekonywał, że PiS próbował go zabić. Jak się po latach okazało, mecenas miał być też inwigilowany za pomocą systemu Pegasus, co – jak można się domyślić – jedynie wzmocniło jego nienawiść do PiS. Prokuratura w kolejnych

latach bezskutecznie próbowała wezwać go przed swoje oblicze. Były wicepremier ignorował dziesiątki pism w tej sprawie. Mniej więcej właśnie wówczas Giertych wyjechał do Włoch, gdzie – jak donosiły media – „ukrywał się przed polskim wymiarem sprawiedliwości”. Mimo że „na uchodźstwie” Giertych pozostawał bardzo aktywnym uczestnikiem życia politycznego. Właściwie to on stał się ośrodkiem, z którego wychodziły najbardziej absurdalne teorie spiskowe, jak choćby ta dotycząca tajnego paktu, który rzekomo miał Jarosław Kaczyński zawiązać z Władimirem Putinem i Viktorom Orbánem w celu dokonania rozbiorów Ukrainy. „Kaczyński z triumfem objąłby Lwów i jako zbawca Ukraińców oraz wskrzesiciel potęgi Polski mógłby liczyć na rządy absolutne” – opisywał mecenas. Rozbiorowe teorie całkiem poważnie analizowali Radosław Sikorski czy Tomasz Lis. Można powiedzieć, że Giertych był wówczas już w centrum platformerskiego mainstreamu, dlatego też w jednym z numerów „Do Rzeczy” określiliśmy go mianem „Wodzireja anty-PiS” („Do Rzeczy” nr 17–18/2022).

Ostatecznie były szef LPR w 2023 r. do stał się do Sejmu z list Platformy Obywatelskiej. Okupił to całymi latami podchodów pod Donalda Tuska oraz obniżeniem ideałów – aborcja, duma z endeckiego dziedzictwa czy krytyka rewolucji LGBT zostały rzucone w ką.

LIBERALNY MŚCICIEL

Na początku stycznia Giertych objął stanowisko wiceprzewodniczącego klubu KO oraz powołał specjalny zespół do rozliczania PiS. Rozpoczęto od zawiadomienia prokuratury w sprawie byłego kierownictwa CBA Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika („trafią do więzienia” – deklarował Giertych), następnie złożono donos do prokuratury na Mateusza Morawieckiego i Zbigniewa Ziobrę za blokowanie KPO („jedne z największych przestępstw PiS-owskich”), a potem poświęcono gros uwagi Narodowemu Centrum Badań i Rozwoju („przypominało strukturę mafijną”). Najwięcej emocji wzbudza jednak sprawa Funduszu Sprawiedliwości. Polityczne notowania Giertycha ewidentnie wystrzeliły, odkąd przed kamerami zaczął pojawiać się Tomasz Mraz, były dyrektor odpowiadający za Fundusz, który obecnie gra rolę skruszonego „świadka koronnego”. Mraz

miał od dawna nagrywać polityków Suwerennej Polski i zgromadzić łącznie ponad 50 godzin nagrań.

Problem z zespołem do spraw rozliczeń PiS jest sformułowany już w samej jego nazwie. Jeżeli politycy poprzedniej władzy popełniali błędy, wykroczenia czy przestępstwa, to do sprawdzenia tychże domniemyanych przewin są powołane odpowiednie państwowe organy. Roman Giertych tymczasem stworzył gdzieś na obrzeżach systemu prawnego swój quasi-państwowy urząd, który lokuje się poza ustrojem politycznym. Raz jest prokuratorem, raz bawi się w adwokata, kiedy indziej występuje jako poseł, najczęściej jednak brzmi jak sędzia ferujący wyroki. Sytuacja byłaby już bardziej klarowna i czytelna (choćby niekoniecznie lepsza), gdyby premier, tak jak zapowiadał, rozdzielił funkcję ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego i powierzył tę drugą właśnie mecenasowi.

Realne konsekwencje tej sytuacji unaocznili niedawno zastępca prokuratora generalnego Michał Ostrowski, który ostro skrytykował Giertycha za sposób, w jaki prowadzi swój zespół. – Do tej pory się nie zdarzyło, żeby tak obszerne dane, tak szczegółowe materiały dowodowe były ujawniane mediom nie przez prokuratora generalnego, który ma do tego prawo [...], tylko przez jednego z podejrzanych i jego obrońców – powiedział Ostrowski podczas konferencji prasowej.

Wydaje się, że sam „nadprokurator” ma większe ambicje niż jedynie szefowanie enigmatycznemu „zespołowi”. W maju polityk zapowiedział ustawę, która ma dokonać weryfikacji kadr w prokuraturze. – Ci, którzy zaprzękali się PiS, nie mogą pozostać w zawodzie prokuratorskim – stwierdził. Kilka tygodni temu poseł opublikował natomiast film zatytułowany „Dość!!!”, w którym ostro zaatakował obecną prokuraturę. – Mamy dość słuchania informacji o kolejnych aferach poprzedniej władzy, a nie słyszenia niczego na temat tego, w jaki sposób ścigacie przestępstwa – mówił, besztając prokuratorów. Co ciekawe, wspomniana komisja weryfikacyjna miałaby zająć się nie tylko rządami PiS, lecz także czasem już po zmianie władzy. Ten ruch można interpretować jako próbę pozbycia się nominatów Zbigniewa Ziobry z prokuratury, ale równie dobrze można w tym widzieć cios zadany obecnemu



Romanowi Giertychowi poświęciliśmy okładkę „Do Rzeczy” nr 4/2015. FOT. JAN

ministrowi sprawiedliwości. Ponieważ Giertych, owszem, zapewnił, że Bodnar „robi bardzo dobrą robotę”, a jego film nie jest wycelowany w ministra sprawiedliwości, to jednak wyraźnie pokazał, że nie jest zadowolony z dotychczasowych rezultatów depisyzacji. Mimo koncyliacyjnych zapewnień, również w kręgach okołoplatformerskich, jego słowa zostały odebrane jak przytyk w stosunku do ministra. „Atakowanie Adama Bodnara jest szkodliwe i głupie [...]. Poskromiłbym ambicje” – napisał na Twitterze Władysław Frasyniuk.

Nie da się nie zauważyć, że proporcje co do podziału ról w rządzie zostały zachwiane, a Giertych de facto obsadził się w roli „nadprokuratora”, który besztą podopiecznych Adama Bodnara, wychodząc z inicjatywą rewolucji kadrowej i dokonując rozliczeń na PiS-owcach. Do frakcji radykałów poszedł sygnał, że obecny prokurator generalny nie potrafił poprawnie rozliczyć Kaczyńskiego i dopiero on, „nadprokurator”, musiał się osobiście zaangażować, aby ratować sytuację. Przecież żaden specjalny „zespół” dublujący obowiązki urzędu prokuratora generalnego nie był wymagany, Giertych nie musiał publikować emocjonalnych tyrad na YouTube, w których besztą prokuratorów podległych Bodnarowi, a swoją inicjatywę ustawodawczą mógł zaproponować klubowi KO albo nawet samemu ministrowi sprawiedliwości.

Po rzeczonym filmie prokuratorzy ze stowarzyszenia Lex Super Omnia wystąpili z oświadczeniem krytykującym poczynania Giertycha, zarzucając mu, że przekracza swoje kompetencje. Jak wskazano – „żaden polityk nie może ingerować w pracę prokuratora ani poprzez narzędzia wpływu wynikające z ciągle obowiązującej ustawy Prawo o prokuraturze, ani poprzez publikowanie treści, w których, jako »człowiek władzy«, łąje szeregowych prokuratorów prowadzących postępowania karne”.

GIERTYCH KONTRA BODNAR

Sam Adam Bodnar zaczął chyba zdawać sobie sprawę z tego, że wyrósł mu konkurent, gdy w połowie kwietnia Giertych wystosował do niego kolejny apel za pomocą mediów społecznościowych,

domagając się pilnego „wszczęcia śledztwa dotyczącego jednego z wątków przestępczej działalności Funduszu Sprawiedliwości” (chodziło o sprawę Krzysztofa Suwarta, pod którym to pseudonimem opublikowano serię artykułów na Wirtualnej Polsce).

– Ja tylko się zastanawiam, dlaczego pan mecenas, pan poseł apeluje głównie za pomocą Twittera, a nie po prostu wysłać pismo. Przecież mógłby wysłać normalne pismo, ja bym zareagował, a tak... – stwierdził Bodnar podczas rozmowy w TVN24 – ... tak to stawia trochę pana na baczność – wtrąciła Monika Olejnik, co było chyba najlepszym podsumowaniem obecnej sytuacji.

Do kolejnego spięcia doszło pod koniec maja, gdy Giertych zażądał odwołania wspomnianego wyżej prokuratora Ostrowskiego (który mianowany został za czasów PiS). Bodnar w odpowiedzi stwierdził, że procedura odwołania wymaga zgody prezydenta, a ponadto prokurator Ostrowski ma obecnie „bardzo ważne zadanie” do wykonania. – Przygotowuję kompleksowy raport na temat ścigania przestępstw VAT-owskich. W tym się specjalizuje, jest uznawany za eksperta. Liczę na to, że za mniej więcej miesiąc na moje biurko trafi wstępny raport – stwierdził. Naprawdę trudno uwierzyć, aby przygotowanie raportu na temat przestępstw podatkowych było dla Bodnara ważniejsze od depisyzacji państwa. Tak samo argument dotyczący trudności proceduralnych ciężko traktować poważnie po tym, jak obecny minister uczestniczył w przejmowaniu Prokuratury Krajowej z pominięciem roli prezydenta, wyrzuceniu Dariusza Barskiego, tworzeniu fikcyjnego stanowiska „p.o. prokuratora krajowego” itd. Wydaje się raczej, że Bodnar po prostu nie życzy sobie, aby to Roman Giertych decydował, kto ma prawo pracować w Prokuraturze, a kto nie.

Jak niedawno donosił Wprost.pl, działanie Giertycha nie spodobało się również politykom KO, którzy uznali to za atak na Bodnara. – Ma „zaleganie afektu” z powodu tego, że nie został ministrem sprawiedliwości [...]. Te ciągłe grillowanie Bodnara i apelowanie na X o działanie w dziesiątkach spraw są zapewne prze-

jawem wyjątkowej pracowitości posła Giertycha, a nie zawiści – stwierdził jeden z rozmówców portalu.

CEL: KATASTROFA

Miedzy Adamem Bodnarem a Romanem Giertychem jest jedna fundamentalna różnica – o ile Bodnar, były rzecznik praw obywatelskich, wygląda na aktywistę autentycznie oddanego lewicowo-liberalnej krucjacie, o tyle Giertycha zdaje się zupełnie nie interesować jakakolwiek realna reforma w wymiarze sprawiedliwości. Obserwując jego poczynania, trudno nie odnieść wrażenia, że to polityczny cynik, którego działalność jest podporządkowana tylko jednej misji: zemście na PiS.

Roman Giertych ma duże ambicje, jednak w gruncie rzeczy nie interesują go ani stanowiska, ani sława. Można powiedzieć, że jest platformerem z konieczności, a nie z poglądów, i o tyle akceptuje lewicowo-liberalne postulaty PO, o ile to pozwala mu egzystować w głównym nurcie polityki i prowadzić dalej swoją antykaczystowską krucjatę. Wątpliwe, by stał się admiratorem LGBT, centralizacji UE czy ekorewolucji.

Dobrze jego obecną ideową kondycję oddaje sprawa aborcji, której to nieformalnie się sprzeciwił. Akceptacja dla liberalizacji przepisów aborcyjnych to był zaporowy warunek, który Donald Tusk stawiał podczas tworzenia list do parlamentu. Jednakże gdy w kwietniu Sejm zajmował się czterema projektami dotyczącymi „praw” do przerywania ciąży, sam Giertych ulotnił się z obrad (w KO panowała dyscyplina partyjna w sprawie tych głosowań). Ta sprawa zdaje się dowodzić, że „nadprokurator” nadal ma pravicowe poglądy, tylko – w jakimś stopniu przynajmniej – poświęcił je w imię zemsty. Bo to zemsta na Kaczyńskim wydaje się jego głównym politycznym celem. Stała się jego programem politycznym.

– Mam jedno marzenie: chciałbym zobaczyć, jak spadają z tych pomników. Cały ten PiS. I nie jestem w tym odosobniony. Jak będzie katastrofa – a będzie – chciałbym ją oglądać z bliska – przyznawał w 2017 r. w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. Minęło siedem lat i Giertych doczekał się wymarzonej katastrofy. Jako „nadprokurator” nie tylko obserwuje ją z bliska – jak planował przed laty – lecz także ją kreuje. Obok Donalda Tuska i Adama Bodnara jest jej głównym architektem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z prof. Antonim Dudkiem,
historykiem, politologiem i publicystą
rozmawia Karol Gac

Roman Giertych ma osobisty uraz do Kaczyńskiego



KAROL GAC: Panie profesorze, w aktualnym numerze „Do Rzeczy” dużo miejsca poświęcamy Romanowi Giertychowi. Młodzi czytelnicy mają prawo nie pamiętać, że obecny poseł Koalicji Obywatelskiej i szef zespołu do spraw rozliczenia PiS był wicepremierem w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. Jak do tego doszło?

PROF. ANTONI DUDEK: To efekt wyborów parlamentarnych z jesieni 2005 r., w których PiS uzyskał najlepszy rezultat, ale był on dalece niewystarczający, by samodzielnie stworzyć rząd. Część młodszych czytelników może być zaskoczona, ale najpierw mieliśmy negocjacje Kazimierza Marcinkiewicza i Jana Rokity w sprawie powołania rządu PO-PiS.

Czy dziś, po blisko 20 latach, da się pana zdaniem wskazać jedną przyczynę, dla której nie powstał oczekiwany przez Polaków PO-PiS, czy też była to raczej suma różnych czynników?

Nie ma jednej, głównej przyczyny, dla której nie powstała ta koalicja. Zresztą spór na ten temat toczył się przez wiele lat, bo obie strony oskarżały się o to, kto bardziej zawinił. Moim zdaniem prawda jest taka, że w ostatecznej instancji zadecydowały o tym stanowiska Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska, a cała reszta jest tylko dodatkiem. Z jednej strony

Donald Tusk miał traumę po przegranych wyborach prezydenckich z Lechem Kaczyńskim, z którym wygrał w pierwszej turze, a z drugiej strony Jarosław Kaczyński lubi dominować i uznał, że PO jest mimo wszystko zbyt silna, więc wołał mniejszych graczy. Ostatecznie negocjacje zakończyły się fiaskiem, ale PiS, jako największa formacja polityczna, mająca w dodatku po swojej stronie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, utworzył mniejszościowy rząd Kazimierza Marcinkiewicza z poparciem Samoobrony, Ligi Polskich Rodzin i PSL. Ludowcy bardzo szybko wycofali się z tego potencjalnego zaplecza rządu. W efekcie zaczął się wielomiesięczny proces wykluwania koalicji, której tak naprawdę nie chciały ani znacząca część LPR, ani PiS, ale logika arytmetyki sejmowej pchała ich ku sobie.

Mieliśmy po drodze choćby tzw. pakt stabilizujący.

To prawda. Tym paktem próbował rozwiązać sytuację Jarosław Kaczyński. Podpisano go na początku 2006 r., a przewidywał on, że LPR i Samoobrona będą popierały sejmowe projekty rządu Marcinkiewicza, nie wchodząc do niego, ale otrzymując rekompensatę w postaci procedowania ich projektów oraz udziału

w różnych stanowiskach. Jednak pakt nie funkcjonował najlepiej, bo co chwila był łamany przez Andrzeja Leppera i Romana Giertycha, którzy uważali, że im się to nie opłaca. PiS zaś straszył ich przez pewien czas przedterminowymi wyborami. Chodziło tu przede wszystkim o kwestię nieuchwalenia budżetu. Ostatecznie PiS się na to nie zdecydował, co po latach Jarosław Kaczyński uznał za swój błąd. Faktem jest, że na Komitecie Politycznym PiS mniej więcej dwie trzecie członków uznało, że trzeba się jakoś dogadać z LPR i Samoobroną. Kaczyński także uznał wówczas, że nie należy robić tej operacji z budżetem i próbować się porozumieć. Nie wiem, dlaczego tak zdecydował, choć można snuć różne przypuszczenia na ten temat. Faktem jednak jest, że operacja z budżetem była naciągana, co spowodowałoby falę ataków wobec Lecha Kaczyńskiego. Donald Tusk groził wtedy m.in. akcją nieposłuszeństwa obywatelskiego w przypadku próby rozwiązania Sejmu. Być może Jarosław Kaczyński nie chciał tym obciążać swojego brata rozpoczynającego urzędowanie. Ostatecznie, po wielu perturbacjach, wiosną 2006 r. powstała koalicja PiS-LPR-Samoobrona, a Roman Giertych i Andrzej Lepper zo-

stali wicepremierami w rządzie Marcinkiewicza.

Choć koalicja dysponowała bezwzględną większością, to jednak od samego początku była obciążona niskim wzajemnym zaufaniem i problemami wizerunkowymi. Niedługo później doszło do odwołania Kazimierza Marcinkiewicza z funkcji premiera, a na czele rządu stanął Jarosław Kaczyński.

Problem polega na tym, że ta większość była stabilna wyłącznie formalnie, a praktycznie – ze względu na to, że koalicjanci sobie skrajnie nie ufali – ten rząd właściwie niewiele mógł zdziałać. Jarosław Kaczyński przyznał później, że nie miał żadnego zaufania do swoich koalicjantów, więc do ich „pilnowania” oddelegował służby specjalne, co zapoczątkowało ich inwigilację, a później dało efekt w postaci tzw. afery gruntowej. Mimo tego rząd Kaczyńskiego miał na swoim koncie kilka sukcesów. Trzeba tu wspomnieć m.in. o podjęciu kluczowych decyzji w sprawie budowy gazoportu w Świnoujściu czy likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych. Większość rzeczy pozostała jednak w sferze planów, bo ten rząd istniał tylko rok, a po drodze był wstrząsany kolejnymi aferami. Przypomnę np., że Andrzeja Leppera usuwano z tego rządu dwukrotnie, bo najpierw bracia Kaczyńscy uznali, że da się zastąpić go PSL, co się ostatecznie nie udało, więc trzeba go było przywrócić po trzech tygodniach.

Warto dodać, że najpierw PiS zawarł koalicję z Samoobroną, a następnie z LPR, choć początkowo Roman Giertych się do tego pomysłu nie palił. Dopiero groźba rozbicia LPR skłoniła go do negocjacji.

To prawda. Roman Giertych mówił później, a sądzę, że nie miało się w tym przypadku z prawdą, iż przystąpił do tej koalicji tylko dlatego, że groził mu rozłam w klubie. Grupa posłów LPR powiedziała mu, że albo przystępuje do rządu PiS-owskiego, albo dołączają do niego sami. Krótko mówiąc, LPR była wewnętrznie niespójna, a Giertych był niejako przymuszony do tej koalicji. Wydaje się, że miał świadomość swojej słabej pozycji negocjacyjnej. Zwłaszcza że z wyborów w 2005 r. LPR wyszła lekko osłabiona, a wyrósł jej potężny PiS.

Jednakże gdy Roman Giertych wszedł do koalicji, robił wiele, by ją utrzymać.

Mówimy o sytuacji, która miała miejsce późną wiosną i latem 2007 r., przed wybu-

chem afery gruntowej, która ostatecznie doprowadziła do wyrzucenia Andrzeja Leppera z rządu. Problem polega na tym, że co innego Giertych mówił wtedy publicznie, a więc, że popiera koalicję, a co innego mówił po latach, gdy twierdził, iż czuł się osaczony przez służby specjalne, przez co marzył o wyjściu z tego rządu. Jedno jest pewne, że kiedy ostatecznie doszło do usunięcia Leppera z rządu, Giertych zdecydował się na współpracę z nim. Powstał nawet taki dziwny, kilkutygodniowy byt pod nazwą Liga i Samoobrona, którego celem było przekonanie Tuska, by to on stanął na czele rządu z poparciem LPR i Samoobrony. To arytmetycznie było rzeczywiście możliwe, ale Donald Tusk się na to nie zgodził, bo porozumiał się z Kaczyńskimi w sprawie przedterminowych wyborów. Mam wrażenie, że Giertych od wiosny 2007 r. nie miał już przekonania do koalicji z PiS. Być może, gdyby nie było afery gruntowej, rząd funkcjonowałby jeszcze przez jakiś czas, ale w mojej ocenie koalicja nie mogła działać na dłuższą metę przy takim poziomie nieufności koalicjantów. Poza tym Giertych był też dezawuowany przez Kaczyńskiego, bo mieliśmy np. słynną naradę ministrów edukacji w Heidelbergu, na której lider LPR wygłosił bardzo ostre przemówienie, że nie można legalizować związków osób tej samej płci i należy zakazać aborcji. Kaczyński odciął się od tego stanowiska, mówiąc, że to były poglądy Romana Giertycha. W koalicji były więc najróżniejsze napięcia.

Jednak po aferze gruntowej Roman Giertych proponował rząd bez liderów partii koalicyjnych, a następnie rząd techniczny z Januszem Kaczmarskim na czele.

Giertych chciał podtrzymać w ten sposób Sejm, bo wiedział, że w kolejnej kadencji będzie miał mniej posłów lub w ogóle ich nie będzie. Chodziło o odgrywanie jakiejkolwiek roli na bazie tego klubu, który miał, stąd obserwowaliśmy takie różne ruchy ze strony Giertycha. To były działania, które przypominały chwytanie się brzytwy przez tonącego. One nie miały zupełnie racji bytu i rozpatruję je bardziej pod kątem kolejnej kampanii wyborczej. Prawda jest taka, że kiedy PiS i PO zaczęły się ze sobą dogadywać, to inni nie mieli już nic do gadania. To była klasyczna szamotanina Giertycha, który

miał poczucie, że tonie, co potwierdziło się niedługo później, gdy LPR otrzymała w jesiennych wyborach niewiele ponad 1 proc. poparcia.

Jak pan patrzy na metamorfozę Romana Giertycha? Blisko 20 lat temu był wicepremierem w rządzie PiS, pozował na ultrakonserwatywnego polityka i był jednym z głównych celów ataku „Gazety Wyborczej”. Dziś jest mecenasem Donalda Tuska, posłem KO i najbardziej nieprzejednanym przeciwnikiem Jarosława Kaczyńskiego. Niewątpliwie przeżył długą drogę.

Zacznijmy od tego, że nie on pierwszy i zapewne nie ostatni, ponieważ mamy wielu polityków, którzy ewoluowali w jedną lub w drugą stronę. Natomiast Roman Giertych jest w gronie tych, którzy rzeczywiście przeszli dość radykalną ewolucję. Moim zdaniem wynikało to z chęci przetrwania i powrotu na scenę polityczną. Kiedy został kompletnie zmarginalizowany, miał do wyboru powrót albo przez PO, albo przez środowiska obecnej Konfederacji. Wybrał pierwszą opcję, uznając, że to krótsza i prostsza droga, bo jednak PO jest dużo silniejsza. Być może częściowo zmienił również zdanie w kwestiach obyczajowych. Jednak głównym motywem była chęć odegrania ponownie istotnej roli politycznej i nie wykluczam, że jest tego bliski. Wydaje się, że Roman Giertych walczy o to, by zostać prokuratorem generalnym.

Wielu krytykowało Donalda Tuska, że dał Romanowi Giertychowi miejsce na liście. Czy biorąc pod uwagę aktywność medialną, polityczną Giertycha oraz emocje i kontrowersje, które wzbudza, jest on mocnym punktem Koalicji Obywatelskiej czy raczej jej obciążeniem?

Na pewno nie był lokomotywą wyborczą, o czym świadczy wynik, który uzyskał. Giertych ma jednak inną zaletę – determinację i bezwzględność w walce z PiS, w co bardzo się zaangażował. Wbrew pozorom nie ma aż tak wielu rozpoznawalnych prawników, którzy by się równie mocno angażowali w to, co jest celem Tuska, czyli rozliczenie PiS. A to będzie fundament polityki Tuska przez najbliższe lata i potrzebuje do tego ludzi. Adam Bodnar, niezależnie od tego, co się w PiS o nim mówi, to nie jest człowiek nawet w połowie tak zdeterminowany jak Roman Giertych. Niewątpliwie Roman Giertych ma osobisty uraz na punkcie PiS i Jarosława Kaczyńskiego, co widać.

Zespół Śledczy nr 2



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

Ludzie wyznaczeni przez Adama Bodnara, by tropić nieprawidłowości poprzedniej ekipy w Ministerstwie Sprawiedliwości, to osoby, które mogą chcieć odreagować osobiste urazy – część z nich została zdegradowana za rządów Zjednoczonej Prawicy

Opowołaniu „zespołu do spraw zbadania nieprawidłowości w Funduszu Sprawiedliwości” poinformowano 30 stycznia. Była to jedna z pierwszych decyzji ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Nastąpiła po tym, jak obsadził w fotelu „pełniącego obowiązki prokuratora krajowego”, niezgodnie z przepisami, Jacka Bilewicza, usuwając z urzędu Dariusza Barskiego. Następnie przeprowadzono konkurs, w którego ramach nowym prokuratorem krajowym został Dariusz Korneluk.

Do zespołu mającego tropić nieprawidłowości w ministerialnym funduszu Bodnar wybrał ludzi, którzy w przeszłości zajmowali się przestępczością zorganizowaną (w tym narkotykową). Być może po to, aby już na samym początku dać opinii publicznej do zrozumienia, że sprawa Funduszu Sprawiedliwości to podobna kategoria potencjalnych przestępstw.

ZDEGRADOWANA NA CZELE

Na czele Zespołu Śledczego nr 2 stanęła Marzena Kowalska, prokurator Prokuratury Krajowej.

Było o niej głośno w Polsce w 2011 r. w związku ze skandaliczną sprawą przekazania przez polskich śledczych z Departamentu Współpracy Zagranicznej Prokuratury Generalnej stronie białoruskiej danych

Na czele Zespołu Śledczego nr 2 stoi prokurator Marzena Kowalska. Za poprzedniej władzy została zdegradowana do zwykłego śledczego

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS



Dariusz Korneluk, prokurator krajowy

FOT. WOJCIECH DUKUŚNIK/EAST NEWS

dotyczących opozycjonisty Alesia Bialackiego. Na ich podstawie Bialackiego zatrzymano. Kowalska jako zastępczyni prokuratora generalnego nadzorowała wtedy ów departament i po zdymisjonowaniu jego szefów czasowo kierowała jego pracami. – Moja zastępczyni nie była bezpośrednio zaangażowana w realizację wniosku białoruskiego – tłumaczył okoliczności skandalu prokurator generalny Andrzej Seremet.

Poprzedni minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro zdegradował Kowalską. Na mocy jego decyzji w 2016 r. stała się szeregowym śledczym. Pod koniec stycznia Bodnar przywrócił ją do pracy na najwyższym szczeblu prokuratury. Kowalska, jako szefowa zespołu śledczego, odpowiada za jego decyzje.

„Wewnętrzny regulamin Prokuratury Krajowej mówi, że choć decyzje powstają w obrębie zespołu, to odpowiedzialność za nie bierze na siebie jego kierownik. I to właśnie robi prokurator Kowalska. Ona jest prokuratorką, która nie ulega presji i nie robi nic takiego, do czego nie miała przekonania” – tak w rozmowie z Onetem Kowalską zachwalał prok. Krzysztof Parchimowicz, założyciel upolitycznionego, wielokrotnie krytykującego rząd Zjednoczonej Prawicy Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia. Według niego Kowalska jest „bystra, twarda i zdecydowana” oraz „nadaje się na funkcje kierownicze”.

Politycy Zjednoczonej Prawicy mają jednak poważne wątpliwości co do umocowania prawnego Marzeny Kowalskiej. – Na początku roku doszło do bezprawnego przejęcia władzy przez Tuska i Bodnara w Prokuraturze Krajowej. Tak zwany Zespół nr 2, zajmujący się Funduszem, a powołany przez nielegalne władze PK, działał zatem bez podstawy prawnej – mówi „Do Rzeczy” Marcin Romanowski, były wiceminister sprawiedliwości. – W jego skład wchodzi w większości prokuratorzy, którzy byli zdegradowani za czasów ministra Zbigniewa Ziobry i którzy mogą mieć również motyw osobistej zemsty. A zatem zgodnie z procedurą karną powinni podlegać wyłączeniu. Ponadto np. kierowniczka zespołu, była „awansowana” przez ministra Bodnara na wniosek Jacka Bilewicza, który nie mógł o to wnosić, ponieważ nie było i nie ma urzędu „p.o. prokuratora krajowego”.

Romanowski to jeden z tych polityków Suwerennej Polski, których zespół

dowodzony przez Kowalską wziął na celownik. W czerwcu prokurator generalny Adam Bodnar przekazał do Sejmu wniosek o wyrażenie zgody na pociągnięcie go do odpowiedzialności karnej oraz jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie. To efekt działań Zespołu Śledczego nr 2, który przekonuje, że Marcin Romanowski „popełnił 11 przestępstw, w tym polegających na udziale w zorganizowanej grupie mającej na celu popełnianie przestępstw przeciwko mieniu, a w szczególności poprzez przekraczanie uprawnień i niedopełnienie obowiązków oraz poświadczanie nieprawdy w dokumentach, wyrządzanie szkody w wielkich rozmiarach w mieniu Skarbu Państwa, w celu osiągnięcia korzyści osobistych i majątkowych”.

Wcześniej, na podstawie materiału zgromadzonego przez bodnarowców, do marszałka Sejmu trafił wniosek o uchylenie immunitetu innemu posłowi Suwerennej Polski, również byłemu wiceministrowi sprawiedliwości Michałowi Wosiowi.

Obok Kowalskiej w skład Zespołu Śledczego nr 2 wchodzi Piotr Woźniak. To on nadzorował sprawę kibica Legii, który spędził za kratami, bez wyroku, osiem miesięcy

Zarzuca mu się wydanie dyspozycji przekazania 25 mln zł dla CBA na zakup oprogramowania Pegasus (ze środków Funduszu Sprawiedliwości). – Cała sprawa tworzona jest na polityczne zamówienie i oderwana od rzeczywistości. Zarzut wobec mnie jest kuriozalny, bo wskazuje, że korzyść majątkową osiągnęło Centralne Biuro Antykorupcyjne, w związku z tym państwo polskie przestało być głuche i ślepe na kryminalistów, a ja w ten sposób działałem na szkodę interesu publicznego. W tym wniosku, w żaden sposób, ani jednym zdaniem nie odniesiono się, jaką osobistą korzyść miałbym odnieść przy tym zakupie, w tym korzyść materialną – komentował Woś w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl.

W ubiegłym tygodniu parlamentarzysta złożył zawiadomienie do prokuratury na działania Bodnara, Korneluka oraz członków Zespołu Śledczego nr 2. Poseł

przekonuje, że kierując wniosek o uchylenie mu immunitetu, przekroczyli oni swoje uprawnienia, wprowadzając Sejm RP w błąd.

Taktyka śledczych jest jasna – chcą dowiedzieć, że politycy oraz urzędnicy, którzy nadzorowali Fundusz Sprawiedliwości, stanowią zorganizowaną grupę przestępczą. „Gazeta Wyborcza” donosi, że z „wypowiedzi przedstawicieli Prokuratury Krajowej i ministra Bodnara wynika, że według śledczych do tego przestępczego »układu« należał też szczeciński poseł Dariusz Matecki [...]”. Po Romanowskim to nazwisko Mateckiego zostało wymienione w kontekście wniosku o uchylenie kolejnego poselskiego immunitetu”. Według „GW” taki wniosek pojawi się w najbliższym czasie.

ŚLEDZCY OD SPRAWY „STARUCHA”

Obok Kowalskiej w skład Zespołu Śledczego nr 2 wchodzi także Piotr Woźniak, prokurator Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. To on nadzorował sprawę Piotra Staruchowicza ps. Staruch, kibica Legii Warszawa, który zasłynął z organizacji akcji protestacyjnej kibiców przeciwko rządowi Donalda Tuska. „Gazeta Polska” przypominała w kwietniu, że Staruchowicza nazywano „osobistym więźniem Tuska”. „Prokurator Woźniak dziś znów zajmuje się przeciwnikami premiera. »Staruch« został prawomocnie uniewinniony, a zeznania świadka koronnego, któremu uwierzył prokurator Woźniak, okazały się kompletnie niewiarygodne” – podała „GP”. Piotr Staruchowicz, oskarżony o handel narkotykami, spędził za kratami, bez wyroku, osiem miesięcy.

Kolejnym członkiem zespołu jest Ryszard Pęgał, prokurator Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. Wydaje się, że także w jego przypadku Bodnar próbuje naprawić „krzywdy” wyrządzone rzekomo przez Ziobrę. W 2016 r. Pęgał był wymieniony w raporcie Stowarzyszenia Prokuratorów Lex Super Omnia jako jedna z osób zdegradowana przez ówczesnego ministra sprawiedliwości. „Pan Ryszard Pęgał to umysł analityczny, który pomoże nam w uszeregowaniu podjętych spraw” – twierdzi rzecznik Prokuratury Krajowej prok. Przemysław Nowak.

Potencjalne nieprawidłowości wokół Funduszu Sprawiedliwości tropi także Marcin Wielgomas, prokurator Prokuratury Regionalnej w Warszawie, który jako

■ jeden z wielu sprzeciwił się reformie wymiaru sprawiedliwości przeprowadzonej przez poprzednią władzę. Wielgomas był bowiem jednym z sygnatariuszy listu „w obronie represjonowanych” sędzin, w 2022 r. przeniesionych karnie z wydziału karnego Sądu Apelacyjnego w Warszawie do wydziału pracy i ubezpieczeń społecznych. Wszystko dlatego, że uchylały one orzeczenia sędziów powołanych przez nową Krajową Radę Sądownictwa (nieuznaną przez dużą część środowiska sędziowskiego) i odmawiały orzekania z tzw. neosędziami. Po roku nacisków środowiska sędziiny wróciły do pierwotnego wydziału.

Ze składu zespołu zadowolona jest poseł KO Kamila Gasiuk-Pihowicz. – Prokurator generalny wyznaczył jednych z najlepszych prokuratorów i ma do nich zaufanie. Skoro występowali przy takich sprawach, to oznacza to, że minister Adam Bodnar i Koalicja Obywatelska traktują temat marnotrawienia pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości poważnie. Kaliber jest duży, bo to setki milionów złotych – oceniła.

WEJŚCIE DO DOMU ZIOBRY

Na pierwszą „spektakularną” akcję pod auspicjami „zespołu Kowalskiej” nie trzeba było długo czekać. Tuż przed Wielkanocą ABW wraz z prokuratorami prowadzili przeszukania i zatrzymania dotyczące sprawy Funduszu Sprawiedliwości. Służby wkroczyły m.in. do domu Zbigniewa Ziobry w Jeruzalu, domu i pokoju w hotelu sejmowym byłego wiceministra sprawiedliwości Michała Wosia oraz trzech domów zakonu sercanów (w tym budynku zajmowanego przez fundację Profeto). Wtedy to aresztowano ks. Michała Olszewskiego, szefa Profeto. Fundacja dzięki środkom z Funduszu Sprawiedliwości rozpoczęła budowę ośrodka pomocy ofiarom przestępstw Archipelag na stołecznym Wilanowie. Budynek w stanie surowym był na ukończeniu, gdy prace wstrzymano. Niedawno Sąd Okręgowy w Warszawie przychylił się do wniosku prokuratury, która domagała się ponownego zastosowania wobec kapłana środka zapobiegawczego. Oznacza to przedłużenie aresztu o kolejne trzy miesiące.

Śledczy z Prokuratury Krajowej postawili na początku czerwca ks. Olszewskiemu nowe zarzuty (dodatkowe zarzuty usłyszały też dwie inne osoby aresztowane

Sędzia, która przychyliła się do wniosku o przedłużenie aresztowania ks. Michała Olszewskiego, to żona znanego rajdowca. Sportowiec jest oskarżony o oszustwa skarbowe

podczas akcji z końca marca: Urszula D., była dyrektor Departamentu Funduszu Sprawiedliwości, oraz Karolina K., zastępca dyrektora Departamentu Funduszu Sprawiedliwości). W przypadku duchownego chodzi o „pranie brudnych pieniędzy”.

– Bardzo krytycznie oceniam ostatnie rozstrzygnięcie Sądu Okręgowego w Warszawie dotyczące uwzględnienia wniosku prokuratora o przedłużenie aresztu wobec ks. Michała Olszewskiego SCJ o kolejne trzy miesiące. W mojej ocenie nie zachodzi żadna z przesłanek warunkujących zastosowanie najbardziej dolegliwego środka zapobiegawczego, jakim jest tymczasowy areszt. Prokuratura nie uprawdopodobniła, że czyny, które przypisała ks. Michałowi, są czynami o charakterze przestępczym. Nie wskazała wiarygodnych dowodów na poparcie swoich stwierdzeń – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” pełnomocnik sercanina, mec. Krzysztof Wąsowski. Dodaje, że także tzw. szczegółowe przesłanki stosowania tymczasowego aresztowania – zagrożenie wysoką karą, obawa mactwa procesowego czy też obawa ucieczki – „nie zostały poparte przez prokuraturę wiarygodną argumentacją”. – Ewentualna obawa przed ucieczką oraz obawa tzw. mactwa procesowego nie zostały niczym uargumentowane, a powszechnie już wiadomo, że mówienie o mactwie ks. Michała przy zebranych i w dużej części ujawnianym publicznie materiale dowodowym zakrawa raczej na żart niż na poważną argumentację tzw. wniosku aresztowego – podkreśla adwokat. Zaznacza, że nabiera coraz głębszego przekonania, iż „cała ta sprawa jest na wskroś przesiąknięta polityką, a nawet swoistą zemstą polityczną”, a „ks. Michał Olszewski stał się ofiarą” tej zemsty.

Odnosząc się do prokuratorów powołanych w skład Zespołu Śledczego nr 2, mec. Krzysztof Wąsowski mówi tak:

– Dotąd starałem się unikać swego „epitetowania” owych prokuratorów. Nie mniej mam narastające przeświadczenie, że często bardzo sensytywnie reagują na wypowiedzi polityczne istotnych polityków, takich jak minister sprawiedliwości czy też prezes Rady Ministrów. Takie koincydencje zapowiedzi polityków oraz działań prokuratorów budzą jak najgorsze skojarzenia z czasów „służnie minionych”. Pracę owego zespołu prokuratorskiego oceniam bardzo krytycznie.

Sędzia, która przychyliła się do wniosku o przedłużenie aresztu wobec ks. Michała Olszewskiego, to Anna Kuzaj, członek organizacji Iustitia. Od 2014 r. jest żoną kierowcy rajdowego Leszka Kuzaja. Tak się składa, że Kuzaj wraz z 16 pracownikami i partnerami biznesowymi jest oskarżony o oszustwa skarbowe przy obrocie luksusowymi samochodami. Według śledczych rajdowiec założył zorganizowaną grupę przestępczą, która zaniżała wartość aut o akcyzę i podatek VAT, i kierował nią. W wyniku działalności tej grupy, w latach 2014–2017, Skarb Państwa miał stracić 7 mln zł i zostać narażony na stratę blisko 3,8 mln zł. Kuzaj został zatrzymany w 2021 r. na polecenie Prokuratury Okręgowej w Krakowie w czasie, gdy prokuratorem generalnym był Zbigniew Ziobro. Proces kierowcy i innych oskarżonych miał ruszyć 11 czerwca, jednak wtedy w sądzie nie pojawił się obrońca byłego rajdowego mistrza Polski. Kolejny termin, 24 czerwca, również nie doszedł do skutku, ponieważ wtedy z kolei na rozprawę nie przyszedł pełnomocnik innego z oskarżonych, Dominika Cz.

Na przeszukania dokonane w marcu w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości wpłynęło 13 zażaleń, także od posłów, wobec których dokonywano czynności. – Wszystkim zażaleniom nadano bieg procesowy. Do każdego prokurator przygotował indywidualne stanowisko w przedmiocie zasadności prowadzonej czynności. Oczywiście niezawisły sąd podejmie decyzję, czy te czynności przeprowadzono w zgodzie z przepisami – stwierdziła prokurator Marzena Kowalska podczas posiedzenia sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. Szefowa bodnarowców zapewnia, że wszystko odbywa się zgodnie z prawem, wobec którego wszyscy, także posłowie, są równi.

© All rights reserved

Telewizja Republika przedstawia komiks historyczny „Monte Cassino” oparty na relacjach walczących w bitwie żołnierzy generała Andersa. Wydanie zbiorcze zawiera tom pierwszy, drugi i trzeci trylogii.



DO KUPIENIA NA
www.sklep.tvrepublika.pl



W Małopolsce, gdzie rządzi Beata Szydło, działacze otwarcie sprzeciwili się pomysłom Jarosława Kaczyńskiego

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

PiS w poszukiwaniu PiS



Rafał A. Ziemkiewicz

Sytuację w Prawie i Sprawiedliwości najlepiej oddaje fraza z filmu Stanisława Barei: „ogólny brak koncepcji”

Takich rzeczy jeszcze Prawo i Sprawiedliwość nie widziało. Partyjne doły zaczęły otwarcie już odmawiać wykonywania zarządzeń prezesa, czego spektakularnym przykładem jest klincz w sejmiku małopolskim i dwukrotne już zablokowanie przez część radnych PiS wyboru na marszałka Łukasza Kmity, mimo jednoznacznego wskazania go przez Jarosława Kaczyńskiego. Partyjna „wierchuszka”

oskarża ich o „inspirowaną z zewnątrz” (wiadomo przez kogo) zdradę i tłumaczy sytuację „doborem niewłaściwych osób na listy wyborcze do Sejmu”. Podobne słowa słyszeliśmy już na Podlasiu, gdy dwoje radnych wybranych z listy PiS zagłosowało razem z partiami koalicji rządowej i de facto po prostu przeniosło się do niej, pozbawiając PiS większości i zdobywając dla siebie stanowiska – jak można się domyślić – lepsze od tych, na

które mieli szansę w rozdaniu PiS-owski. Przykra sprawa, ale dość banalna – takie fikołki widziała już polska polityka wielokrotnie, zarówno na poziomie krajowym, jak i lokalnym, by wspomnieć choćby Bartosza Arłukowicza czy Wojciecha Kałużę.

SZYDŁO I ADAMCZYK KONTRA KACZYŃSKI

Tym razem widzimy jednak coś innego: konflikt wewnętrzny, bunt działaczy, którzy wcale nie zamierzają z partii odchodzić, chcą natomiast, żeby kierownictwo uszanowało ich zdanie. Jako inspirowator i przywódca tego buntu wskazują tzw. źródła wewnątrz partii byłą premier Beatę Szydło – istotnie, nie kryła ona, że kandydaturę Kmity, postrzeganego jako „spadochroniarz”, uważa za obrazę dla bardziej zasłużonych działaczy partii.

I choć w mediach jako promotor Kmity występuje głównie Ryszard Terlecki, i to on właśnie miota gromy na „zdrajców” oraz domaga się powtórzenia wyborów, oczywiście już bez „nielojalnych” osób na listach, to nikt nie ma wątpliwości: to bunt przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu, bo to on, zdaniem zbuntowanych działaczy, „uparł się” na tego kandydata, a Terlecki, jako jeden z wiernych towarzyszy z partyjnej „pierwszej brygady”, realizuje tylko jego wolę.

Konflikt, jak się zdaje, dojrzewał już od dawna i kandydatura Kmity, wrzucona ponad lokalnymi ustaleniami z Nowogrodzkiej, była tylko kroplą przepełniającą czarę. „Małopolską organizacją PiS teoretycznie rządzą Beata Szydło i Andrzej Adamczyk, ale to Terlecki podejmował decyzje, a potem ich rozliczał, że nie mają wyników. Nic dziwnego, że w końcu się wściekli” – wyjaśnia anonimizowane źródło Joanny Miziołek i Elizy Olczyk, autorkę podcastu „Niedyskrecje parlamentarne”. Podobnie – „w końcu się wściekł” – jest, jak się wydaje, z Janem Krzysztofem Ardanowskim, który po długim, cierpliwym znoszeniu sztyku prezesa Kaczyńskiego ogłosił w minionym tygodniu w wywiadzie dla Anny Nartowskiej z portalu Wawa.info: „Prawo i Sprawiedliwość nie ma realnej szansy powrotu do władzy, dlatego zakładam nową partię”.

Ardanowski wprawdzie nie odcina się stanowczo od PiS, przeciwnie: deklaruje, że nowa partia gotowa będzie – a nawet,

że po to właśnie zostanie powołana – tworzyć koalicję z Prawem i Sprawiedliwością oraz Konfederacją, bo tylko w takiej konfiguracji centroprawica może odzyskać władzę. Dopuszczalne jest więc podejrzenie, że jego ruch jest powtórką z manewru, który Tusk wykonał już kilkakrotnie z Palikotem, Petru i Hołownią. Byłoby to rozsądne: jak pokazują sondaże, żadna z partii tożsamościowych – ani tradycjonalistyczno-patriotyczna, ani progresistowsko-kosmopolityczna – nie ma obecnie szansy na samodzielną większość. PO i jej lewicowo-liberalne salony po ośmiu latach wmawiania sobie, że naród (pardon, w języku pojęciowym tej formacji „społeczeństwo”) już, już za chwilę przejrzy na oczy, rzuci się na kolana przed swoimi elitami i będzie je przeproszać za to, że dało się uwieść

w Zjednoczonej Prawicy, Solidarna, a potem Suwerenna Polska Ziobry, traktowany był zawsze per noga i jest właśnie, gdy jej lidera wyeliminowała z bieżącej polityki choroba, dorzynany.

Groteskowe dzieje powyborczego „kongresu patriotycznego”, który miał stanowić początek szerszej, prawicowej formacji z PiS jako jednym z uczestników, a który ciągle odwlekano, aż w końcu okazał się konwencją wyborczą PiS, z udziałem kilku zwabionych podstępem pozapartyjnych ekspertów, dowodzą, że myśl o „hodowaniu” koalicjanta, jakiegoś „prawicowego Hołowni”, jest starcom z Nowogrodzkiej głęboko obca. Podobnie jak w PO po roku 2015, tak w PiS po roku 2023 panuje przekonanie, że trzeba być opozycją totalną, niczego w sobie nie zmieniać, za nic nie przeproszać – bo to

Otoczenie Kaczyńskiego i on sam do dziś nie zrozumieli, dlaczego Polacy dali im osiem lat władzy, przez sporą część tego czasu ograniczanej tylko przez ingerencję z zewnątrz

„populistom”, nie przebiły swego szklanego sufitu poparcia, wróciły do władzy wyłącznie dzięki 3 mln wyborców uwiedzionych przez niby-alternatywny dla „starego układu” projekt Trzeciej Drogi.

Rzecz w tym, że Jarosław Kaczyński nigdy nie rozumował w taki sposób. W jego politycznym katechizmie tworzenie koalicji jest traktowane podobnie jak w regulaminach wojskowych Armii Czerwonej i tzw. Ludowego Wojska Polskiego działania obronne: jako coś oddalającego od sukcesu, a więc dopuszczalnego tylko wyjątkowo, na krótko i tylko taktycznie, w celu stworzenia podstaw do wyprowadzenia natarcia (to znaczy: do przejęcia rządów samodzielnymi). Nawet najstarsi komentatorzy nie pamiętają już, że u zarania PiS jego równorzędnym członkiem było Przymierze Prawicy, z Markiem Jurkiem i Kazimierzem Ujazdowskim. Lepiej zachowały się w pamięci losy Samoobrony Andrzeja Leppera, którego Kaczyński zniszczył prowokacją CBA, i LPR Giertycha, która też koalicji z PiS nie przeżyła, choć, przynajmniej, w wypadku tej ostatniej formacji nie ma wątpliwości, że było to z korzyścią dla kraju. Także „partner”

byłoby okazaniem słabości – i byle tylko uniemożliwić powstanie po swojej politycznej stronie znaczącej konkurencji, wrócimy w końcu do władzy, po prostu siłą rzeczy: jak ludzie się zniechęcą do nich, to zagłosują na nas.

GRA NA PRZECZEKANIE

Otoczenie Kaczyńskiego i on sam do dziś nie zrozumieli, dlaczego Polacy dali im osiem lat władzy, przez sporą część tego czasu ograniczanej tylko przez ingerencję z zewnątrz – bo w kraju PiS miał wszystko: Sejm, Senat, prezydenta, Trybunał Konstytucyjny, Radę Mediów Narodowych, Krajową Radę Radiofonii i Telewizji itd. Na Nowogrodzkiej uznano, że nastąpiło to dzięki przyłączeniu do „żelaznego”, kulturowego elektoratu, elektoratu prymitywnie wygłosowującego sobie świadczania. W gruncie rzeczy PiS podszedł do „zwykłych Polaków”, o których tyle mówiła premier Szydło, z podobną, inteligentną pogardą jak lewicowo-liberalne salony: wystarczy dawać im kasę i mamy ich w kieszeni. Stąd fatalna kampania wyborcza w 2023 r. doprowadzająca obietnice

kolejnych „plusów” do absurdu i stąd też przekonanie, że oczekiwany pod rządami Tuska spadek zamożności i poziomu życia popchnie wyborców znowu ku PiS. Od wysoko postawionych polityków partii słyszy się często: zmiany nastrojów nie następują szybko, ale następują nieuchronnie, trzeba cierpliwie czekać, unikając gwałtownych ruchów.

wamy w pojedynkę z całym światem i rządźmy niepodzielnie albo pozostajemy w nieprzejednanej opozycji” prowadzi nieuchronnie na manowce. Można sobie jeszcze wyobrazić Kaczyńskiego z Terleckim, Sasinem i Morawieckim, osiagających w głosowaniu wynik lepszy od wyniku PO – ale osiagających wynik powyżej 50 proc., czy nawet powyżej

też przedstawiono dopiero pół roku przed wyborami. Do jesieni więc jest czas na wypuszczanie różnych balonów próbnych i testowanie różnych propozycji.

Co z punktu widzenia partii najbardziej niepokojące, to nie to, że kandydatura w wyborach prezydenckich spoczywa w rękach Jarosława Kaczyńskiego, ale to, że z dotychczasowych przenikających do mediów wypowiedzi jego i jego współpracowników można wnosić, iż podobnie jak o przydzieleniu miejsc na listach wyborczych do europarlamentu w przymiarkach do prezydentury brane są pod uwagę głównie układy i lojalności partyjne, a nie merytoryczna analiza wyzwań, które stają przed Polską, i priorytetów zbliżającej się kampanii. Logika polityki nastawionej na dobro wspólne nakazywałaby przede wszystkim określić, co ma mieć do powiedzenia kandydat na prezydenta, jakiej prezydentury potrzebować będzie Polska w obliczu wyzwań dla naszej niepodległości, stwarzanych przez niemieckie centralizowanie Unii Europejskiej i napór ze wschodu – i dopiero z tą wiedzą szukać odpowiedniego kandydata. Logika partyjna skłania jednak do szukania kandydata, który przede wszystkim, jeśli wygra, nie będzie wyzwaniem dla partyjnej „kolejności dziobania” i nie zgrzeszy polityczną samodzielnością.

W jednym z filmów Stanisława Barei padają słowa: „Rządy sanacyjne cechował ogólny brak koncepcji”. Doskonale oddają one stan, w którym znalazł się po utracie władzy i w którym nadal tkwi PiS. Nie przepracował i nie zrozumiał, ani dlaczego i dzięki komu rządził, ani dlaczego i przez kogo władzę stracił. Nie wie, jak odzyskać władzę, ponieważ nie wie przede wszystkim, po co chce ją odzyskać. Partyjni geronci, ignorując dowody demobilizacji zniechęcenia wyborców, upierają się, że wszystko było i jest doskonale, przejściowe problemy są wynikiem wrogich knowań i trzeba tylko „mocniej zewrzeć szeregi” i uciszyć malkontentów. Partyjna opozycja wie, że formacja prowadzona jest donikąd i straciła wiarę w nieomylną wodzą, ale jak i na kogo można by go wymienić – nie ma jeszcze nawet cienia pomysłu.

Na wypracowanie nowej koncepcji partii, nowej tożsamości i nowego politycznego planu jest jeszcze czas. Ale nie ma go zbyt wiele. © Wszelkie prawa zastrzeżone

PiS nie zrozumiał, ani dzięki komu rządził, ani dlaczego i przez kogo władzę stracił. Nie wie, jak odzyskać władzę, ponieważ nie wie przede wszystkim, po co chce ją odzyskać

W tak prosto rozumianej politycznej rzeczywistości (czy może raczej: nierzeczywistości) cały wysiłek, który wystarczy włożyć partii w odzyskanie władzy, ograniczać się może do „rebrandingu”. Wypuszczony do mediów przeciek, że PiS w następnych wyborach zamierza wystąpić jako partia „Biało-Czerwoni”, jest przejawem politycznej pychy graniczącej z szaleństwem. Zmiana nazwy ma rynkowy sens, jeśli jest poprzedzona zmianą oferowanego produktu. Bez tego – czyli w wypadku partii, która rządziła przez ostatnich osiem lat, bez jakiegokolwiek rozliczenia się z odczuwanymi przez wyborców błędami tych rządów – jest w najlepszym wypadku nieskuteczna, a może wręcz partię ośmieszyć. Sięganie po hasło kojarzące się z przyspieszaniem kibiców piłkarskich (pomińmy już, że z naszymi piłkarzami, zaliczającymi jedną kompromitację za drugą, niezbyt mądrze jest się kojarzyć) wydaje się jeszcze jednym dowodem skrajnego lekceważenia dla wyborców. Prawo i Sprawiedliwość, za którym ludzie tęsknili ćwierć wieku temu, gdy partia powstawała, nie są już na topie, więc znajdziemy do nowej nazwy coś, co jest. Tak samo myślała formacja Zbigniewa Ziobry, podmieniając w nazwie „solidarności społeczną” na „narodową suwerenność” – i nic jej to przecież nie dało.

DOŁY WIEDZĄ LEPIEJ

To, co uparcie wypierane jest przez ścisłe kierownictwo, dociera jednak coraz bardziej do działaczy niższego szczebla: strategia polityczna „wygry-

42 proc., bo tyle może wystarczyć do samodzielnej większości, już nie. Warunkiem powrotu do władzy są więc nowe twarze, nowy program – choćby miał to być tylko lifting, a nie głęboka zmiana – oraz „zdolność koalicyjna”.

Tak zapewne myśli większość młodszych polityków PiS; może nie ci pokroju Michała Moskala, ale ci w typie Kacpra Płażyńskiego, mający od dawna powody do frustracji, bo przecież w języku Jarosława Kaczyńskiego większym przejawem lekceważenia niż słowa „pan jest jeszcze młody” jest tylko „pani jest jeszcze młoda”. Nowa partia Ardanowskiego wychodzi więc naprzeciw oczekiwaniom nie kierownictwa PiS, ale wewnątrzpartyjnej opozycji – a może wręcz powstaje w porozumieniu z nią. Na co zdawałyby się wskazywać wypowiedziane przez byłego ministra rolnictwa, zdymisjonowanego po sprzeciwieniu się „piątce dla zwierząt”, w tym samym wywiadzie słowa: „Pewne tabu związane z prezesem Kaczyńskim również się skończyło; to przekonanie, że jest osobą nieomylną, że jest jakimś genialnym strategiem, którego nie wolno krytykować”. Czy to tylko chciejstwo czy opis faktycznej zmiany nastrojów w partii?

Jeśli nawet wiara w Jarosława Kaczyńskiego z wolna się w szeregach PiS kruszy, to i tak nadal ma on w ręku wszystkie narzędzia, by partię kontrolować. I to on zadecyduje, kogo PiS wystawi w przyszłym roku w wyborach prezydenckich. Kierownictwo – jak wynika z rozmaitych przecieków – uważa, że nie ma z tym pośpiechu: kandydaturę Andrzeja Dudy

Parę dni przed wyborami do europarlamentu doszło do pewnego interesującego sporu, który w obliczu emocji wyborczych umknął większości Polaków. Oto Wacław Jan Kroczek, pochodzący ze Śląska były asystent Łukasza Kohuta, publicznie ostrzegł przed oddawaniem głosów na niedysyjszego kandydata lewicowej Wiosny, a później Koalicji Obywatelskiej i zwolennika ruchu autonomistów śląskich. Kroczek pisał: „Byłem asystentem Kohuta. Zostałem z nim, bo startował z Wiosny Roberta Biedronia. Szybko jednak wiosenne wartości ustąpiły miejsca śląskiemu radykalizmowi. Nie czułem się z tym dobrze. Radykalizm jest zły. Wprowadza niezgodę, rujnuje relacje. Śląsk tego nie chce. Nie głosuj na Kohuta”.

Były asystent przypomniał, że Kohut współtworzył razem ze ślązakowskim raperem Kieronem teledysk „Banita” – swoisty manifest niechęci wobec Polski za rzekomy wyzysk Śląska. Jak wskazywał Wacław Jan Kroczek: „W piosence, której nazwisko dał i promował Kohut, pada haniebny zwrot »polskie obozy koncentracyjne«. Nie trzeba ani być, ani czuć się Polakiem, by szanować Polskę – kraj, który już raz dał ci mandat w PE. Jako Ślązak mówię stop nacjonalizmowi”.

HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ

Wystąpienie byłego asystenta Kohuta nie wpłynęło na wynik wyborów. Kohut otrzymał 108 tys. głosów i dostał się do europarlamentu. Jednak bardzo charakterystyczne były wpisy na Twitterze reagujące na wystąpienie Krocza. Rafał Rzepka, jeden z współtwórców projektu ustawy o uznaniu godki śląskiej za język regionalny, tak odpowiadał Kroczkowi: „Haniebne to jest twoje zachowanie negujące istnienie obozów, w których POLACY mordowali ŚLĄZAKÓW. Nie masz prawa mianować się Ślązakiem, jeśli negujesz pamięć o powojennych wydarzeniach i realnych sprawcach tej zbrodni”. Niezwykle ostro zareagował też Łukasz Tudzierz, znany bloger z obozu autonomistów: „Polskie obozy koncentracyjne w odniesieniu do powojennych czasów są niepodważalnym faktem historycznym. Szokujące jest, że pan jako Ślązak może to podważać”.

Kontrowersja, do której odnieśli się wcześniej Kroczek, a potem w reakcji na jego wpis Rafał Rzepka i Łukasz Tudzierz,

jest w realiach Górnego Śląska bardzo wrażliwym tematem. Spór dotyczy powojennych obozów założonych najpierw przez sowieckie NKWD, a potem przejętych przez polski Urząd Bezpieczeństwa. Do obozu tego trafiali zarówno Ślązacy podejrzani lub oskarżani o kolaborację z Niemcami w czasie wojny, jak i Ślązacy, którzy padali ofiarą niesprawiedliwych oskarżeń. Często zdarzało się, że oficerowie UB mający ochotę na przejęcie czyjegoś atrakcyjnego mieszkania, np. w centrum Katowic, formułowali ad hoc oskarżenie o kolaborację.

W końcu lat 90. Ruch Autonomii Śląska rozpoczął swoisty kult pamięci ofiar obu obozów. Taki rodzaj pamięci nie budziłby żadnych kontrowersji, gdyby nie jego wyraźnie nagłośnione propagandowo antypolskie ostrze. Aktywiści RAŚ zaczęli głosić tezę, że szczególnie obóz w Świętochłowicach-Zgoda został stworzony dla eksterminacji Ślązaków przez Polaków. Teza ta w oczywisty sposób jest fałszywa. Oliwy do ognia dołało jeszcze wydanie przed paroma laty przez wydawnictwo Znak książki Marka Łuszczyny „Mała zbrodnia. Polskie obozy koncentracyjne”.

Nie chodzi tylko o godkę



Piotr Semka

Wszelkie spory o godkę to tylko czubek góry lodowej. Prawdziwe zarzewie konfliktu drzemie w zupełnie bezrefleksyjnym rozwijaniu głęboko niechętniej Polsce wizji tożsamości śląskiej i dziejów tego regionu

Świętochłowice-Zgoda, bo ona jest w centrum wykreowanego przez śląskich autonomistów ruchu pamięci, były typowym tzw. filtracyjnym łagierem, który NKWD zakładało na trasie przemarszu wojsk Armii Czerwonej przez Polskę, aby wyłapywać osoby bądź kolaborujące z III Rzeszą bądź uznawane za niebezpieczne dla Związku Sowieckiego. Takie same obozy istniały w całej Polsce. Na przykład w Warszawie podobną rolę odgrywał obóz NKWD, a potem UB w Rembertowie. Z tej racji do obozów w Łambinowicach i Świętochłowicach-Zgodzie trafiali też AK-owcy, żołnierze NSZ – w zdecydowanej większości Polacy.

Autor tej pozycji użył tego określenia, wiedząc, że jest to dodatkowo zahaczenie o polskie spory z zachodnimi mediami, gdzie to określenie używane było w kontekście hitlerowskich fabryk zagłady takich jak Auschwitz-Birkenau czy Treblinka. Można było odnieść wrażenie, że RAŚ specjalnie chciał sprowokować polską opinię publiczną.

Dlaczego tyle miejsca poświęciłem tej kontrowersji? Pokazuje ona, że aspiracje organizacji typu RAŚ do uznania Ślązaków za mniejszość etniczną nie można sprowadzić jedynie do sporu o uznanie godki śląskiej za język regionalny lub samego problemu, czy godki nauczać

■ w śląskich szkołach jako osobny przedmiot. Jeśli coś wywoła konflikt, który może gwałtownie podzielić mieszkańców województwa śląskiego, to jest to promowanie przez autonomistów wizji historii, która musi wywołać sprzeciw nie tylko na terenie regionu, lecz także u dużej części Polaków mieszkających poza Górnym Śląskiem.

WSZYSTKO, CO ZŁE, OD POLSKI

Wróćmy jeszcze na chwilę do współtworzonej przez „Kierona” z Łukaszem Kohutem rapowej piosenki „Banita”. Jej tekst dobrze obrazuje zazwyczaj mało znaną poza Górnym Śląskiem skalę wrogości wobec Polski:

*Za co mnie tak nienawidzisz, odpowiedź mi Polsko
Ukradłaś mi tożsamość, bawisz się historią
Nigdy nie akceptowałaś mojej odmienności
Udajesz, że mnie nie ma, ignorować jest ci prościej
Żądam zrozumienia, niech z ukrycia wyjdzie prawda
Nie mam złych intencji, choć skreśliłaś mnie za bajtla*
[określenie dziecka w godce śląskiej – przyp. P.S.]

*Noszę to na barkach, a ty nieustannie łezes
Się nie dziw, że już dość, to mój skromny manifest
Czego jeszcze chcesz, gdy już odebrałaś wszystko
Wyrutków ferajna, takich jak ja milion
My to najgorsze zło, uosabiam twoje lęki
Mówię o tym głośno, mimo że negujesz język
Mój hajmat to ruina, przemysł spisałaś na straty
Bez twoich chciwych łap byłibyśmy Monakiem
W zamian bieda i destrukcja, się odbudowałaś za to
Nie do twarzy ci zegarek, weź banana lepiej affo*
[die Affe (z języka niemieckiego – małpa) to aluzja do obraźliwego powiedzenia brytyjskiego premiera Lloyd George’a o tym, że dać Polsce Śląsk to tak, jak obdarować małpę zegarkiem – przyp. P.S.]

*Już nie wpoisz propagandy, mam w głowie tylko fakty
Znam prawdę o powstaniach, autonomii i Korfantym
Już czas by mówić głośno o twoich obozach
Tragedia Górnos Śląska Łambinowice-Zgoda
Wraz ze świadomością między nami rośnie ściana
Nie jesteś mą ojczyzną bo mnie nigdy nie kochałaś
W historii jest klucz na jej zatajonych kartach
Od zawsze na zawsze wróg publiczny państwa.*

Zachęcam państwa do małego ćwiczenia umysłowego. Wyobraźmy sobie, że po uznaniu języka regionalnego po jakimś czasie dochodzi do uznania Ślązaków za oficjalną mniejszość etniczną w Polsce. Nie ma żadnej wątpliwości, że Ruch Autonomii Śląska zażąda wtedy prawa do wprowadzenia obok zajęć w szkołach z nauki „języka śląskiego” także tzw. wiedzy o regionie,

której kluczowym elementem będzie nauka historii Śląska. Nie ukrywa tego znany sojusznik ruchów ślązakowskich pisarz Szczepan Twardoch, który podkreśla: „Śląskość nie jest wspólnotą języka, lecz wspólnotą pamięci”. To wyraźne zaznaczenie jest swego rodzaju zabezpieczeniem, na wypadek gdyby próby kreowania godki na osobny język nie spotkały się z większym zainteresowaniem mieszkańców województwa śląskiego.

Zwolennicy autonomii mają już przygotowaną odpowiedź na ewentualne zarzuty, że skoro godka specjalnie nie zyskuje popularności, to kwestia osobnego narodu śląskiego jest bezprzedmiotowa. W publikacjach niektórych publicystów z tego środowiska jest już gotowy kontrargument. To, że Ślązacy używają języka polskiego i wolą się nim posługiwać, nie jest żadnym argumentem na to, że są Polakami. Uzasadniają to tak: większość Irlandczyków mówi po angielsku, ale nie jest Anglikami. Sprytne prawda?

Wróćmy jeszcze do wizji historii Śląska. Wśród części pragnących wykazywać dobrą wolę polskich obserwatorów w dyskusji o tzw. śląskim regionalizmie pojawia się niekiedy pojednawczy argument: „Nie da się opowiadać o przeszłości Śląska z wykreśleniem wpływów niemieckich. Polak z Warszawy czy z Krakowa musi zaakceptować to, że w opowiadaniu o tym regionie muszą znajdować się nawiązania do tradycji kultury niemieckiej”. Autorzy takich konciliacyjnych opinii zazwyczaj nie zdają sobie sprawy, jak dalece wizja historii lansowana przez ruch ślązakowski nasycona jest bezkrytycznym przyjmowaniem opinii wziętych z niemieckiej historiografii i jak często miewa agresywnie antypolski charakter.

W tej wizji historii pruskie rządy nad Śląskiem to wyłącznie korzyści i postęp cywilizacyjny. Starannie wygumkowane jest wszystko to, co było germanizacją Ślązaków. W tej wizji historii powstania śląskie przedstawiane są jako zjawisko analogiczne do inwazji „zielonych ludzików” na Krym w 2014 r. Powstańcze zrywy są deprecjonowane jako „niepotrzebna bratobójcza wojna”. Dosłownie parę dni temu jeden z liderów RAŚ, Jerzy Gorzelik, znów w bardzo obelżywych słowach skomentował kolejne obchody wprowadzanego oficjalnie Narodowego Dnia Powstań Śląskich.



Łukasz Kohut FOT. FRED MARVAUX/EP/EU

Także wizja powojennych losów Śląska w książkach historyków związanych z RAŚ to jedno pasmo prześladowań polskich, rabunku Śląska przez Polskę, co bardzo wyraziście obrazują słowa piosenki „Kierona”. Czy ktoś może wątpić, że lansowanie takiej wizji historii Górnego Śląska musi wywołać drastyczny konflikt i podział w regionie?

NIEZAUWAŻANY KONSENSUS

W województwie śląskim żyje ok. 4 mln ludzi. Wskutek decyzji komunistycznych władców, a potem logiki gospodarczej regionu dzisiejsze województwo śląskie składa się nie tylko z dawnej części pozostającej pod władzą Prus, lecz także z regionów, które do 1918 r. pozostawały pod władzą Rosji, takich jak np. Częstochowa czy Zagłębie Dąbrowskie, oraz wreszcie części Śląska, które do końca pierwszej wojny światowej pozostawały pod władzą Austrii.

Zwolennicy ruchu ślązakowskiego uważają za śląskość tylko to, co jest



Tyle tylko że uznanie ich roszczeń wywoła kwestię, która dzisiaj jeszcze, dzięki Bogu, nie jest linią sporu, która dzieliłaby ludność regionu w kwestii, kto jest prawdziwym Ślązakiem, a kto nie. I w naturalny sposób ci, którzy uzyskają formalny status śląskiej mniejszości etnicznej, będą aspirować do roli tych, którzy definiują, czym jest śląskość. A ci, którzy nie będą zgadzać się z takim dyktatem, będą dowiadywać się, że są „gorałami” albo przybłędami. Przypomnijmy sobie polemikę między asystentem Kohuta Wacławem Janem Kroczkim a jego adwersarzami spod znaku autonomizmu. „Nie masz prawa mianować się Ślązakiem, jeżeli negujesz pamięć o powojennych wydarzeniach i realnych sprawcach tej zbrodni” – rzucił w twarz Kroczkowi Rafał Rzepka. Krótko mówiąc, współautor ustawy o języku śląskim zanegował śląskość Wacława Jana Krocza. A teraz przypomnijmy cytaty z polemiki Łukasza Tudzierza: „Szokujące jest, że pan jako Ślązak może to podważać”. Okazuje się, że zanegowanie kłamliwej tezy o polskich obozach koncentracyjnych skutkuje zakwestionowaniem statusu Ślązaka.

Opisana przeze mnie sprawa to pierwszy i być może niewielki przykład zagrożeń, które wiążą się z akceptowaniem tezy, że Ślązacy to osobny naród. Powtórzę raz jeszcze: wszelkie spory o godkę to tylko czubek góry lodowej. Prawdziwe zarzewie konfliktu drzemie w zupełnie bezrefleksyjnym rozwijaniu głęboko niechętniej Polsce wizji tożsamości śląskiej i dziejów tego regionu, który lansują stronnicy autonomii i ruchu ślązackiego.

Za rok zostanie wybrany nowy prezydent. Nie jestem w stanie przewidzieć, czy będzie on zwolennikiem uznania godki śląskiej za język regionalny czy nie. Ale wiem, że wtedy sprawa ta na pewno wróci w centrum polskich dyskusji. Dlatego wykorzystajmy ten rok do spokojnego namysłu nad tym, jakie mogą być konsekwencje bezrefleksyjnego akceptowania żądań idei, które lansują Szczepan Twardoch czy Jerzy Gorzelik. Idei, które całkowicie bezrefleksyjnie wspiera polityczny alians Platformy Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy. Czy na pewno wiecie, co autoryzujecie?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

doświadczeniem tych Ślązaków, którzy nie utożsamili się z Polską i dziś ożywiają w sobie znaczący dystans wobec polskości. Ale przecież śląskość to także tradycja np. ziemi cieszyńskiej czy Zaolzia, które to regiony zademonstrowały swoją polskością w XIX i początku XX w. Dlaczego bycie Ślązakiem ma być wyznaczane przez Jerzego Gorzelika i Szczepana Twardocha?

W trakcie moich twitterowych potyczek ze ślązakowcami sam obserwuję setki czy nawet tysiące tweetów, w których autorzy podkreślają, że są Ślązaki i właśnie dlatego nie akceptują wizji śląskości w wykonaniu RAŚ. Zresztą dlatego właśnie na przełomie wieków XIX i XX stworzono określenie „ślązakowcy”, aby nie pozwolić na zawłaszczanie określeń „Ślązak” i „śląski”. Ale nie możemy mówić wyłącznie o zróżnicowaniu województwa śląskiego. Przecież także na terenie Katowic, Zabrze, Bytomia, Gliwic, Chorzowa, Rudy Śląskiej, Piekar, Mysłowic czy Rybnika żyją rdzenni Ślązacy, którzy uważają się za Polaków

i którzy przywiązani są do tradycji powstań śląskich. To oni np. stworzyli Muzeum Powstań w Świętochłowicach. Tych samych Świętochłowicach, które RAŚ chce uczynić symbolem „polskiego ludobójstwa na Ślązakach”.

A przecież na tych terenach żyją też miliony Polaków, którzy przybyli na te ziemie po 1945 r. Czy oni nie mają już prawa po 80 latach mieszkania na tej ziemi nazywać się Ślązaki? Czy nie mają oni prawa odrzucać wizji powstań jako polskiej prowokacji? Długie lata PRL zamroziły dyskusję na ten temat, ale wytworzył się swoisty konsensus. W jego ramach przybyły z innych części Polski, którzy zasiedlili Górny Śląsk po 1945 r., utożsamili się z miejscową specyfiką i wydawało się, że wspólny kult powstań śląskich będzie arką przymierza między Ślązaki rdzennymi a przyjezdnymi. Ślązakowcy ten konsensus chcą wysadzić w powietrze i twierdzą, że mają do tego prawo jako aspiranci do statusu mniejszości etnicznej.



**Z Bogdanem Rzońcą, eurodeputowanym
Prawa i Sprawiedliwości**
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nadchodzi tsunami

scy interesują się polityką. Tusкови udało się uwieść w ostatnich wyborach znaczną część społeczeństwa obietnicami, które nie mają pokrycia w rzeczywistości. Jednak Polakom otwierają się oczy. Widać to było w ostatniej kampanii przed wyborami europejskimi. Ludzie bardzo się martwią tym, co stanie się z Polską. Opiekuńczość poprzedniej ekipy rządzącej, której przejawem były rozbudowane świadczenia socjalne w rodzaju 13. i 14. emerytury czy programu „800+”, spowodowała, że młodzi ludzie mogli liczyć na „poduszkę finansową”, rodzice czy dziadkowie mieli pieniądze, żeby ich wspierać. Do nich nie dotarło jeszcze, że mogą zderzyć się z kryzysem gospodarczym. Z seryjnym wycofywaniem się wielkich firm z Polski i Unii, co będzie skutkowało załamaniem na rynku pracy.

Nadchodzi moment prawdy dla rządu Tuska?

Tak, to się już dzieje. Młodzi ludzie, którzy dali się uwieść wyborczym obietnicom Tuska, nie mogą teraz tłumaczyć, że polityka to brudna gra, a my nie mamy na nią wpływu. Tak nie jest. Nie będzie sprawnego państwa i prosperującej gospodarki bez dobrej polityki. Czas prawdy nadchodzi. Już niedługo wielu ludzi, którzy uwierzyli obietnicom Tuska, może obudzić się z ręką w nocniku.

FOT. MARCEL CUDNUT/EP/UE

RYSZARD GROMADZKI: Dlaczego rząd Donalda Tuska z taką konsekwencją dąży do zatrzymania albo przynajmniej spowolnienia strategicznych projektów gospodarczych, których wspólnym mianownikiem jest wzmocnienie polskiej suwerenności? Mam na myśli obstrukcję wokół Centralnego Portu Komunikacyjnego czy budowy elektrowni atomowej, a ta lista jest przecież dłuższa.

BOGDAN RZÓŃCA: To jest bardzo przemysłowe i konsekwentne działanie ze strony pana Tuska i jego ekipy. Chodzi o spłatę zobowiązań wobec Niemiec i liberalno-lewicowej elity rządzącej Unią Europejską. W ich planach Polska ma być przede wszystkim rynkiem zbytu, a nie miejscem produkcji. Powtarza się schemat z czasów pierwszego rządu Tuska z lat 2007–2014. Ten proces ma się dokonać kosztem nie tylko polskiej gospodarki i polskiej suwerenności, lecz także polskiej kultury. Działania, o które pan pytał, można z całą odpowiedzialnością nazwać sabotażem gospodarczym. Ma on postawić Polskę

w stan chronicznego niedorozwoju. Tak żeby nasze państwo nigdy i w żadnej dziedzinie nie mogło konkurować z Niemcami, Francją i innymi krajami, które chcą nam narzucić gospodarczy dyktat. Rząd Tuska realizuje ten plan z pełną premedytacją. Dramatyczne jest to, że jego ofiarami będą polskie państwo i naród.

Jak w takim razie wytłumaczyć to, że mimo działania na rzecz obcych interesów, na szkodę Polaków – jak pan przekonuje – rządząca koalicja cieszy się stabilnym poparciem?

Rzeczywiście, na razie nie widać istotnego spadku poparcia dla rządzącej ekipy. Ale pojawiają się pierwsze sygnały niezadowolenia społecznego, mniejsze zaufanie wobec rządu Tuska. Do Polaków będzie powoli docierać, że nasz kraj jest gospodarczo dewastowany. Koalicja PO, Trzeciej Drogi i Lewicy rządzi dopiero pół roku. Po ośmiu latach rządów prawicy Polakom żyje się jeszcze całkiem dobrze, nie wszy-

Czy chwila prawdy, w której Polacy mogą powiedzieć rządowi Tuska „sprawdzam”, będzie skokowy wzrost cen prądu, który czeka nas od 1 lipca? Już teraz ceny energii elektrycznej zabijają wiele małych firm. Do tego w perspektywie czeka nas tsunami, w postaci wejścia w życie tzw. dyrektywy budynkowej przyjętej przez Unię, która wymusi na milionach ludzi w Polsce remonty związane z ociepleniem domów, na które będą musieli się zadłużyć.

Poziomów „godziny zero” będzie kilka. Najgorszy będzie poziom gospodarczy. W ostatnich miesiącach zagraniczne firmy wycofują się coraz częściej z Polski, skutkiem tego exodusu będzie spadek wpływów podatkowych. W budżecie nie będzie pieniędzy na sfinansowanie wielu inwestycji. Samorządy zgłaszają swoje projekty inwestycyjne. Tylko Związek Gmin Wiejskich oczekuje, że w najbliższych miesiącach uzyska z budżetu państwa 20 mld zł do podziału na inwestycje, które są albo w toku, albo w planach. Wójtowie obiecali to ludziom przed wyborami i chcą teraz wywiązać się z tych obietnic. Tym-

czasem rząd Tuska nie ma tych pieniędzy. Nie ogłoszono żadnych konkursów na te pieniądze. Dla samorządów będzie to prawdziwy dramat.

Inny „poziom zero” wiąże się z planami budowy jednego superpaństwa europejskiego. Przede wszystkim dla systemów podatkowych w Europie. Polska straciłaby w takiej sytuacji władztwo podatkowe. Jednolite europejskie podatki mogą zostać wprowadzone już w tym roku, w zależności od tego, kto wygra walkę o władzę w Komisji Europejskiej i Parlamencie Europejskim. Do tego trzeba liczyć się z nowymi daninami unijnymi, np. podatkiem od paliw domowych. Obojętnie, czy będziemy ogrzewać dom gazem, węglem czy peletem, będziemy od tego płacić podatek. W kolejce czeka też podatek od paliw samochodowych. Pojawiają się też sygnały, że jeśli obecna ekipa trzymająca władzę w Unii, której Donald Tusk przyklaskuje na każdym kroku, utrzyma się przy sterach, to na pieniądze z Brukseli będą mogły w pierwszej kolejności liczyć te państwa, które będą realizować požądane przez Unię reformy. Jeśli jakieś państwo odmówi legalizacji tzw. małżeństw homoseksualnych czy realizacji agendy LGBTIQ, to np. rolnicy z tego państwa nie dostaną dopłat bezpośrednich. Takie informacje krążą w Brukseli. Nawet się nie obejrzymy, kiedy stracimy suwerenność podatkową i gospodarczą. Ceną wszystkich kłamstw Tuska, które wyniosły go do władzy, będzie pauperyzacja milionów Polaków. Tsunami nadchodzi. Tym bardziej że Unia Europejska kompletnie traci pozycję gospodarczą. W 2002 r. udział Unii Europejskiej w globalnym PKB wynosił 17 proc., dziś jest to tylko 13 proc. Chiny, które w 2002 r. tworzyły 8 proc. światowego PKB, dziś zwiększyły swój udział do 18 proc.

W takim razie po co Polsce taka Unia?

Dobre pytanie. Jeśli Polacy przyklaskują takim przywódcom jak Donald Tusk, to muszą się przekonać, że będzie ich to drogo kosztowało. Unia traci dziś swój pierwotny sens czy wspólnoty wolnych narodów i wolnego rynku europejskiego.

Jesteśmy skazani na przyjęcie waluty euro, mimo że większość Polaków jest temu przeciwna?

Oczywiście. Tu się nic nie zmieniło od zapowiedzi Donalda Tuska złożonej pod-

czas Forum Ekonomicznego w Krynicy kilkanaście lat temu. Cała walka z prezesem NBP, prof. Głapińskim, polega nie na tym, że dopuścił się rzekomo jakichś bezprawnych działań, lecz żeby usunąć ostatnią przeszkodę na drodze do przyjęcia euro. Proszę zwrócić uwagę, że zarówno w tej, jak i innych ważnych sprawach nie ma w Polsce żadnej debaty. Narzuca się jeden przekaz, zgodnie z którym bez pieniędzy z Unii nie da się żyć, a Polska poza Unią nie ma żadnej przyszłości. Podam jeden przykład, który pokazuje, jak bardzo to bałamutne. Przez ostatnie 20 lat dostawaliśmy z Unii średnio 8 mld euro rocznie, czyli ok. 32–33 mld zł. Po stronie wydatkowej polskiego budżetu zapisano 682 mld zł. Gospodarka kręci się przede wszystkim dzięki krajowemu budżetowi, a nie pieniądзом z Unii.

A budżet się chwieje, wygląda na to, że szykuje się nam w tym roku rekordowy deficyt...

Budżet się chwieje, a w systemie Narodowego Funduszu Zdrowia wkrótce zabraknie ok. 100 mld zł. To będzie dobry pretekst, żeby wrócić do propozycji prywatyzacji służby zdrowia. Trzeba sprywatyzować PKP Cargo, bo ma słabe wyniki. To jest ten kierunek, który znamy z poprzednich rządów Platformy Obywatelskiej. Dziś znowu ukazują się artykuły, w których stawia się pytanie, po co nam tyle spółek Skarbu Państwa. W Niemczech nikt nie mówi o prywatyzacji Deutsche Bahn czy Deutsche Post.

Ktoś może powiedzieć, że uprawia pan tani populizm, bo polska gospodarka jest wciąż wśród liderów wzrostu gospodarczego w Europie, a bezrobocie jest rekordowo niskie... Prognozy banków inwestycyjnych są optymistyczne.

Cóż, powiem to z przykrością. Polski świat nauki został kupiony. Na naszych uczelniach debatuje się raczej o zastępczych tematach. Społeczeństwo karmi się ideologicznymi sporami. Kiedy mówimy o tym, że PKP Cargo upada albo że polskie rzemiosło ledwie dycha, bo nie wytrzyma podwyżek cen gazu i prądu, to na ten temat nie wolno rozmawiać. Ludzie w Polsce wciąż mają jeszcze za dobrze.

To w dużym stopniu efekt rozdawnictwa rządów prawicy. Realnej gospodarcze wcale nie wyszło to na dobre.

Nikt nie je pieniądze, tylko je inwestuje. Polski handel ma się dobrze, konsumpcja dóbr podstawowych jest wysoka. Poziom życia się podniósł. Trzeba to widzieć. On się teraz będzie drastycznie obniżać z miesiąca na miesiąc, poczynawszy od lipca. Ludzie zauważą to dopiero zimą, kiedy przyjdą pierwsze rachunki. To nie czarnowidztwo, tylko realna ocena gospodarki Unii Europejskiej i konsekwencjach tego stanu dla polskiej gospodarki. Sypie się cały niemiecki przemysł. A to oznacza kłopoty polskiego przemysłu, przede wszystkim motoryzacyjnego. W Unii rozpada się branża po branży, a mimo to wszyscy tam mówią, że trzeba robić scentralizowane państwo europejskie, ze stałym mechanizmem zadłużeniem, czyli Komisja Europejska będzie zaciągać kolejne długi, choć nie zaczęła jeszcze spłacać już zaciągniętych. Tylko w tym roku kraje Unii spłacają odsetki w wysokości 4 mld euro od kwoty 50 mld euro pożyczonych w ramach Krajowego Planu Odbudowy, a w przyszłym roku obsługa samych odsetek pochłonie już 5 mld euro.

Spłata kolejnej transzy odsetek przypadnie już w 2028 r. Mam wątpliwości, czy w ogóle uda się stworzyć budżet Unii na kolejne siedem lat. Kto będzie to spłacać? Mamy więc Unię bardzo zasłużoną i „uśmiechniętą” w warstwie ideologicznej, która bohatercko walczy o lepszy klimat, a tymczasem gospodarka grzęźnie i będzie grzęznąć dalej, bo trendy, z którymi mamy do czynienia, są nieodwracalne, w krótkim okresie czasu.

To kurs na katastrofę.

To jest kurs wybranych krajów na biznes. Jeśli dziś zamiast ropy, gazu i węgla z Rosji Unia kupuje 97 proc. paneli fotowoltaicznych wyprodukowanych w Chinach. Podobnie rzecz się ma z komponentami dla przemysłu elektronicznego. To jest dobry biznes dla tych, którzy założyli, że będzie Zielony Ład, że przy pomocy unijnych pieniędzy wciśną ludziom panele fotowoltaiczne czy farmy wiatrowe. To jest biznes, który pograży energetycznie unijną gospodarkę, ponieważ przemysł ciężki nie będzie funkcjonował w oparciu o OZE. Wybrani na tym dobrze zarobią, większość straci. Oby ci drudzy nie ocknęli się, kiedy będzie już za późno...

Czy jedzie z nami taksówkarz?



Łukasz Zboralski

Kierowcy przewozów na aplikacje muszą mieć polskie prawo jazdy. Ubyło taksówek, czas oczekiwania na przewóz się zwiększył. To cena za większe bezpieczeństwo pasażerów

Dokładnie prawie dekadę temu na rynku taksówkarskim w Polsce nastąpiła rewolucja. W sierpniu 2014 r., najpierw w Warszawie, pojawił się Uber. Dwa lata później nad Wisłę wkroczyła kolejna firma – Taxify, która później zmieniła nazwę na Bolt. Oba technologiczne koncerny właściwie

zrewolucjonizowały przewozy osób. Po pierwsze, nie trzeba już nigdzie dzwonić, żeby zamówić taksówkę. W aplikacji wybiera się miejsce startu i cel przejazdu, przed podróżą akceptuje się kwotę (a ta pobiera się sama z karty), a potem można śledzić jeszcze trasę przejazdu taksówkarza i wyjść z domu idealnie kilka sekund wcześniej, zanim zaparkuje przed bramą.

Uber i Bolt od początku były zmorą taksówkarzy. Nie tylko dlatego, że do lamusa odchodził ich świat taksówkarskich korporacji trzymających w zasadzie monopol na rynku ściśle regulowanym (by zostać taksówkarzem, trzeba zdać egzamin, a ten był w zasadzie „nie do zdania”, gdy nie miało się do niego własnej, zwykle opłaconej drogi lub koneksji). Zagraniczne firmy były ciosem dla polskich szoferów, głównie cenowym. Początkowo ceny przejazdów

oferowanych przez Ubera były często niższe o 20–30 proc. w porównaniu ze standardowymi stawkami taksówkarskimi. Podobnie Bolt, chcąc zdobyć klientów, oferował jeszcze niższe ceny, zniżki i promocje, które mogły wynosić nawet do 50 proc. ceny przejazdu.

Dla porównania: kurs z centrum Warszawy do południowych granic miasta kosztował ok. 80 zł. Gdy wkroczyły Uber i Bolt, tę samą trasę można było pokonać za 30 zł. W przypadku przejazdu trzech osób, kwota robiła się nawet porównywalna z transportem miejskim.

PIERWSZY „ZAMACH”

Marketing i agresywna polityka cenowa spowodowały, że obecnie Uber i Bolt kontrolują łącznie 70–80 proc. rynku przewozów osobowych w Polsce, z dominującym udziałem w dużych miastach takich jak Warszawa, Kraków, Wrocław czy

Poznań. Szacuje się, że liczba kierowców Ubera w Polsce wynosi ok. 20–30 tys., a Bolta – ok. 15–25 tys.

Polskie korporacje próbowały to szybko nadrobić, tworząc własne aplikacje przejazdowe, ale tort został już skonsumentowany. Ci, którzy nagle stracili pieniądze, próbowali odzyskać rynek. Jednym ze sposobów mogły być regulacje, które zamknęłyby rynek – albo przynajmniej mocno utrudniły funkcjonowanie na nim – obcym podmiotom. Apogeuem tej walki obserwowaliśmy, gdy tuż przed zapowiadaniem wielkim strajkiem taksówkarzy Ministerstwo Infrastruktury, kierowane wówczas przez Andrzeja Adamczyka, po cichu naniósł korekty w projekcie nowelizacji Ustawy o transporcie. To rozsierdziło amerykański koncern do tego stopnia, że interweniowała ówczesna ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher. Napisała list do polskiego ministra, w którym zażądała odstąpienia od planowanych regulacji. Zaszantażowała urzędników możliwym wstrzymaniem inwestycji nad Wisłą. „Proszę nie popełniać błędu niosącego tak daleko idące konsekwencje” – dopisała odręcznie na liście Mosbacher.

Polskie władze dopuściły do wycieku listu. Anonimowi pracownicy KPRM komentowali w mediach, że to traktowanie Polski jak „republiki bananowej”, ale sprawy już nie dotknęło. Temat ograniczenia przewozów na aplikacje zszedł z agendy, choć stowarzyszenia taksówkarzy nigdy się z tym nie pogodziły.

„LEX UBER” I JEGO KONSEKWENCJE

Uber i Bolt rozwinęły swoje przewozy, a Polacy obserwowali, że opierają się one głównie na taniej sile roboczej – czyli na kierowcach migrantach, głównie ze Wschodu. Czasem jednak i z bardzo daleka – Pakistanu czy Afryki. Nad tym, kto wozi ludzi, kontrola była niewielka.

I sprawa regulacji nagle wróciła w zupełnie nowym kontekście. Na jaw zaczęły wychodzić napastowania i próby gwałtów kobiet przewożonych przez kierowców taksówek na aplikacje. Temat stał się tak głośny, że rząd postanowił zadziałać. Ministerstwo Cyfryzacji przygotowało wówczas pakiet regulacji – pilotowany przez ministra Janusza Cieszyńskiego – który miał umożliwić większą kontrolę nad tym, kto zasiada za kierownicami taksówek w Polsce.

Firmy od przewozów na aplikacje zostały zmuszone do weryfikacji tego, kto przy wykorzystaniu ich aplikacji rzeczywiście wykonuje przewozy. Od września 2023 r. przyszły kierowca musi osobiście stawić się w firmie i okazać dokumenty. Kontrola prowadzona jest potem zdalnie. Raz na 50 przewozów (ale nie rzadziej niż raz w tygodniu) aplikacja w losowym momencie prosi kierowcę o wykonanie zdjęcia. W ten sposób sprawdza się, czy na licencji jednego człowieka nie jeździ ktoś inny. Nie jest to kontrola doskonała. Policja nadal podczas kontroli zatrzymuje – najczęściej obcokrajowców – którzy np. nigdy nie posiadali żadnych uprawnień do prowadzenia pojazdów, a wożą ludzi taksówkami.

Ustawa wprowadzała jeszcze jeden warunek – każdy, kto wozi ludzi w Polsce, powinien mieć polskie prawo jazdy. To wymaganie zostało odłożone na kilka miesięcy. Każdy kierowca Ubera i Bolta miał wystarczająco dużo czasu, by wymienić swój dokument. W większości wypadków była to tylko formalność. Jeśli bowiem prawo jazdy zostało wydane przez państwo członkowskie Unii Europejskiej (UE) lub Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EOG), to wymiana jest prosta i odbywa się bez konieczności zdawania egzaminu. W przypadku prawa jazdy spoza tych obszarów obcokrajowiec może być zobowiązany do zdania egzaminu teoretycznego i praktycznego w Polsce.

Jest jeszcze jeden haczyk – o wymianę na polskie prawo jazdy może starać się ten, kto co najmniej sześć miesięcy przebywa w naszym kraju. A to oznacza, że to zajęcie, które miało łatwy próg wejścia dla imigrantów, stało się dla nich niedostępne. I trudniej im załapać się na polskim rynku pracy.

Uber i Bolt miesiącami przez narrację w mediach straszyły Polaków, że ceny drastycznie wzrosną i że dramatycznie zmniejszy się liczba usług (pod koniec maja przedstawiciele Zespołu Doradców Gospodarczych TOR przekonywali w „DGP”, że prawdopodobny jest wzrost cen aż o 50 proc.; to samo mówiła wcześniej w TVN24 Iwona Kruk, rzeczniczka Uber Polska). Oczywiście komunikat tak naprawdę kierowany był do władz. Te pozostały nieugięte. Nie wycofały się z nowelizacji.

Od 17 czerwca, gdy za kierownicą taksówki może być tylko ktoś z polskim prawem jazdy, ceny jednak nie wzrosły. Znacząco jednak ubyło usługodawców. W niektórych miastach taksówki nie są tak szybko dostępne, czas oczekiwania na przejazd się wydłużył. Według informacji przekazywanych w mediach przez przedstawicieli firm Bolt odciął od zleceń 26 proc. kierowców, a Free Now – 15 proc.

Uber zaskoczył wszystkich – zarówno władze, jak i swoich konkurentów. Przedstawiciele firmy zablokowali możliwość jazdy tylko nowym kierowcom, którzy nie posiadają polskiego prawa jazdy. Firma na własną rękę zinterpretowała sobie polskie prawo. Uznała, że wszyscy kierowcy bez polskiego prawa jazdy mogą sobie jeździć jeszcze tak przez trzy miesiące. I taki komunikat wysłała wszystkim kursującym w taksówkach. Bolt uznał, że w ten sposób konkurencja zagarnęła część jego rynku.

Choć Uber podpowiada swoim „pracownikom”, że mogą jeszcze jeździć bez polskich uprawnień, to polska policja nie zamierza czekać rzekome trzy miesiące. Jak przyznała Komenda Stołeczna Policji, po przeprowadzeniu 65 kontroli w Warszawie okazało się, że więcej niż 25 proc. kierowców taksówek na aplikacje nie posiadało polskiego prawa jazdy. Za to funkcjonariusze wystawiają dziś mandaty w wysokości 2 tys. zł.

To kolejny problem dla migrantów – a w stolicy, jak informował Uber, ubyło najwięcej taksówkarzy Ukraińców – po utrudnieniu w wejściu na rynek pracy. Muszą zdecydować, czy narażać się na sporą karę (Uber nie zamierza pokrywać mandatów), próbować walki w sądzie, podpierając się interpretacją prezentowaną przez amerykańską korporację, czy wreszcie odpuścić i poszukać innego zajęcia.

Możemy się raczej spodziewać, że liczba kierowców będzie się jeszcze sukcesywnie zmniejszała. Nowi pojawiają się dopiero po sześciu miesiącach, gdy będą mieli wyrobione polskie prawo jazdy. Pytanie: Czy lepsze dla polskich klientów było więcej dostępnych taksówek, ale z kierowcami, którzy mogli narażać ich na kolizję lub wypadek, bo niezbyt dobrze rozumieli to, co na drogach trzeba robić?



Łukasz Czarnecki

W krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha oglądać można wystawę „Z japońskiej kolekcji Feliksa »Mangghi« Jasieńskiego. Opowieść o księciu Genjim”. To wymienita okazja, by spotkać się oko w oko z bohaterem niezwykle dzieła literackiego, zawierającego w sobie kwintesencję japońskiej duszy

Gdyby zapytać przeciętnego Polaka o najważniejsze osiągnięcia kultury japońskiej, zapewne zacząłby mówić o samurajach, ich mieczach albo kodeksie wojownika. Tymczasem Japończyk, któremu zadano by to samo pytanie, bez zastanowienia uznałby „Opowieść o księciu Genjim” za najwybitniejszy wkład jego ojczyzny w dziedzictwo ludzkości.

Napisana na początku XI w. powieść (po japońsku – monogatari), opiewająca w 54 księgach miłosne perypetie nadprogramowego cesarskiego syna księcia Genji Hikaru, uznawana jest przez historyków literatury za pierwszą powieść psychologiczną w dziejach. Utwór ten stanowi dla mieszkańców Japonii powód najwyższej dumy i towarzyszy im od kołyski aż po grób. Dość rzec, że scena z tego epickiego dzieła pojawia się nawet na banknocie o nominale 2000 jenów. Powstały też dziesiątki adaptacji filmowych, teatralnych, a tytułowy książę bywał bohaterem zarówno anime, jak i mangi (jedną z nich niedawno wydano także u nas). Nawiązania do jego losów są jednym z często wykorzystywanych tzw. easter eggów, umieszczanych w najdziwniejszych miejscach, jak choćby w szalenie popularnej mandze „Ouran High School Host Club”, gdzie dwóch przystojnych bliźniaków, stojących w szranki o względy głównej bohaterki, nosi zaczerpnięte z „Genji monogatari” imiona Hikaru i Kaoru. Warto też wspomnieć o olbrzymiej



Aluzja do Murasaki Shikibu w świątyni Ishiyama, Utagawa Hiroshige, 1844–1848, drzeworyt na papierze

FOT. MUZEUM SZTUKI I TECHNIKI JAPANEJSKIEJ MANGGHA

W świecie księcia Genji

liczbie opracowań krytycznych i rozpraw literaturoznawczych narosłych wokół „Opowieści” w samej Japonii. W swojej wydanej w roku 1964 książce „Świat Księcia Promienistego” wybitny japonista i badacz zagadnienia – Ivan Morris – doliczył się 10 tys. takich pozycji! Jako że od tego czasu minęło sześć dekad, liczba ta dzisiaj jest jeszcze wyższa. Chyba żaden inny utwór literacki, może z wyjątkiem Biblii i Koranu, nie wygenerował aż tak obszernej literatury poświęconej jego analizie. Najlepiej o wadze, jaką Japończycy przykładają do tej wielkiej powieści, świadczą słowa jednego z najwybitniejszych japońskich pisarzy XX w. – Kawabaty Yasunari, który odbierając w roku 1968 Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury, powiedział, że od czasu spisania „Genji monogatari” literatura japońska nie wydała nic, co mogłoby się z nią równać.

NIEZNANA DAMA DWORU

Autorką „Opowieści o księciu Genjim” była jedna z dam cesarskiego dworu. Jej prawdziwe imię przepadło niestety w pomroce dziejów, co jest sytuacją dość dziwną, jeśli weźmiemy pod uwagę, że dość

dobrze znamy biografię owej pani, która pozostawiła po sobie również dziennik. Do historii literatury przeszła pod pseudonimem Murasaki Shikibu, które to miano, nawiązujące do jednej z wykreowanych przez nią bohaterek – jak się zdaje – przylgnęło do pisarki jeszcze za życia. Spod pędzelka tej niezwykle utalentowanej kobiety wyszły łącznie 54 zwoje opiewające losy księcia Genji i jego rodziny. Poszczególne z nich, jak wiemy z zachowanych pamiętników ówczesnych arystokratek, dystrybuowane były osobno, a całość stanowiła dla znudzonych dam z wyższych sfer Kioto (znanego wówczas jako Heian-kyo) ekwiwalent dzisiejszych seriali od Netflixa. Różnica polega na tym, że o ile produkcje platform streamingowych szybko ulegają zapomnieniu, o tyle „Genji monogatari” stanowi dzieło ponadczasowe, które porusza serca czytelników zarówno japońskich, jak i zachodnich już od ponad tysiąca lat. Na siłę oddziaływania utworu Murasaki Shikibu nie wpływa ujemnie nawet to, że od jej czasów świat uległ całkowitemu przeobrażeniu, a warstwa oddających się sztuce dandysów, skupionych na cesarskim dworze, do której należeli sama pisarka, wszyscy jej znajomi czy wymyślone przez

nią postaci, została pozbawiona władzy i niezależności ekonomicznej trochę ponad półtora wieku po śmierci autorki.

Przejęcie kontroli nad Japonią przez warstwę wojowników z prowincji oznaczało, że dominacja nad krajem przeszła z rąk dworzan w pokryte odciskami od cięciw łuków dłonie samurajów. Jednakże owa rewolucja nie umniejszyła znaczenia „Opowieści o księciu Genjim”. Zarówno nowi panowie Krainy Wschodzącego Słońca, jak i ci, którzy przyszl po nich, zaczytywali się w dziejach idealnego dżentelmena epoki Heian (794–1185).

W następnych stuleciach utwór Murasaki znalazł też zaskakujących czytelników w osobach mieszczan z epoki Edo, w której to właśnie owa warstwa stanowiła najbardziej dynamiczną i złaknioną rozrywki grupę społeczną. Doprowadzało to do dość dziwnych z punktu widzenia człowieka Zachodu sytuacji – luksusowe prostytutki z dzielnic rozkoszy, takich jak Yoshiwara, stylizowały się na wielkie damy z czasów księcia Genji. Sytuację tę można porównać chyba tylko do takiej, w której polska pani lekkich obyczajów przyjmowałaby gości w swoim buduarze, przebrana za Zosię z „Pana Tadeusza”. Epoka Edo przyniosła też plon zetknięcia wyrafinowanych gustów okresu Heian ze świecącą triumf w ówczesnych miastach Kraju Wschodzącego Słońca estetyką ukiyo, tj. hedonistycznym podejściem do przepływającego wartko niczym woda życia, nakazującym czerpać z niego tyle rozkoszy, ile możliwe, w postaci różnego rodzaju pastiszów i parodii „Genji monogatari”.

„Opowieść o księciu Genjim” przez stulecia stanowiła niewyczerpane źródło inspiracji dla japońskich artystów. W XII w. zaczęły powstawać ilustrowane zwoje (tzw. emaki), prezentujące na podobieństwo komiksów akcję opowiadanych historii w ujęciu graficznym, któremu towarzyszył pisany komentarz. Nie jest przypadkiem, że najstarsze zabytki tego typu, które zachowały się do naszych czasów, są adaptacjami „Genji monogatari”. Ilustracje do dzieła Murasaki malarze umieszczali też na parawanach czy wachlarzach. Jednak dopiero wprowadzenie w Japonii pod koniec XVI w. maszyn drukarskich i rozwój sztuki drzeworytniczej, który nastąpił w epoce Edo, zaowocowały wejściem księcia Genji pod strzechy zwykłych Japończyków. Produ-

kowane w wielkich liczbach egzemplarzy drzeworyty ukiyo-e były rozprowadzane wśród mieszkańców miast za niewielką opłatą, służąc jako ekwiwalent współczesnych plakatów. I tak jak dzisiaj na tego typu wydawnictwach znajdują się zdjęcia piłkarzy, tak wówczas kolorowe odbitki prezentowały portrety słynnych aktorów kabuki oraz pięknych kurtyzan z dzielnic rozkoszy. Twórcy, którzy z pokolenia na pokolenie rozwijali swój kunszt, sięgali także do tematów mitologicznych, historycznych czy literackich. Tylko kwestią czasu było, aż zainteresują się „dziełem założycielskim kultury japońskiej”, którym jest „Opowieść o księciu Genjim”.

ZE SZKOŁY UTAGAWA

Odwiedzający krakowską wystawę obejrzeć mogą właśnie efekty owych inspiracji powieścią Murasaki, pochodzące z pierwszej połowy XIX w., a stworzone przez najwybitniejszych artystów prężnie podówczas działającej szkoły Utagawa. Na ekspozycji obecne są drzeworyty zaprojektowane przez trzech największych jej mistrzów: genialnego pejzażystę Hiroshige, Kuniyoshiego oraz Kunisadę, znanego także jako Toyokuni III. Wszyscy oni sięgali już w ich czasach uznanym zabytkiem klasycznej kultury, po czym ożywiali go na papierze w swoich pracach.

I tak zwiedzając gmach muzeum, możemy obejrzeć pięć drzeworytów wykonanych przez Hiroshige, w których artysta świadomie bawił się konwencją, odwołując się do tradycji wzmiankowanych już ilustrowanych zwojów. Mimo że stworzone przezeń arcydzieła grafiki w rzeczywistości są drzeworytniczymi odbitkami, projektując je, odwołał się do wyglądu emaki, czyniąc z nich idealną ich imitację, ściśle trzymając się obowiązującej w takich przypadkach konwencji. Udostępnione przez Manggę egzemplarze przedstawiają sceny z początkowych rozdziałów „Opowieści o księciu Genjim”, w tym scenę, w której główny bohater po raz pierwszy spotyka jedną z najważniejszych kobiet swego życia – księżniczkę Murasaki, od której imienia pochodzi pseudonim, za którym skryła się autorka pierwszej psychologicznej powieści w dziejach.

Niezwykle interesujący jest też sporządzony przez Kuniyoshiego cykl drzeworytów, na których sam najslawniejszy

japoński amant co prawda osobiście się nie pojawia, ale pracując nad nimi, artysta bawił się skojarzeniami, które podsuwały mu kolejne rozdziały opowieści o przygodach cesarskiego syna. Na szczególną uwagę zasługuje osławiona grafika przedstawiająca demonicznego lisa, nadzwyczaj często reprodukowana w książkach poświęconych demonologii japońskiej i stanowiąca inspirację dla twórców mang.

Książę Genji bywał też wykorzystywany przez artystów do walki z cenzurą szogunatu. Gdy w latach 40. XIX w. władze Japonii w ramach reform mających na celu uzdrowienie publicznej moralności zabroniły twórcom drzeworytów prezentowania na nich aktorów i kurtyzan, ci zwrócili się ku przeszłości ojczyzny i jej klasycznej literaturze. Niektórzy, jak Hiroshige i Kunisada, nie mogli się przy tym powstrzymać przed zagranieniem cenzorom na nosie – efektem kooperacji tych dwóch dżentelmenów stał się cykl „Wytworny książę Genji”, stanowiący parodię powieści Murasaki, której bohaterów artyści odziali we współczesne sobie ubrania i umieścili w XIX-wiecznej scenarii. Również grafiki z tej serii znalazły się na krakowskiej ekspozycji.

Do innych ciekawych dzieł prezentowanych na omawianej wystawie zaliczyć należy wyobrażone portrety Murasaki Shikibu i wielkiej poetki z X w. – Ono no Komachi, autorki wymienionej poezji miłosnej, a także namalowane w XIX w. wizerunki dam dworu z epoki Heian. Podróżnych opuszczających świat księcia Genji żegna zaś całkowicie współczesna grafika autorstwa Kai Muchy, nawiązująca do tematyki dworskiej arystokracji.

Warto wybrać się na wystawę Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, by zanurzyć się w nurcie klasycznej kultury japońskiej, zwłaszcza w obliczu smutnej konotacji, że podczas gdy cały świat, poczynawszy od przełomu wieków XIX i XX, zaczytuje się w „Opowieści o księciu Genjim”, która została przełożona zarówno na angielski, jak i inne języki zachodnie, nad Wisłą wciąż nie doczekaliśmy się przekładu powieści damy Murasaki. Co prawda, autor powyższego artykułu z pewnych źródeł w środowisku japonistycznym wie, że pracę nad jej tłumaczeniem trwają, ale potrwać mają one jeszcze, bagatelka, jakieś... 10 lat.



Mieczysław Czechowicz, 1953 r.

FOT. NAC



Franciszek Pieczka, 1953 r.

FOT. NAC



Emilian Kamiński, 1980 r.

FOT. MACIEJ BELINA BRZÓZOWSKI/PAP

Trzy twarze Melpomeny



Tomasz Zbigniew Zapert

Mieczysław Czechowicz, Franciszek Pieczka, Emilian Kamiński. Tuzy aktorstwa. Ich sylwetki przedstawiają niedawno opublikowane książki biograficzne

Mieczysława Czechowicza pamiętamy przede wszystkim z ról komediowych w filmach Stanisława Barei, w serialu „Janosik”, z kabaretów (Koń i Starszych Panów) czy z telewizyjnej dobranocki „Miś Uszatek”. Ale ołsnął też rolami w inscenizacjach flagowych sztuk Sławomira Mrożka – „Tanga” oraz „Emigrantów”.

Czechowicz miał dramatyczną młodość. Będąc nastolatkiem, zaangażował się w działalność antykomunistyczną. Zdarzyło się to w Lublinie na przełomie lat 1944 i 1945. Urząd Bezpieczeństwa szybko wpadł na trop młodocianych konspiratorów. Trafili za kratki. Mietek doświadczał poniżenia, bicia, strachu. Wprawdzie po kilku miesiącach go zwolniono, lecz trauma

pozostała. Dlatego zawsze starannie sprawdzał broń palną używaną na scenie albo przed kamerą. Autorka podąża życiowym szlakiem opisywanego wnikliwie, lecz nie unika pomyłek (vide: podwójna pomyłka w zdaniu „Niedługo po zakończeniu wojny, 26 kwietnia, Służba Bezpieczeństwa zapukała do drzwi Czechowiczów”), choć jest ich mniej niż w poprzedniej biografii autorki, poświęconej Janowi Kobuszewskiemu. Wszelako Hanna Faryna-Paszkiewicz umie być bezbłędna (czytaj: „Opium życia. Niezwykła historia Marii Morskiej, muzy skamandrytów”).

„Czechowicz był [...] miłośnikiem wysokogatunkowych alkoholi. Z Andrzejem Szczepkowskim i Mieczysławem Voitem [...] cenili zwłaszcza szlachetną whisky. Odpowiednio dozowana była ich zdaniem niezbędna w budzeniu ducha twórczego, szczególnie podczas prób [...]. Wokół zdobywania tego trunku w PRL powstało kilka anegdot. Przy Hożej mieściło się pogotowie ratunkowe. Nierzadko tzw. wdzięczni pacjenci lub ich rodziny tuż po udanej akcji ratunkowej kierowali swe kroki do pobliskich delikatesów, by nie dziękować za pomoc z pustymi rękami [...]. Lekarze, zdecydowanie przeciążeni dziękczynnymi wyrazami, odnosili butelki

z powrotem do delikatesów. A panie sprzedawczynie dyskretnie [...] brały flaszkę na nowo do sprzedaży. Podobno rekord pobiła ta zwracana dziewięciokrotnie”.

DZIADEK GUSTLIKA

Humorem skrzy się także nostalgiczny zbiór epizodów z życiorysu Franciszka Pieczki, spisany oszczędnym piórem Katarzyny Stoparczyk. Chociaż Himalaje artyzmu osiągnął na ekranie w „Żywiecie Mateusza”, „Austerii”, „Potopie”, „Ziemi obiecanej” tudzież półkowniku „Słońce wschodzi raz na dzień”, to w pamięci masowego widza utkwił głównie kreacją w zafałszowanym historycznie serialu „Czterej pancerni i pies”.

Jako jego bohater był wielokrotnie zapraszany do rodzinnego Godowa na gwarki, tradycyjne biesiady górnicze organizowane przy okazji Barbórki. Niestety, na przeszkodzie stawały obowiązki zawodowe, sprawy rodzinne, podróże, choroby... W końcu jednak aktor na uroczystość dotarł.

„Po oficjalnych wystąpieniach przegaszono światła [...]. Nagle rozgadana publiczność zamarła. Od ostatnich rządów powoli szedł on. Ten, na którego wszyscy tak długo tu czekali. Stu pięćdziesięciu chłopów zerwało się z miejsc.

– Gustlik, Gustlik! – skandowali wszyscy. Kiedy Franciszek sięgnął po mikrofon, uciarli.

– Jo bym chcioł was bardzo serdecznie przeprosić. No bo wicie, wy wszyscy czekaliście na Gustlika, a to jego dziadek przyjechał”.

W książce czytamy też o festiwalu filmowym w Swierdłowsku, gdzie naszą kinematografię reprezentowali „Jańcio Wodnik”, reżyser filmu Jan Jakub Kolisko, grający w nim rolę tytułową Pieczka oraz Waldemar Dąbrowski i Jerzy Hoffman.

„Stoły ugięły się pod ciężarem kawioru, wódy i ciast. Pod generalską willę co chwilę podjeżdżały mafijne limuzyny. Wysiadali z nich ludzie o aparycji goryli. Dostarczali alkohol i przywozili półnagie panienki. Jak się okazało, ochroniarze byli producentami filmowymi Nikity Michalkowa”.

KAMIENICA W HERBIE

O ile Czechowicz z Pieczką studiowali na jednym roku aktorstwa w stołecznej PWST, o tyle Kamiński – również absolwent tejże uczelni – był od nich o generację młodszy. Jednym z jego teatralnych drogowskazów został Adam Hanuszkiewicz. „Kiedyś spotkał mnie na korytarzu i zaprosił do gabinetu. Z charakterystyczną manierą w głosie powiedział: »Emilian, to będzie szczerza rozmowa, dwóch facetów. Ja cię obserwuję, ty jesteś bardzo ciekawym aktorem, masz dobre oko, dykcję, głos, aparycję masz dobrą, baby cię lubią, masz zacięcie reżyserskie... Przed tobą jest wielka kariera, tylko... NIECH TO ZOSTANIE MIĘDZY NAMI«”.

Kamiński pracował także z Kaziemierzem Dejmkim. Podczas prób do „Requiem dla gospodyni” Wiesława Myślińskiego między reżyserem a aktorem wynikała następująca konwersacja:

„– Wie pan co, panie Kamiński, w tym kostiumie, proszę pana [...], to może pan popierd.... w ogrodzie w Józefowie, [...] a nie w Teatrze Narodowym.

Lawina śmiechu spadała na wszystkich, a ja poczekałem, aż się wyśmieją, i odpowiedziałem na jego nutę:

– Panie reżyserze, w moim pięknym ogrodzie w Józefowie to chodzę, proszę pana, w garniturze i pod krawatem, odpierd.... jak pan reżyser”.

Tandem zetknął się i przy misterium „Dialogus de Passione”. „Grałem tam

starego rabina, a tych rabinów w przedstawieniu było trzech [...]. Jesteśmy na scenie, trwa próba, rabini przychodzą do Piłata [...]. Nagle Dejmek krzyczy, że on nie wie, nie ma pomysłu, jak ci rabini mają wejść do tego Piłata, i czy ktoś ma jakieś rozwiązanie. Ja – ręka do góry. I słyszę: »O, proszę bardzo, pan Kamiński, narodził się reżyser. No proszę, słuchamy, panie reżyserze Kamiński, jak rabini wchodzą do Piłata«. Powiedziałem, jak to widzę, ustawiliśmy tę scenę, zagraliśmy – wszystko się zgadza, idziemy dalej. Po chwili Dejmek patrzy na mnie i woła: »No, panie reżyserze, jak rabini mają wyjść, na pewno już pan to wie« [...]. Poczekalem, aż przyleci cały zespół – jak zawsze, gdy coś się dzieje – i odpowiadam, iż żydzi wychodzą, tak jak weszli. »Co to znaczy?« – docieka Dejmek. »Obrzezani, panie reżyserze, obrzezani« – wyjaśniłem”.

DYSPENSA OD POPIEŁUSZKI

Ogromny wpływ na Kamińskiego wywarł ks. Jerzy Popiełuszko.

„Przychodził na próby i na spektakle, ja jeździłem do niego na Żoliborz do parafii św. Stanisława Kostki. Dużo rozmawialiśmy, a właściwie to ja go słuchałem, bo miał tak wiele do powiedzenia [...]. Została mi po nim rana w sercu, bo doskonale pamiętam niesamowitą energię tego człowieka. Ta rana nigdy się nie zagoi [...]. Przyszedłem kiedyś do Jurka i powiedziałem, że mam problem, bo chciałbym zaprezentować taki bluzg na Jaruzelskiego, ale trochę nie wypada, na widowni kobiety, jak to zrobić? Bez namysłu odpowiedział, również używając dobitnych określeń, że o tym »czerwonym...« nie można inaczej. »Masz dyspensę, i wszyscy, co cię słuchają, też ją mają« – usłyszałem. Cóż, nie ukrywam, że tej dyspensy od tamtej pory się trzymam”.

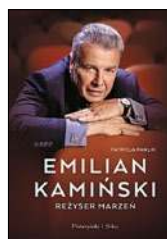
Wyjaśnijmy, że ów tekst Kamiński zaprezentował premierowo w Teatrze



HANNA FARYNA-PASZKIEWICZ
„CZECHOWICZ.
HRABIA,
MIŚ CZY DRAŃ”
MANDO 2024



KATARZYNA STOPARCZYK
„FRANCISZEK
PIECZKA.
PORTRET
INTYMNY”
MANDO 2024



PATRYCJA PAWLIK
„EMILIAN
KAMIŃSKI.
REŻYSER
MARZEŃ”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2024

Domowym, powstałym po 13 grudnia 1981 r., prowadzonym wspólnie z Ewą Dałkowską, Andrzejem Piszczatowskim i Maciejem Szarym. Występowali w mieszkaniach prywatnych. „Wtedy nie przyszło mi do głowy, że po latach niemal przejdziemy do historii, wzmianka o naszym przedsięwzięciu znalazła się w podręczniku do tego przedmiotu prof. Wojciecha Roszkowskiego” – mówi Dałkowska. I dodaje, że u progu tego stulecia Kamiński zaprosił jej męża, Tomasza Miernowskiego, do współpracy przy budowie teatru. „Powiedział Emilianowi, że w mieście rządzonym przez Hannę Gronkiewicz-Waltz nic z tego nie będzie, szkoda czasu, ale Emilian ruszył do dzieła i tak powstał Teatr Kamienica”. Jego twórca wspominał: „Zderzyliśmy się z mocną grupą umocowaną w jakiś ubeckich systemach [...]. Nie mam na to wpływu, w każdym razie o tym, jak bardzo ci ludzie narozrabiali, najwięcej wiedzą moi lekarze”.

Bo stres towarzyszący tej inicjatywie scenicznej bez wątpienia rzutował na nieuleczalną chorobę nowotworową Kamińskiego. Podkreślającego, że: „Jeśli chodzi o prywatny teatr, to można oczywiście tworzyć jedynie spektakle dochodowe, działać wyłącznie dla zysku, ale [...] wartości, jakimi się w życiu kieruję, nie pozwalają mi na to. Nie chcę robić teatru błahego, muszę dotykać różnych problemów”. I tak się właśnie dzieje w Kamienicy już od lat 15.

Przesłanie przedwcześnie zmarłego artysty brzmi niczym memento: „Nie lubię mody, bo

ona idzie z tych wszystkich korporacji – musisz to jeść, masz tak się ubierać, tak wyglądać, tak myśleć... To jest to, co tłumaczą moim synom – nie dajcie się internetom, bo one robią z wami to, co nie udało się komunistom, zabierają wam wolność, choć wy tego nie czujecie. Narzucają wam to, jakimi macie być, wyłącznie dla czyjegoś zysku”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Gociek

W skrócie – geniusz. Zawsze zaharowany, zawsze obmyślający nowe projekty, człowiek, który odmienił oblicze telewizji. I zmarł przedwcześnie

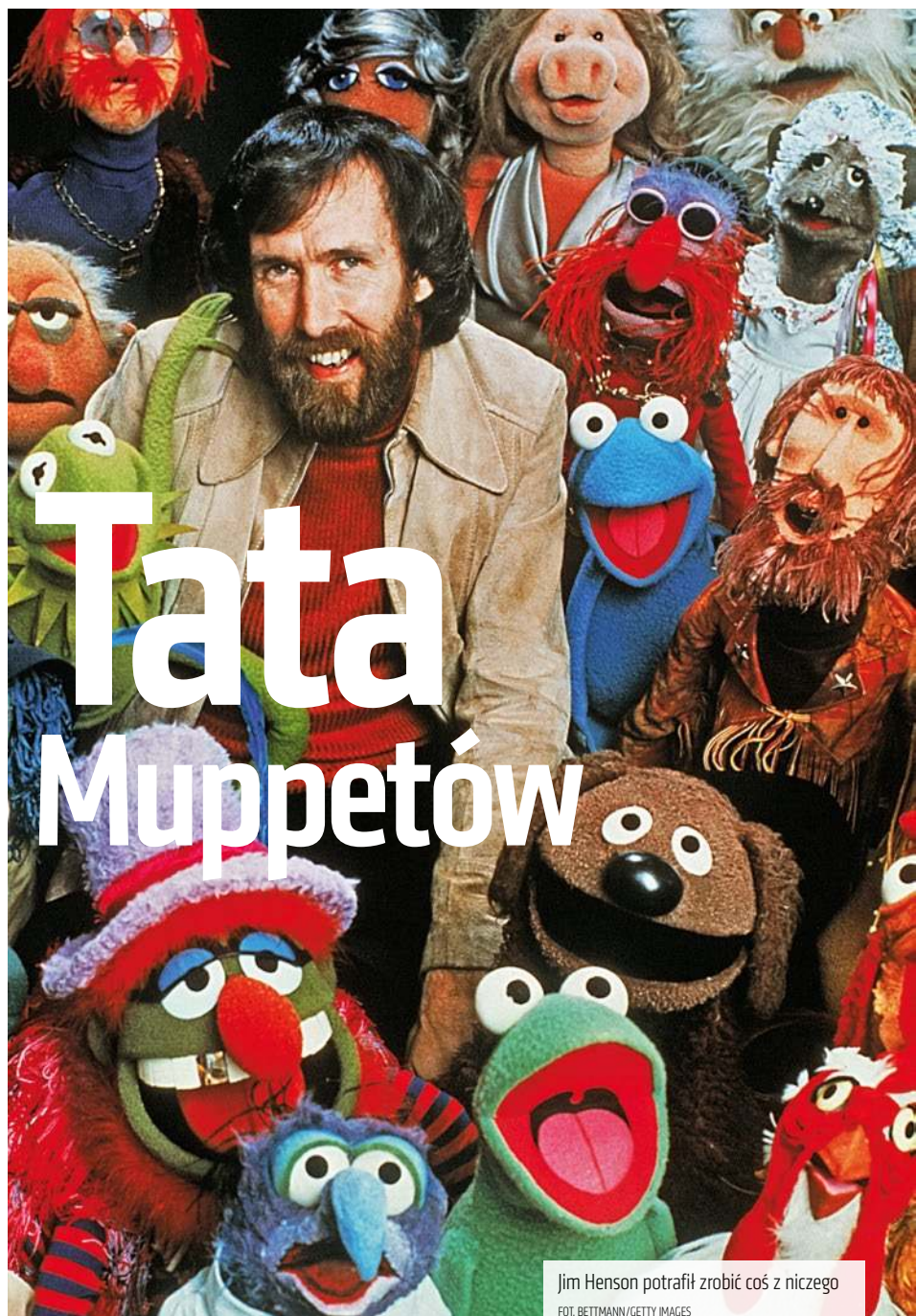
Jak dobrze, że mu nie wyszło. A tyle miało tego być: eksperymentalne filmy, niezależne (i równie eksperymentalne) produkcje teatralne, a nawet klub nocny (być może sieć klubów), który miał być eksperymentalną dyskoteką – z psychodelicznym filmem wyświetlanym na suficie z 16 projektorów jednocześnie.

Jak to dobrze, że mu wyszło! W naszej wdzięcznej pamięci żyją dzięki temu kolorowe stwory z „Ulicy Sezamkowej”, „The Muppet Show” czy „Fragglesów”. A historii kina lat 80. XX w. nie da się napisać bez uwzględnienia oryginalnych i zaskakujących filmów „Ciemny kryształ” („Dark Crystal”, 1982) i „Labirynt” („Labyrinth”, 1986). Nowy film dokumentalny Rona Howarda to portret Jima Hensona, wielkiego mistrza animacji kukiełkowej, telewizyjnego nowatora i twórcy wymienionych wyżej sukcesów.

BIOGRAFIA AUTORYZOWANA

Portret jest szkicowy, bo trzeba było zmieścić się w mniej niż dwóch godzinach opowieści, ale ciekawy i potrzebny, bo dla zdecydowanej większości widzów „Jim Henson” to tylko napis z list płac popularnych produkcji. Niektórzy czytali biografię „Jim Henson. Tata Muppetów”, którą napisał Brian Jay Jones (polskie wydanie 2014), ale jej nakład już od dawna jest wyczerpany.

Film Howarda to biografia autoryzowana i kręcona z walnym udziałem dzieci reżysera, więc – jak zwykle bywa w takich wypadkach – bardziej okazja do hołdów niż do stawiania ostrych pytań. A okazje były: genialny na planie i przy stole projektowym twórca zwykle nie wiedział, na co wydają pieniądze menedżerowie jego firmy (mowa o czasach wielkich dochodów i wielkiej rozrzutności). Jego spory z producentami telewizyjnymi i filmowymi były



Jim Henson potrafił zrobić coś z niczego

FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

dużo ostrzejsze (w tym kłótnia z Roaldem Dahlem o ekranizację „Wiedźm”, której pisarz nienawidził i chciał wycofać swoje nazwisko z czołówki). Jego życie uczuciowe też było dużo bujniejsze, niż widzimy na ekranie – lubił romansować, ale pod koniec życia był też zaangażowany w poważny związek z Mary Ann Cleary, którą uczynił swoją asystentką. Nie ma po niej śladu nie tylko w filmie, lecz także na oficjalnej stronie Hensona w Wikipedii. W zakładce

„życie prywatne” znalazło się miejsce tylko na żonę i dzieci.

Wymieniam to wszystko dla porządku, a nie, by film Rona Howarda deprecjonować. To solidna robota, porcja wiedzy, którą połączam za jednym zamachem, żałując, że jest za mała (morze szczegółów znajdziecie w książce Jonesa oraz w internetowym sześcioczęściowym serialu dokumentalnym dostępnym na YouTube, a wyprodukowanym przez Defunct TV).

Polski tytuł – „Jim Henson: twórca” – nie oddaje sensu oryginału, „Jim Henson: Idea Man”. W technicznym sensie każdy, kto pisze, kręci, projektuje lalki itp., jest twórcą, Henson był przecież kimś więcej, był człowiekiem przepełnionym oryginalnymi pomysłami, których tak naprawdę nie nadążał realizować. Pracował przy tym z maniakim uporem, na czym cierpiała rodzina, bo Jim zawsze był albo w trakcie pracy nad wyczerpującym i wymagającym projektem, albo oddawał się gonićwie za sposobami realizacji kolejnego projektu (ach, męki poszukiwań odpowiednich budżetów i wyrozumiałych partnerów telewizyjnych), a podczas wakacji, cóż, czasem odpoczywał, ale głównie zapisywał nowe pomysły.

Żył i pracował, jakby czas świata miał mu się za chwilę skończyć. Tak zresztą się stało, bo umarł przedwcześnie, w wieku 53 lat. Dla porównania pomyślcie: to tak, jakby Clint Eastwood zmarł, zanim zdążyłby jeszcze nakręcić „Birda” i „Bez przebaczenia”. Patrząc na to, jak wiele osiągnął Henson w latach 70. i 80., trudno nie zadawać sobie pytania, co pozostawiłby po sobie, gdyby żył przez kolejne dwie dekady. Szczególnie że u kresu życia był zafascynowany rodzącą się technologią CGI i czynił pionierskie kroki w dziedzinie motion capture. Oczywiście zobaczylibyśmy mnóstwo nowych muppetów. „Przez dłuższy czas mówiłem ludziom, że to połączenie słów marionetka i pacynka [marionette i puppet – przyp. P.G.], ale było to po prostu słowo, które stworzyliśmy” – opowiadał po latach Henson (cytuje za książką Jonesa). Jednak w rzeczywistości „robiliśmy bardzo mało rzeczy związanych z marionetkami”. Co nie zmieniało tego, że ten rodzaj sztuki niezwykle Hensona fascynował, a z młodzieńczej podróży do Europy wrócił zachwycony tym, jak poważnie traktuje się tam sztukę lalkarską – teatry, grupy artystyczne, spektakle na ważne tematy.

FINANSOWA NIEZALEŻNOŚĆ

W Ameryce wszystko, co kukiełkowe, było zamykane w szufladzie „tylko dla dzieci”, wyjątkiem był biznes reklamowy. Ten ostatni zresztą pozwolił Hensonowi (najważniejszym partnerem artystycznym Jima była przez długie lata jego żona Jane) zbudować fundamenty finansowej niezależności. To, co zarobili na reklamach, mogli wydawać na własne projekty. Przyszłość zaczęła wyglądać jaśniej (i bardziej

na bogato) po sukcesie „Ulicy Sezamkowej”, edukacyjnego programu udowadniającego, że pogardzane i oskarżane o schlabanie najniższym instynktom medium – telewizja – może być cennym narzędziem edukacyjnym. Ponadto kreatywność i humor Hensona oraz jego współpracowników znów powiązane zostały z produktem „niepoważnym”. Tyle że tym razem twórca Kermita miał już na tyle silną pozycję i na tyle stabilne wpływy, że mógł zacząć pracę nad pilotażowymi odcinkami wymarzonego show – telewizyjnej serii kukiełkowej dla dorosłych.

Z filmu Howarda wynika, że wszyscy decydenci amerykańskiego przemysłu telewizyjnego okazali się cymbałami, gdyż nie dostrzegli natychmiast komercyjnego potencjału przyszłego „The Muppet Show”.

W Ameryce wszystko, co kukiełkowe, było zamykane w szufladzie „tylko dla dzieci”

Pomocną dłoń wyciągnął dopiero doświadczony brytyjski producent Lew Grade. To ostatnie to prawda, ale amerykańska część historii jest bardziej skomplikowana. Po emisji pilotażowych odcinków („The Muppets Valentine Show” i „The Muppet Show: Sex and Violence”) opinie widzów były niezłe, część recenzji również. Ale oglądane po latach wyraźnie odstają poziomem od późniejszego przebojowego serialu. To dopiero ciężka praca nad ostatecznym formatem, nowymi postaciami i humorem w Wielkiej Brytanii zamieniła przedsięwzięcie w coś niezwykłego. Trudno mieć więc pretensje do amerykańskich sieci, że wahały się nad wydaniem pieniędzy na coś, co w przedstawionej wcześniej wersji było półproduktem. I trudno się dziwić, że kiedy „The Muppet Show” nabrał kształtu, ściagały się o prawa do jego emisji i powtórek. Reszta jest historią.

Ciąg dalszy opowieści o Jimie Hensonie to pasmo wzlotów i upadków. Niezrozumienie, z którym spotkał się przełomowy kukiełkowy film fantasy „Ciemny kryształ”, a zarazem wielki sukces kinowych filmów o muppetach. Katastrofa, którą okazał się cykl „The Jim Henson Hour”, a zarazem wielki sukces serii „Fragglesy” („The Fraggle Rock”). Spór o film „Labirynt” – dzieło

geniusza czy dowód na rosnącą próżność twórcy, który zawsze chce robić po swojemu, a nie tak, jak chcieliby publiczność, krytycy i producenci?

Bez wątpienia był Jim Henson geniuszem, twórcą niezwykle i nowatorskim. A zarazem na jego sukces pracowała spora grupa utalentowanych ludzi, bez których błędziłby jak dziecko we mgle – poczynając od żony Jane, przez armię animatorów i aktorów, kończąc na Franku Ozie, najbliższym współpracowniku, który po śmierci Hensona stał się najbardziej rozchwytywanym lalkarzem świata. Film Rona Howarda opowiada także o nich, część występuje tylko w materiałach archiwalnych, inni dzielą się wspominkami przed kamerą. O każdym szefie świadczą ludzie, których wybiera na swoich podwładnych. Henson w dziedzinie sztuki wybierał doskonale, z menedżerami bywało różnie.

NIE TYLKO KERMIT

Byłoby jednak wielką niesprawiedliwością pamiętać jedynie o lalkarskich osiągnięciach twórcy „Muppet Show”, to znaczy czcić go jako wybitnego konstruktora, który czasem potrafił zrobić coś z niczego (oczy Kermita to rozcięta na pół piłeczka pingpongowa, pies Rolf to obciążona pluszem piłka do koszykówki), a kiedy indziej popychał naprzód rozwój najnowszej techniki (rozwój kukiełek sterowanych radiem). Równie ważne, a może ważniejsze, jest to, kim były jego muppety. Jego najbardziej znana kreacja, żaba Kermit, ma w sobie wiele z twórcy – ze świętą cierpliwością zmagającą się z przeciwnościami losu, a zarazem często czuje się osamotniona i wyobcowana.

Galeria bohaterów znanych z „Muppet Show” stworzona została zarówno z szalonego, anarchicznego i nieco surrealistycznego dowcipu, jak i niemal chaplinowskiej melancholii. Ta parodia variété to połączenie brytyjskiego sarkastycznego humoru i amerykańskiego optymizmu. Futrzaki z „Ulicy Sezamkowej” wiedzą, że dziecko to też człowiek. Fragglesy to postacie przekonane, że wszystko można naprawić, wystarczy chcieć. „Jim inspirował ludzi, aby byli lepsi, niż myśleli, że potrafią” – mówił o Hensonie jego agent i bliski współpracownik Bernie Brillstein. Nic tak nie poprawia mi humoru, jak stare odcinki „The Muppet Show”. Czego i państwu życzę.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Szach królowi



★★★★★
MINISERIA
„FESTIWAL
RENEANSU”
(„REN FAIRE”)
USA 2024

Oto dokument najdziwniejszy i najzabawniejszy od czasów osławionego „Króla tygrysów” – im dłużej oglądamy, tym szerzej otwieramy oczy. Miejsce jest specyficzne – największe w USA miasteczko żyjące z rekonstrukcji życia i rozrywek z dawnych wieków. Od półwiecza własność i źródło dochodów George’a Coulama, którego wszyscy (w tym on sam) nazywają King George. Postać to co najmniej ekscentryczna – zbliżając się do osiemdziesiątki, randkuje (na 15 różnych serwisach) z kobietami młodszymi o połowę i bardziej, bierze co tydzień zastrzyki z testosteronem, łyka viagrę garściami oraz planuje swą śmierć, która – jak mu wychodzi z wyliczeń – nastąpi, gdy osiągnie 95. urodziny. Ostatnią dekadę życia zamierza spędzić,

podróżując i korzystając z życia u boku kobiety swego życia. Jeszcze jej nie znalazł.

Pytane kluczowe dla dalszych losów Texas Renaissance Festival w Todd Mission brzmi: Kto będzie następcą Króla George’a? Teksańska gra o tron okazuje się fascynująca, choć bez smoków, czarów i żywych trupów, a świat Ren Faire coraz bardziej intrygujący, choć zarazem obciachowy. Polskim zjazdom wojów słowiańskich daleko do rozmachu amerykańskich przedsięwzięć, które okazują się nie tylko spotkaniem rekonstruktorów zafascynowanych szcieniem płóciennych portek i własnoręcznym wyrobem tarcz, lecz także historycznymi Disneylandami. Każdego lata przez osiem tygodni pół miliona gości bawi się przed ponad 20 scenami, a na ich pieniądze czyha załoga

kilkuset stoisk i miejsc wyszynku. Lwia część tych pieniędzy trafia do Króla George’a, który wart jest dziś ponad 100 mln dol. Jest więc o co walczyć.

Kto wygra? Najbliższy współpracownik króla, który zna biznes od podszewki, ale którym teksański monarcha pogardza? Arcymistrz sprzedaży prażonej kukurydzy, który wszystko chce unowocześniać? A może była trenerka słoń? Zaciekle walczy o sukces, galeria nietypowych bohaterów, tło jak z planu produkcyjnego serialu „Gra o tron”. Czego chcieć więcej? Ostatecznie okaże się to wszystko opowieścią o tym, jak wizja władzy uwodzi, jak trudno się z władzą rozstać i jak pusto jest na szczycie – gdy już go osiągniemy. Władcy to najbardziej samotni ludzie na świecie. ©©



NOWE SERIALE: „GANGLI GALICJI”

Zdolna prawniczka niespodziewanie przeprowadza się do małego miasteczka Cambados. Cel? Przeniknięcie do kartelu narkotykowego odpowiedzialnego za śmierć jej ojca. Serial stworzony i napisany przez Jorge Guerricaechevarri, scenarzystę tak głośnych produkcji jak „Drżące

ciało”, „Kamienica w Madrycie” czy „Dzień bestii”. W rolach głównych Clara Lago i Tamar Novas („Kokainowe wybrzeże”, „Przerwane objęcia”). ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Gangsi Galicji” („Clones”), Hiszpania 2024

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- reż. Mark Molloy, „Axel F” („Beverly Hills Cop: Axel F”), USA 2024
- reż. Laura Terruso, „Wszystko o moim starym” („About My Father”), USA 2023
- reż. Reinaldo Marcus Green, „Bob Marley: One Love”, USA 2024

Cena kłamstwa

skySHOWTIME

Najbardziej ryzykowny moment w karierze oszusta to ten, w którym usiłuje on stanąć w prawdzie. Fab i Rob spróbowali, ale producent Frank Farian buntów nie tolerował. Wolał zdemaskować krnąbrnych podopiecznych niż dopuścić ich do udziału w nagrywaniu nowego albumu (i zyskach). Kariera dyskotekowego duetu trwała ledwie kilkanaście miesięcy. W tym czasie Milli Vanilli zdążyli jednak sprzedać 46 mln płyt oraz odebrać Grammy w kategorii najlepszy debiut roku. Sława, alkohol i narkotyki przewróciły im w głowach. Ogłosili, że są lepsi od Beatlesów. Tymczasem byli tylko gładkolicymi tancerzami odzianymi w modne ciuchy. Na koncertach otwierali

usta, głos leciał z taśmy. Nagłośnienie tego faktu zatopiło Fabę i Roba; ich promotorzy wyszli bez szwanku. Niemcy, zainspirowani skandalem, nakręcili fabularny „Przekręt stulecia”. Amerykanie wybrali formułę zaangażowanego dokumentu, który „zawiera sceny, które mogą urazić niektórych widzów”. Rzeczywiście, ocieplanie wizerunku kłamczuchów trochę irytuje. Hipokryzja branży muzycznej

nie dziwi. Wszyscy znali sekret Milli Vanilli, ale fałszywym blaskiem lśniło więcej gwiazd. W studiu nawet z Obajtka da się zrobić Elvisa. Czekam na film o diabolicznym rasiście Farianie, który „dorobił się na czarnych artystach”. Niedawno zmarł, więc hulaj dusza. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. LUKE KOREM
„MILLI VANILLI”
USA 2023



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

UWAŻAJCIE NA SIEBIE

KINO

Jakie czasy, taka grand tour. Przejdźmy do rzeczy. Będąc młodą studentką, wyprawiasz się z psiapsiół do kraju kangurów. Spędzacie miło czas, by pewnego dnia odkryć, że nie stać was już nawet na kiepskie piwo. Zaradne panny w takiej sytuacji szukają pracy zgodnej z zainteresowaniami. W mordowni na środku



★★★★★
REŻ. KITTY GREEN
„THE ROYAL HOTEL”
AUSTRALIA/
WIELKA Brytania
2023

wyst. Julia Garner, Jessica Henwick, Hugo Weaving

stepu można godziwie zarobić, gwiazdy świecą tuż nad głową, wielbiciele zaś ustawiają się w kolejce. Niestety, The Royal Hotel jest rewersem Bagdad Cafe. Tubyłcy piją na umór, są grubiańscy i oblesni. No cóż, czarna legenda Aussies nadal kwitnie. Fani dreszczowców wiedzą, że gdy z ekranu pada pytanie: „Czy jest bezpiecznie?”, lepiej brać nogi za pas. Rozrywkowa Liv i aż nazbyt zadowolona Hanna chyba wychowały się na innych filmach. Dopóki pani reżyser trzyma się reguł gatunku, dopóty ogląda się to nieźle. Żądza zmiażdżenia relikwów patriarchatu wykołubiła jeszcze jedną fabułę. Trochę szkoda. © ©

SAMI SWOI

35mm online

Andrzej Mularczyk pozostanie we wdzięcznej pamięci rodaków nie tylko jako scenarzysta trylogii Kargula i Pawlaka. Wielu fanów ma w niej również „Wyjście awaryjne” – komedię o ślubie z opłaconym rozwodem, która na ekranach pojawiła się pod koniec stanu wojennego. Bożena Dykiel jako energiczna



★★★★★
REŻ. ROMAN ZAŁUSKI
„WYJŚCIE AWARYJNE”
POLSKA 1982

wyst. Bożena Dykiel, Jerzy Michotek, Andrzej Golejewski

i złotousta pani naczelnik rozbiła bank. Cenzura działała według nowych wytycznych: można już było żartować z partyjniaka i milicjanta, byle niskiego szczebla. Mularczyk dodatkowo pozwolił sobie na kpiny z TVP i bolączek późnego PRL – braku cementu i przerw w dopływie prądu. Współczesnego widza rozbawiać łatwiej – wystarczy widok postrachu szos marki Syrena. Za to wątek romantyczny trochę kuleje. W filmie jak refren powraca odzywka: „Podłość ludzka nie zna granic”, jednak pan Andrzej miał dużo zrozumienia dla cudzych słabości. Lista twórców, których zainspirował, jest zbyt długa, by ją tutaj przytaczać. © ©

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „ELDEN RING: SHADOW OF THE ERTREE”

Ogromny jak na dodatek, duży nawet jak na osobną grę. „Elden Ring: Shadow of the Erdtree” to dziesiątki godzin przygody w dobrze znanym stylu i na dobrze znanym wysokim poziomie trudności. Walka jest taka,

jakiej mogliśmy się spodziewać: wymagająca, ciekawa, nagradzająca pomysłowość i wykorzystywanie pięty achillesowych przeciwników. Z nową bronią, odświeżonym repertuarem zaklęć i w nowych pancerzach. A to wszystko



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

podane w znakomitej jakości audiowizualnej. © ©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** RPG, TPP
- **Platforma:** PS5, XSX, PC
- **Producent;** wydawca PL: FromSoftware, Cenega

KRZYSZTOF
MASŁŃ

MOJA PÓŁKA

Płyta Amandy Lear

9 marca 1982 r. autor tej książki został aresztowany, by za kratami spędzić ponad dziewięć miesięcy, nim po trzeciej rozprawie sądowej wypuszczono go, uchylając tymczasowe aresztowanie „z powodu ustania przyczyny”, dla której zastosowano ów środek zapobiegawczy. Stanisław Danielewicz, znany – zwłaszcza w Trójmieście – dziennikarz muzyczny, odzyskał wolność, ale nadal był podejrzany. Teraz powrócił do wydarzeń sprzed z górą 40 lat, wspomnienia swoje opierając na materiałach procesowych i skrupulatnym zapisie faktograficznym. W efekcie powstała historia zatytułowana „Tak konała Wrona”, więcej może mówiąca o istocie stanu wojennego niż wiele powstałych już dzieł naukowych.

Danielewicz stanął przed gdyńskim Sądem Marynarki Wojennej za napisanie... recenzji płytowej zapomnianej dziś, a bardzo tajemniczej wokalistki Amandy Lear. Serio. Otóż w uzasadnieniu aktu oskarżenia można było przeczytać: „Stanisław Danielewicz w »Dzienniku Bałtyckim« nr 31/11406/ z datami 12-13-14 lutego 1982 opublikował artykuł »Wracamy do płyty, o których się mówi«, w którym pierwsze litery kolejnych akapitów układają się w hasło »Wrona skona« poniżające w swej fałszywej treści Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, mogące osłabić gotowość obronną PRL oraz wywołać niepokój społeczny lub rozruchy”.

Tym samym – dowiadujemy się z dalszej części uzasadnienia – „Stanisław Olgierd Danielewicz nie tylko dał wyraz własnej negatywnej postawie politycznej, ale czynnie włączył się w nurt walki przeciwko porządkowi prawnemu okresu stanu wojennego, bowiem po ukazaniu się publikacji jak



FOT. STANISŁAW DANIELEWICZ/FACEBOOK

również obecnie cytowane hasło zaczęło ukazywać się w różnych miejscach na terenie Trójmiasta, podsycając niepokój publiczny, a zatem i utrudniając stabilizacyjne działania Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego.

W tym stanie rzeczy skierowanie przeciwko Stanisławowi Danielewiczowi aktu oskarżenia jest w pełni zasadne. Z uwagi na szczególnie wysoki stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu, jakiego dopuścił się wymieniony – zasadnym jest również wniosek o rozpatrzenie sprawy w trybie doraźnym”.

Ten ewidentny absurd ukazywał w tym momencie swoją groźną twarz. Tryb doraźny nie przewidywał zawieszenia, a oskarżonemu groził wyrok najmniej trzech lat więzienia. To nie były przelewki. Ewa Kubasiewicz za rozpowszechnianie ulotki wzywającej do oporu przeciwko stanowi wojennemu dostała 10 lat (choć prokurator domagał się dziewięciu!).

Danielewicz konsekwentnie nie przyznawał się do winy, a wśród biegłych i świadków znaleźli się, na szczęście, nie tylko łajdacy gotowi swymi zeznaniami podpierać dęte, idiotyczne oskarżenie. No bo jak udowodnić autorowi, że celowo tak ułożył kolejne akapity tekstu, by jego pierwsze litery utworzyły obrazoburcze ponoć hasło? A może to jednak był przypadek, choć prawdopodobieństwo porównywać tu można

do skreślenia wygranej szóstki w totku.

Autor „Tak konała Wrona” opowiada swoją historię na znakomicie przedstawionym tle wydarzeń z pierwszych miesięcy stanu wojennego, rzetelnie oddając tamtą atmosferę, ukazując nastroje społeczne wahające się od czar-nowidztwa do hurraoptymizmu (pamiętamy przecież: „Zima wasza, wiosna nasza!”). Danielewicz chciał dodać swoim czytelnikom nadzieję, za co zapłacił bardzo wysoką cenę.

W epilogu swojej książki, odpowiadając na fundamentalne pytanie dla całej tej sprawy: „Czy warto było?”, pisze m.in.: „Totalitarna władza, rozporządzająca wojskiem i milicją, nie runie, bo tak sobie życzą demonstrujący, nawet w ogromnej liczbie. Ślepa siła, wymierzona w naród, budzi niestety strach. Ale strach można rozbić, oddalić. Tu nie trzeba siły. Wystarczy śmiech. Ów śmiech odczarowuje potwora, ukazuje jego słabości i w gruncie rzeczy bezradność. Śmiechu bowiem nie można zakazać, a nawet jeśli... to tylko wzbudzi śmiech! Przed śmiechem nie ma obrony, nie ma ucieczki – jeśli jest dobrze ukierunkowany. Ta teza znalazła potwierdzenie choćby w postaci działań prześmiewczych wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy. Zomowcy goniący po ulicach krasnoludki nie generowali strachu, byli po prostu śmieszni.

Natomiast mój »wybryk« pokazał, że źródła śmiechu są wszędzie, że tylko od inwencji twórców i odtwórców zależy, w jakiej postaci ową niezwykłą broń zastosują”.

Warto sięgnąć po te wspomnienia, a szczególnie polecić je do lektury tym, którzy wciąż za swoimi rodzicami czy dziadkami powtarzają, że stan wojenny to było „mniejsze zło”. Jak dla kogo. ©



★★★★★

STANISŁAW
DANIELEWICZ
„TAK KONAŁA
WRONA”PKB GROT,
BYDGOSZCZ 2024



POCZYTANKI

Beztroskie frasunki

PIOTR GOCIEK

Literatura szczęśliwie niepomysłana do końca – pisze w posłowie tłumacz Łukasz Musiał – która zachowuje „i radość, i wolność”. Tomik krótkich utworów prozatorskich szwajcarskiego klasyka to uczta dla miłośników literackich wędrówek pozbawionych wyraźnego celu. Nie chodzi o prowadzenie czytelnika na manowce, lecz o przygodę z literaturą, której urok kryje się w samej opowieści. To pisanie, w którym ważna jest sama wędrówka.

Raz jeszcze odwołam się do posłowania Musiała: tworzący w XX stuleciu Walser może uchodzić za autora XVIII-wiecznego „ze względu na szczególne nastrojenie pisarskie: cudowne poczucie wolności, nieomal graniczące z anarchią, połączone z matematyczną precyzją, grzecznością i absurdalną sztucznością manier”. Zalety te znikły w wieku XIX – zauważa Musiał – gdy „literatura zmieniła się w instytucję”, a w wieku XX literatura „zyskała na znaczeniu, ale w dużej mierze utraciła dawną elastyczność, lekkość i wdzięk”.

Pisze więc Walser o wszystkim, to znaczy o tym, co mu tylko wpadnie do głowy, zaczyna miniaturki od jakiejś anegdoty, by skrócić w jakąś zupełnie inną stronę, potem

dopisać do nowego tematu komentarz, który zamienia się w anegdotę na jakiś inny temat, a z tegoż znowu tematu wyłania się bohater, któremu przydarza się coś jeszcze innego. Tak oto kończymy podróż w niespodziewanym miejscu, zastanawiając się, jak to u licha jest możliwe, żeśmy się tu znaleźli: wszak z początku nic tego nie zwiastowało. Cudownym przykładem takiej beztroskiej listy nieoczekiwanych zwrotów narracji jest najdłuższa w książce nowelka „Ruiny”.

Swoje opowieści inkrustuje Walser rzucanymi od niechcenia zdaniem, które zamieniają się w aforyzmy: „złota codzienność jest dla mnie całym światem”, „dużo złego pochodzi, jak sądzę, z braku wyobraźni”, „poważni ludzie nazywają mnie dzieckiem i byłbym niegrzeczny, gdybym i ja tak nie myślał”. Kto nabierze po tej książeczce apetytu na więcej Walsera, zwrócić powinien uwagę na wznowienie jego debiutu

„Rodzeństwo Tanner” (PIW 2024), powieść niby bardziej tradycyjną, ale też uroczo epizodyczną. Robert Walser, geniusz osobny, który za swoją oryginalność i odmiennność musiał zapłacić. „Z biegiem czasu stałem się dla moich wydawców powodem do frasunku” – odnotował w szkicu „Moje wysiłki”. ©©



★★★★★
ROBERT WALSER
„KONIEC ŚWIATA
I INNE MAŁE
UTWORY PROZĄ”
OFFICyna 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Miał o niej kręcić film Kazimierz Kutz, ale cenzura w PRL nie pozwoliła. Ceniona reportażyстка („Londyńczycy”, „Greenpoint”) odtwarza dzieje śląskiej wioski, która w całości wyemigrowała w XIX stuleciu do Teksasu.



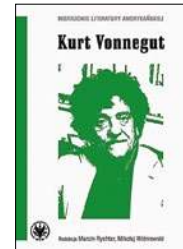
EWA WINNICKA
„MIASTECZKO
PANNA MARIA”
CZARNE

Żyjący dziś na emigracji w USA ujęski poeta opowiada o tym, co widział: jak chirskie władze terrorem i zbrodnią dokonują „ostatecznego rozwiązania kwestii ujęskiej”. Świat się dowiedział, nic nie powiedział.



TAHIR HAMUT
IZGIL
„CZEKAJĄC NA
ARESZTOWANIE
NOCĄ”
ZNAK

Antologia tekstów krytycznych analizujących twórczość „Rzeźni numer 5” i „Kocię kołyski”. Pionierskie przedsięwzięcie w Polsce, kolejny tom ciekawej serii „Mistrzowie Literatury Amerykańskiej”.



AUTORZY RÓŻNI
„KURT
VONNEGUT”
WYDAWNICTWO
UNIwersYTETU
WARSAWskiego

Klasyka brytyjskiej fantastyki katastroficznej i jedna z najlepszych książek SF w ogóle. Do upadku ludzkości przyczyniają się epidemia ślepoty oraz ekspansja śmiertelnych roślin: tryfidów. ©©

recenzuje Piotr Gociek



JOHN WYNDHAM
„DZIEŃ
TRYFIDÓW”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:

„SŁOWA MOGĄ WSZYSTKO” Biblijne „na początku było słowo” oraz żydowska legenda o Golemie są fundamentem tej edukacyjnej opowieści. Jej bohaterka utraciła w życiu niemal wszystko – zdrowie, rodziców, przyjaciół. Drogę do nowego początku wskaże jej tajemniczy staruszek, pan T., który wie,



SILVIA VECCHINI
„SŁOWA MOGĄ
WSZYSTKO”
NASZA
KSIĘGARNIA 2023

jak wielką siłę mają słowa i tkane z nich opowieści.

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Lwowskie emocje

Emocje. Lwowska rzeźba rokokowa” jest drugą odsłoną, a zarazem kontynuacją ubiegłorocznej wystawy, która – co podkreśla Zamek Królewski na Wawelu – okazała się frekwencyjnym sukcesem lwowskiej rzeźby rokokowej.

Na Wawelu eksponowane są arcydzieła pochodzące z kościoła Misjonarzy pw. Niepokalanego



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Poczęcia Najświętszej Marii Panny w Horodence. Wykonał je w latach 1755–1757 Johann Georg Pinsel z warsztatem. „Z oryginalnej dekoracji świątyni zachowały się jedynie cztery niemal trzymetrowe figury z ołtarza głównego, przedstawiające: świętych Annę, Joachima, Elżbietę i Józefa, anioły ze zwieńczenia (jeden w formie destruktu, na który składa się głowa i tors), cztery putta, dziewięć uskrzydłonych główek anielskich, dwie chmurki i szczerboko zachowana figura Chrystus rozsyłający Apostołów (?) z ambony” – piszą autorzy wystawy. Pozostałe eksponaty wypożyczono ze Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki i Muzeum Sztuki Przykarpacia w Stanisławowie. ©©

GDZIE? Zamek Królewski na Wawelu
KIEDY? do 15 września



FOT. MUZEUM HISTORII POLSKI

POTĘGA OPowieści

W jaki sposób opowiadano historię na przestrzeni wieków? Jaki wpływ na tożsamość i poczucie wspólnoty mają historia i sposób jej przedstawiania? Od średniowiecznej kroniki do nowoczesnego muzeum – wystawa czasowa w MHP poświęcona jest różnym sposobom opowiadania historii. Są więc i kronika Wincentego Kadłubka (w wersji rękopiśmiennej z XV w.), i tanie książki, skróty „Trylogii” dla mas. Jest malarstwo Jana Matejki oraz filmy (i te niepokorne, cenzurowane, i te służące propagandzie). ©©

GDZIE? Muzeum Historii Polski
KIEDY? do 15 września

NA SŁUCH

Hipnotyzujący jazz



GRZEGORZ BRZozowicz

Tomasz Stańko odszedł od nas przed sześcioma laty w wieku 76 lat. Był najbardziej utytułowanym i rozpoznawalnym polskim jazzmanem na świecie. Może o tym świadczyć choćby 13 albumów trębacza wydanych przez słynną wytwórnię ECM.

Najnowszy jest zapisem koncertu z festiwalu w Monachium w 2004 r. Był to kulminacyjny punkt w historii kwartetu, który w tamtym roku zagrał rekordową liczbę koncertów. Zespół wykonał na żywo siedem utworów, z których tylko dwa ukazały się na płytach. „Celina” na albumie „Matka Joanna”, a „Song from Sarah” na krążku „Suspended Night”. Płyta brzmi wyjątkowo intymnie, a kwartet gra z niezwykłą klasą. Krążek jest najlepszym przy-

kładem więzi, która łączyła lidera z pianistą Marcinem Wasilewskim, basistą Sławomirem Kurkiewiczem i perkusistą Michałem Miśkiewiczem. Wasilewski wspominał: „Rozwijaliśmy się u jego boku, a on nas obserwował. Każdy koncert, który z nim graliśmy, był ważny – najważniejszy, jakby ostatni”.

Dzięki produkcji Manfreda Eichera nagrania mają niepowtarzalną atmosferę. Rozpoznawalne brzmienie trąbki Stańki ma charakterystyczny, melancholijny ton. Lider w nieprawdopodobnie swobodny sposób przechodzi od ciszy do dramatycznych zrywów. Wydobyło wszystko, co najlepsze, z tych nagrań. Szkoda tylko, że praktycznie nie słyszymy reakcji publiczności. ©©



★★★★★
TOMASZ STANKO
QUARTET
„SEPTEMBER
NIGHT”
ECM



★★★★★
UNCLE ACID
& THE DEADBEATS
„NELL' ORA BLU”
RISE ABOVE

Anglicy rozkochani w Black Sabbath składają hołd włoskiemu kinu lat 70. Słyszymy dialogi z filmów, żeńskie chórki budują klimat, a zespół podróżuje po psychodelicznej pustyni napędzany ponurymi syntezatorami.



★★★★★
MATYLDA/
ŁUKASIEWICZ
„MATKA”
AGORA

Ona jest aktorką i rysowniczką. On założył zespół Pustki ćwierć wieku temu. Wspólnie debiutują albumem „Matka”, który opisuje życiowe lęki 40-latków. Gorzkie słowa otulone niepokojącymi dźwiękami udowadniają, że ważne płyty wciąż powstają.

Rzecz wyobraźni



Krzysztof Masłowski

Przywykliśmy nazywać bardami artystów wykonujących utwory autorskie, najczęściej własne kompozycje z własnymi tekstami. Przemysław Gintrowski nie pisywał słów do swoich piosenek czy raczej pieśni. Bo jak zdefiniować, czym naprawdę była „Modlitwa o wschodzie słońca”? Jak określić „Pokolenie” i „Przyjaciół, których nie miałem”, a jak „Autoportret Witkacego” czy „Karola Levitoux”? W oryginalny, absolutnie niepowtarzalny sposób interpretował wiersze Jastruna, Słonimskiego, Bursy, Lothara Herbsta i Leszka Szarugi, a przede wszystkim Zbigniewa Herberta. Poezję tego ostatniego prezentował od pierwszych swoich występów i nagrań, stąd na słynnych, przygotowanych z Jackiem Kaczmarskim „Murach” znalazły się Herbertowski „Kraj”, „Cesarz” i „Mur”. A potem były już całe albumy wypełnione poezją tego wyjątkowego twórcy, jak „Odpowiedź”.

Od śmierci legendarnego artysty minie w październiku 12 lat. Coraz częściej wspominam się go jako kompozytora świetnej muzyki filmowej (napisał muzykę do prawie 30 filmów na czele z takimi przebojami wielkiego i małego ekranu jak: „Tato”, „Nadzór”, „Dziecinne pytania”, „Matka Królów” i seriali „Zmiennicy” i „13 posterunek”), mówi się o jego projektach teatralnych (spektakl „Kamienie”), a starsi z łezką w oku wspominają koncerty sławnego tria Kacz-

marski-Gintrowski-Łapiński. Kombatanci stanu wojennego zapamiętali go z solowych koncertów (13 grudnia 1981 r. rozdzielił go z artystycznym partnerem, Jackiem Kaczmarskim, którego stan wojenny zastał we Francji) w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, na pamięć znają też nagrywane przez niego wówczas nielegalnie kasety, rozprowadzane w drugim obiegu tak jak podziemna bibuła. To chyba wtedy był bardem w najbardziej adekwatnym do tego słowa znaczeniu. Skądinąd o to, kogo za barda uważamy, spory trwają od lat i wciąż najbliższy prawdy był, zdaje się, Włodzimierz Wysocki, utrzymując, że „bard to człowiek z gitarą”.

Akurat ten facet z gitarą opowiadał nam o sprawach ważnych i najważniejszych. Często słowami Zbigniewa Herberta, który kiedyś żartobliwie nazwał siebie „tekściarzem pana Gintrowskiego”. A w ich współpracy momentów zabawnych, a także tragikomicznych nie brakowało.

„W stanie wojennym – opowiadał mi Przemek w wywiadzie udzielonym »Rzeczpospolitej« – dostałem od kogoś maszynopis z niepodpisanym wierszem. Ten, kto mi go dał, nie wiedział, czyj to utwór. Poetyka i styl Herberta są tak wyraźne, że od razu pomyślałem, iż to jego dzieło. Traf chciał, że parę dni potem byłem z nim umówiony. Wziąłem ten wiersz. Rozmawiamy o czymś i w pewnej chwili mówię: »Panie Zbigniewie, wydaje mi się, że mam wiersz, który pan napisał«. Herbert przeczytał ten długi zresztą wiersz i orzekł: »Nieźle napisane, ale to nie ja«. No,

skoro tak mówi, to położyłem uszy po sobie, myśląc, że komuś udało się genialna podróbka. Spotkanie nasze trwało jeszcze jakiś czas, w końcu pożegnaliśmy się i pan Zbigniew zamknął za mną drzwi. Mieszkał na parterze, więc schodzę jeszcze te pięć schodków, gdy otwierają się drzwi od mieszkania, ukazuje się głowa pana Zbigniewa i słyszę: »Panie Przemysławie, a o tym wierszu to pomyśl, bo może go jednak ja napisałem«.

Po którejś demonstracji majowej poeta przywita go słowami: „No i co, panie Przemysławie, znowu się pan chuliganiał po ulicach?”. Gdy Gintrowski przytaknął, Herbert stwierdził: „Szkoda was, młodych, na to. Wszyscy musimy czekać. Tu nie wytrzyma materia. Ona pierwsza odmówi współpracy”.

Nic dziwnego, że gdy zapytałem Przemysława Gintrowskiego o to, kto najbardziej wpłynął na jego myślenie, kto go ukształtował, bez namysłu wskazał właśnie na twórcę „Pana Cogito”: „– Nie chodzi tylko o wiersze – mówił. – Myślę, że i bardzo wiele ze swojej postawy życiowej zawdzięczam panu Zbigniewowi Herbertowi. Dość często spotykałem się z nim i wielka mądrość tego wielkiego człowieka i wielkiego poety dodawała mi siłę, napędu, przekonania o słuszności tego, co robię. Na pewno był on jednym z najwyższych autorytetów moralnych, jakie miałem w życiu. To jedyny literat w naszej powojennej historii, który w żadnym momencie nie współpracował z reżymem komunistycznym, od 1945 r. nie zgadzając się z tym, co działo się w Polsce. Został za to bardzo mocno ukarany”.



FOT. ANDRZEJ RYBCZAK/PAP

Za swoje credo uznał Gintrowski słowa Herberta z „Kołatki”:

*moja wyobraźnia
to kawalek deski
a za cały instrument
mam drewniany patyk
uderzam w deskę
a ona mi odpowiada
tak – tak
nie – nie.*

To ta kołatka podpowała mu, że wychwalany pod niebiosą Okrągły Stół „był de facto zdradą narodową”, a „ci nasi ludzie, którzy doszli do władzy i mieli coś zmienić, na razie sami się zmieniają. I to jest smutne: że nie poznaję wypowiedzi Adama Michnika i wielu innych. Że są to obce mi osoby. Oby się to jak najszybciej zmieniło. Ufam, że jeszcze mamy szansę wygrania tego, co stworzyliśmy, co wywalczyliśmy sobie razem”. To z tej szansy chciał skorzystać, kandydując w wyborach na radnego w swojej dzielnicy. A było to Miasteczko Wilanów... Ale kiedy zaproponowano mu fotel senatora – o czym mówił w filmie „Gintrowski” Arkadiusza Bartosiaka Mariusz Kamiński – odmówił. Widać pamiętał, o czym śpiewał w „Autoportrecie Witkacego”, że „polityka dla mnie to w kryształce pomyje”.

Zmarł w wieku 61 lat. Wraz z Jackiem Kaczmarskim sprawili, że słowo „bard” brzmiało dumnie. Naprawdę. ©©



Łukasz Warzecha

Przepisom, które miały skłonić żołnierzy i funkcjonariuszy do bardziej stanowczego działania, tak naprawdę wybito zęby

O tym, jakie nastroje panują wśród Polaków w kwestii ochrony granicy przed nawałą nielegalnych imigrantów, najlepiej świadczy sondaż dla OKO.press i Radia TOK FM. Lewicowy OKO.press opublikował wyniki badania pod pełnym wyrzutem tytułem: „Politycy, udało wam się. Polki i Polacy masowo za push-backami”. W gronie polityków, do których lewica zgłasza tutaj pretensję, znajduje się także niechybnie sam pan premier Tusk, którego poczynania w sprawie obrony granicy są przez lewicowy establishment krytykowane – może jeszcze nie tak mocno, jak było z działaniami rządu PiS, ale już bardzo wyraźnie.

Wyniki sondażu są zaskakująco jednoznaczne. Spośród trzech cykli badań (wrzesień 2021 r., listopad 2022 r. i czerwiec tego roku) dwa pokazały rezultaty bardzo podobne, obecny natomiast zdecydowanie się odróżnia. Respondentów prosiło o wskazanie, który pogląd jest im bliższy: ludzi przekraczających granicę należy wpuścić do Polski i rozpatrzyć ich wnioski o azyl (czyli sprzeciw wobec push-backów) lub też nie należy ich wpuszczać, a jeśli już granicę przekroczyć, to trzeba kazać wracać na stronę białoruską (poparcie dla push-backów).

Zwolennicy push-backów wygrali w tym zestawieniu już wcześniej dwukrotnie, aczkolwiek nie druzgocąco. Za pierwszym razem była to różnica 52 do 41 proc. (reszta to odpowiedź „nie wiem”), za drugim 52 do 43 proc. Obecnie różnica jest radykalna: 67 do zaledwie 19 proc., przy 14 proc. odpowiadających „nie wiem”.

Jeszcze ciekawiej wygląda to w rozbiu na elektoraty poszczególnych ugrupowań. Nie jest zaskoczeniem, że push-backi mają ogromną przewagę zwolenników w elektoratach Konfederacji (91 do 7 proc.) i PiS (86 do 7 proc.). Mają ją jednak również w elektoracie



Strzelanie

Trzeciej Drogi (60 do 21 proc.), a nawet – uwaga – Koalicji Obywatelskiej, w której aprobujących tę metodę jest nawet minimalnie więcej niż wśród wyborców PSL i Polski 2050, choć więcej jest także przeciwników: 61 do 28 proc.

Być może największym zaskoczeniem jest wynik badania w elektoracie Lewicy. To jedyna partia, wśród której wyborców więcej jest przeciwników push-backów niż ich zwolenników, ale ci pierwsi mają naprawdę niedużą przewagę: 43 do 39 proc. Zaledwie cztery punkty! To ogromna zmiana w stosunku do wartości z badania w 2022 r.: odsetek zwolenników push-backów wzrósł w tym segmencie wyborców o 14 punktów, a przeciwników zmalał o 13 punktów. Jeszcze bardziej skrajna zmiana dotyczy elektoratu Koalicji Obywatelskiej. Tam w stosunku do pierwszego badania grupa przeciwników push-backów skurczyła się aż o 47 punktów, a grupa zwolenników wzrosła o 41 punktów!

„Rzeczpospolita” z kolei zapytała Polaków, czy żołnierze stacjonujący na granicy powinni móc używać broni w razie próby siłowego przekroczenia granicy przez migrantów. Wyniki były podobnie jednoznaczne jak w przypadku push-backów. 57,8 proc. odpowiedziało „zdecydowanie tak”, a 27,9 – „raczej tak”. Czyli za używaniem broni wobec migrantów jest w sumie blisko 86 proc. respondentów. „Raczej nie” odpowiada 9,2 proc., „zdecydowanie nie” – 1,5 proc., zatem łącznie niecałe 11 proc.

BALANSOWANIE TUSKA

Politycy te nastroje odczytują i to one w dużej mierze kształtują ich zachowanie. Niewiele zmienia się dla PiS i Konfederacji. Ta ostatnia może właściwie powtarzać jedynie: cały czas to mówiliśmy i będziemy mówić. PiS teoretycznie może używać podobnej narracji, ale ciągną się za nim afera wizowa oraz puszczenie całym na żywioł imigracji pracowniczej.



Strefa przygraniczna z Białorusią,
czerwiec 2024 r. FOT. MACIEJ ŁUCZNIWSKI/REPORTER

ślepakami

Jego wiarygodność w kwestii migracji jest zatem niższa.

Lewica ma bardzo ograniczony wybór. Mimo spadających notowań musi liczyć na to, że zachowa niszowy elektorat, idąc wbrew powszechnemu trendowi, aczkolwiek nie może przyjąć narracji całkowicie proimigranckiej, bo to nawet dla niej oznaczałoby prawdopodobnie katastrofę.

Donald Tusk, podobnie jak w wielu innych sprawach, i tutaj postanowił balansować. Z jednej strony, deklarując stanowczość, zaspokaja potrzeby większej części swojego elektoratu i zarazem wytrąca z ręki przeciwnikowi możliwość wygodnego oskarżania go o całkowity brak działań na rzecz wyhamowania nielegalnej imigracji. Z drugiej – brak działań przeciwko działającym wbrew polskiemu interesowi organizacjom proimigranckim musi mieć jego akceptację. Przepustki do strefy buforowej przy granicy, gdzie operują aktywiści, wystawia przecież

Straż Graniczną, która podlega ministrowi spraw wewnętrznych i administracji, czyli Tomaszowi Siemoniakowi, bliskiemu współpracownikowi pana Tuska. W ten sposób zaspokajane są potrzeby tej części elektoratu, której myślenie przypomina majaki pani Ochojskiej.

Postawa rządu jest nie tylko w tej sprawie schizofreniczna. Wszak wciąż działa – a media kompletnie ten temat pomijają – specjalny zespół prokuratorów, powołany w kwietniu w Prokuraturze Regionalnej w Lublinie, mający zajmować się poszukiwaniem haków na funkcjonariuszy i żołnierzy za ich działania na granicy od września 2021 do marca 2024 r. Jasne jest, że powołanie zespołu nie było indywidualną decyzją prokuratora okręgowego – musiało nastąpić z akceptacją ministra sprawiedliwości, Adama Bodnara. Natomiast ostateczna odpowiedzialność polityczna spada na pana premiera. Pikanterii dodaje to, że powodem powołania zespołu był

donos jednego z proimigranckich aktywistów, Piotra Czabana, który w swoich mediach społecznościowych nieustannie lansuje się zdjęciami z przewożonymi przez siebie imigrantami. To samo robią inne proimigranckie grupy. Pod ich postami z rzadka tylko pojawiają się pochwalne komentarze. 95 proc. to krytyka albo wprost wyzwiska i obelgi.

KŁOPOT PRZYSTAWEK

Najtrudniejsza jest sytuacja Trzeciej Drogi. Jeden z jej liderów, Szymon Hołownia, fotografował się swego czasu już jako marszałek Sejmu z imigrantami tam właśnie. Drugi jest w sytuacji jeszcze gorszej: odpowiada za Wojsko Polskie, a więc wszelkie z nim związane problemy, dotyczące obecności WP na granicy, idą na jego konto. Fatalne wrażenie zrobił występ ministra obrony na konferencji prasowej, podczas której powiedział: „To nie są uchodźcy, którzy chcą przekroczyć granicę i szukać schronienia w Polsce. To są zorganizowane grupy atakujące żołnierzy i funkcjonariuszy”. I dalej: „Pomoc dla drugiego człowieka? Ja wszystko rozumiem, jestem lekarzem, mam dużą wrażliwość. Ale wskazywanie miejsc, gdzie nie ma polskich żołnierzy, »idźcie w tamtą stronę« czy takie komunikowanie się wzajemne i udzielanie jakichś wskazówek, informacji, gdzie łatwiej będzie [przekroczyć granicę]... Takie informacje weryfikujemy teraz, sprawdzamy, ale jeżeli one są prawdziwe, to bardzo proszę o zawrótce z tej drogi, to jest po prostu niebezpieczne dla polskich żołnierzy i funkcjonariuszy [...]». Ułatwianie tego nie jest działaniem dla dobra i nie jest działaniem humanitarnym, tylko jest działaniem zagrożenia dla żołnierza i funkcjonariusza, który jest i poświęca się dla Polski, chroniąc dzisiaj granicę”.

Trudno pojąć, jak doświadczony bądź co bądź polityk może się nie połapać, że taka wypowiedź w ustach członka rządu, wicepremiera, a przede wszystkim ministra obrony narodowej zostanie powszechnie odebrana jako świadectwo słabości i miękkości w sytuacji i na stanowisku wymagającym cech dokładnie przeciwnych.

Rząd postanowił sytuację nieco wyklarować pod względem formalnym, przygotowując ustawę „o zmianie niektórych

■ ustaw w celu usprawnienia działań Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, Policji oraz Straży Granicznej na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa państwa”. Mamy tu typowe dla polskiej klasy politycznej działanie najczystszej akcyjnej – nawet jeśli idea jest słuszna. Bezpośrednim impulsem do przygotowania ustawy była sprawa zatrzymanych przez Żandarmerię Wojskową dwóch żołnierzy, oskarżonych o złamanie przepisów dotyczących użycia broni na granicy. Dzisiaj ta konkretna sytuacja wydaje się mniej jasna, niż gdy do opinii publicznej dotarły pierwsze informacje. Prokuratura jest bardzo oszczędna w przekazywaniu informacji, podobnie jak Władysław Kosiniak-Kamysz. Z tego, co do nas dociera, można jednak wywnioskować, że okoliczności były bardziej skomplikowane, a żołnierze – zapewne w stresującej sytuacji – używając broni, mogli swoim zachowaniem zagrazić swoim kolegom. Nadal pozostaje jednak pytanie, czy reakcja była adekwatna i czy te osoby trzeba było traktować, tak jak je potraktowano.

Ponieważ jednak sprawa wypłynęła tuż przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i potencjalnie mogła zagrażać wynikowi koalicji rządzącej, pan premier „się wściekł” i projekt ustawy trzeba było przygotować na cito. To niepoważne. Można by spytać: Dlaczego dopiero teraz w ogóle pojawiła się inicjatywa dostosowania prawa do wymogów sytuacji, skoro kryzys na granicy trwa od 2021 r.? Dlaczego nie zajął się tym rząd Zjednoczonej Prawicy, choć to on wysłał wojsko na granicę i choć jasne było, że obowiązujące regulacje są dziurawe?

Rządowy projekt był sporządzony na tyle niestaranie, że niemal natychmiast po jego znalezieniu się w Sejmie trzeba było skierować do niego porządkującą autopoprawkę. W jej ramach m.in. kontratyp chroniący żołnierzy i funkcjonariuszy przeniesiono z Kodeksu karnego do ustaw o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej oraz o obronie ojczyzny. (Kontratyp w prawie karnym oznacza przepis, który określa szczególne okoliczności wykluczające popełnienie przestępstwa. Najbardziej bodaj znanym przykładem kontratypu jest ten o obronie koniecznej zawarty w Kodeksie karnym).

Mało kto jednak dostrzegł fundamentalną różnicę w katalogu kontratypów pomiędzy pierwotną wersją projektu, nad

Rządowy projekt był sporządzony na tyle niestaranie, że niemal natychmiast po jego znalezieniu się w Sejmie trzeba było skierować do niego porządkującą autopoprawkę

którą pracowano w rządzie i która wyszła z MON, a tą, która ostatecznie trafiła do Sejmu. Spis kontratypów zaczynał się w początkowej wersji w następujący sposób: „Nie popełnia przestępstwa żołnierz, funkcjonariusz Policji lub Straży Granicznej, który z naruszeniem zasad stosowania środków przymusu bezpośredniego lub użycia broni, lub innego uzbrojenia albo użycia lub wykorzystania środków przymusu bezpośredniego lub broni palnej wydaje rozkaz ich zastosowania, użycia lub wykorzystania albo je stosuje, wykorzystuje lub ich używa w związku z wykonywaniem czynności lub zadań służbowych, w celu [...]” – i tu następowała lista czterech okoliczności. Wspólnym punktem trzech z nich jest przeciwstawienie się zagrożeniu życia zdrowia lub wolności policjanta, strażnika granicznego albo żołnierza. We wszystkich przypadkach warunkiem jest konieczność natychmiastowego działania.

Ale uwaga: w pierwotnej postaci projektu był zapis, który zwalniał z odpowiedzialności za złamanie zasad użycia broni również dla odparcia zamachu na samą granicę państwową. Brzmiał on: „[...] odparcia bezpośredniego i bezprawnego zamachu na nienaruszalność granicy państwowej przez osobę, która wymusza przekroczenie granicy państwowej przy użyciu pojazdu, broni palnej lub innego niebezpiecznego przedmiotu”. Jak widać, nie było tu warunku zagrożenia życia, zdrowia lub wolności żołnierza albo funkcjonariusza. Wystarczyło, aby migrant miał w ręku niebezpieczny przedmiot (jego definicja wynika z orzecznictwa i przepisów) oraz próbował z nim przekroczyć granicę, a w przypadku użycia przeciwko niemu broni zadziałałby kontratyp. Ten właśnie zapis z wersji, która trafiła do Sejmu, zniknął – został

wykreślony na etapie prac rządowych. To fundamentalnie zmienia wydźwięk projektu. Mówiąc w uproszczeniu – funkcjonariusze i żołnierze nie będą mogli strzelać w obronie granicy, a jedynie wówczas, kiedy sami będą bezpośrednio zagrożeni. Oczywiście mówimy tu o sytuacji złamania przez nich zasad użycia broni palnej. Nadal dozwolone będzie jej użycie w ramach obowiązujących procedur.

Drugą istotną zmianę, rozważającą pierwotny projekt, zawiera rządowa autopoprawka. Kasuje ona następujący przepis, przedtem dodany do Ustawy o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej: „W przypadku gdy w wyniku użycia lub wykorzystania broni palnej nastąpiło zranienie osoby lub wystąpiły inne widoczne objawy zagrożenia życia lub zdrowia tej osoby, uprawniony [...] może odstąpić od udzielenia pierwszej pomocy, jeżeli jej udzielenie wiązałoby się z koniecznością przekroczenia granicy państwowej Rzeczypospolitej Polskiej”. Oznacza to, że służący na granicy będą musieli udzielać pomocy zranionym przez siebie migrantom, nawet gdyby musieli wejść na terytorium Białorusi.

NIEPOKOJĄCY ZAPIS

Już tylko dla porządku – aczkolwiek nie jest to sprawa błaha – trzeba dodać, że ustawa wprowadza bardzo niepokojące rozwiązanie: możliwość użycia wojska wewnątrz kraju w ramach operacji wojskowej, nie ćwiczeń, wyposażając żołnierzy w funkcje typowo policyjne oraz uprawniając ich do użycia środków przymusu bezpośredniego normalnie przysługujących formacjom cywilnym. To rozwiązanie nie zostało w uzasadnieniu ustawy przekonująco wytłumaczone. „Powyższe regulacje mają na celu umożliwienie Siłom Zbrojnym realizację zadań zgodnie z oczekiwaniami państwa w zmieniających się warunkach bezpieczeństwa” – czytamy. To oczywiście zdanie kompletnie pozbawione treści.

Wychodzi więc na to, że z dużej chmury spada mały deszcz. Przepisom, które miały skłonić żołnierzy i funkcjonariuszy do bardziej stanowczego działania, tak naprawdę wybito zęby. Wprowadzono zatem złowrogo brzmiącą możliwość używania wojska wewnątrz państwa, co w polskich warunkach kojarzy się bardzo źle.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Znowu trzęsiemy światem!



Dariusz
Wieromejczyk

Bardzo ciekawą ewolucję przechodzi w światowych mediach temat ukraińsko-rosyjskich negocjacji, które toczyć się miały wiosną roku 2022. Jeszcze niedawno przed rozważaniami na ten temat ostrzegał dziennikarzy jeden z architektów polityki wschodniej prezydenta Andrzeja Dudy, Jakub Kumoch. „Ten wysyp tekstów w zachodnich mediach o tym, że »pokój był w 2022 tuż-tuż«, jest bardzo niepokojący [...]». Rosjanie rozповідаją przy tym, że winny jest Zełenski, bo zakazał rozmów z Rosją. Zalecam ostrożność”. Jak donosił z Pekinu nasz doskonale poinformowany w kwestiach rosyjskiego „spinu” ambasador, podobnego zdania mieli być także „wysocy przedstawiciele władz Ukrainy, z którymi się przyjaźni i których pamięta z czasu tamtych rozmów”. „Obaj mówią o spinie, a jeden zrobił to bardzo, bardzo dosadnie. Lampka zapala mi się, tym bardziej że narrację taką Rosjanie od dłuższego czasu roznoszą w Chinach: »Pokój był blisko, ale Zełenski zakazał z nami rozmów«” – zapewniał jeszcze przed dwoma miesiącami polski dyplomata.

Wygląda na to, że groźba rosyjskiego „spinu” zmateriałizowała się tym razem wcale nie w polskich mediach, szczęśliwie ostrzeżonych zawczasu przez naszego ambasadora. Największy i najbardziej wpływowy z amerykańskich dzienników, powiązany z rządzącym Stanami Zjedno-

czonymi establishmentem „The New York Times”, opublikował 15 czerwca 2024 r. całą serię artykułów poświęconych tak podejrzanemu dla ambasadora Kumocha zagadnieniu. Poza obszernym omówieniem rozmów rosyjsko-ukraińskich z marca i kwietnia 2022 r. „The New York Times” ujawnił też pełną treść negocjowanych przez obie strony propozycji traktatów (z 17 marca i 15 kwietnia, w wersjach rosyjskiej i angielskiej, z roboczymi komentarzami obu układających się stron). Dodano do tego tekst tzw. komunikatu stambulskiego, podsumowującego główne poczynione wtedy ustalenia.

Czy można wyciągnąć wnioski, że najważniejszy amerykański dziennik zignorował zapaloną w głowie ambasadora Kumocha „lampkę” i zdecydował się na globalne rozpoznańczenie rosyjskiej dezinformacji? Czy przebywający w Pekinie tropiciel rosyjskiego „spinu” mógłby wyjaśnić, jakim cudem udało się Rosjanom jawnie przejąć kontrolę nad redakcją „New York Timesa”? Czyżby zaspęły amerykańskie służby? Jakże mogą z tego wynikać konsekwencje?

Rewelacje „The New York Times” w zdumiewającym świetle stawiają działania polskiej dyplomacji podczas wczesnej fazy konfliktu ukraińskiego. Dużą rolę i sprawczość przypisują one polityce Andrzeja Dudy. „Polscy przywódco, od początku silnie wspierający Ukrainę, obawiali się, że Niemcy lub Francja mogą podjąć próbę przekonania Ukraińców do przyjęcia rosyjskich warunków. Zdaniem anonimowego europejskiego dyplomaty chcieli oni

temu zapobiec. W tym właśnie celu, podczas spotkania liderów NATO w Brukseli 24 marca 2022 r., polski prezydent Andrzej Duda wystąpił z tekstem szkicu traktatu z 17 marca – opisuje obecny podczas spotkania dyplomata.

»Który z was gotów jest to podpisać?« – zgodnie z jego relacją spytać miał prezydent Andrzej Duda. Żaden z przywódców NATO się nie odezwał”.

Z relacji „Timesa” można by było wyciągnąć wniosek, że to bojowa postawa polskiego prezydenta skłoniła do milczenia NATO-wskich przywódców. Dla polskich obserwatorów polityki marsowe miny Andrzeja Dudy szczególnej grozy nie niosą. Czyżby na forum międzynarodowym wywoływały one większy popłoch? Za taką interpretacją przemawiają też słowa Jakuba Kumocha, który jeszcze przed rokiem w ten sposób relacjonował proukraińskie interwencje Andrzeja Dudy na madryckim szczycie NATO. „Prezydent Duda wywalczył to zdanie, które mówi o wsparciu dla państw najbardziej wspierających Ukrainę. W ostatniej chwili, po bardzo trudnych negocjacjach, bardzo jasno postawił na to, że to zdanie po prostu musi się znaleźć i rozmowy z prezydentem Bidenem w przededniu szczytu tak naprawdę przekonały go do tego, że jest zielone światło do tego, by tę sprawę poruszyć” – wskazał wtedy bliski współpracownik polskiego prezydenta. Z wypowiedzi Jakuba Kumocha nie wynika niestety, kto kogo, w rozmowach prezydentów Dudy i Bidena, o „zielonym świetle” do poruszenia sprawy w „bar-

dzo trudnych negocjacjach” przekonał.

Możemy jednak wyobrazić sobie, jak zdeterminowany prezydent Duda, z naburmuszoną miną i charakterystyczną dlań nieujarzmioną siłą dynamicznej osobowości, narzuca swoją wolę starszemu już i pozbawionemu sił witalnych Joe Bidenowi. Następnie „wywalcza swoje zdanie” wśród przywódców NATO. Ci pękają w milczeniu, przeżykając gorzkie upokorzenie. Mają wszak do czynienia z kimś, kogo chiński prezydent Xi Jinping nazywa swoim „starym przyjacielem” i czyje zażyłe uściski z ukraińskim prezydentem Zełenskim dawno już przekroczyły standardy zwykłych protokolarnych czułości.

Taka wizja polityki Andrzeja Dudy może być, niestety, wiarygodna dla amerykańskich i europejskich czytelników. Czy dziennikarzom „NYT” uda się wmówić światu, że to potężny polski prezydent przyczynił się do fiaska negocjacji ukraińsko-rosyjskich? Pozornie wszystkie elementy tej układanki zdają się do siebie pasować. To, że podobna wizja kompletnie pozbawiona jest sensu, jasne jest jedynie dla polskich obserwatorów, dobrze znających makiażelniczną sprawczość i geopolityczny rozmach myśli naszego dobrotliwego Bismarcka.

Jeśli w rojenia amerykańskiego dziennika uwierzą kiedykolwiek sami Ukraińcy, to rzecz może przybrać dla nas bardzo niepokojący obrót. Wojownicze pohukiwania, dobiegające regularnie z Pałacu Prezydenckiego, mogą ich w takim przekonaniu tylko umacniać.

Marine Le Pen i jej ojciec
Jean-Marie Le Pen, Nicea, 2012 r.

FOT. FREDERIC NEBINGER/GETTY IMAGES

Le Penowie – długi marsz na Paryż?



Kacper Kita

Zwycięstwo Zjednoczenia Narodowego w przyspieszonych wyborach parlamentarnych byłoby ukoronowaniem siedmiu dekad działalności rodziny Le Penów. Jak doszło do tego, że grupka marginalnych nacjonalistów wyewoluowała w pierwszą siłę polityczną Francji?

Patriarcha rodu – Jean-Marie Le Pen – niedawno skończył 96 lat. Internet obiegło wówczas nagranie starszego pana, który z zadowoleniem z kanapy obserwuje w telewizji doniesienia o sukcesie swojej córki, dublującej w wyborach do Parlamentu Europejskiego ugrupowanie prezydenta

Emmanuela Macrona. Gdy w czerwcu 1928 r. rybakowi i chłopce w bretońskiej wiosce rodził się chłopiec, nie spodziewali się oni, że ich nazwisko stanie się znane w całym kraju, a potem w całej Europie. Ich rodzice nie umieli jeszcze czytać i pisać. Ich syn został wrogiem publicznym numer jeden jako przywódca

demonicznej „skrajnej prawicy”. Ich wnuczka może wkrótce wreszcie dojść do władzy.

ANTYKOMUNISTA

Jean-Marie marzy w dzieciństwie, by połączyć morze, nad którym się wychował, z miłością do Francji i jej imperium, którą wpoili mu rodzice – pragnie zostać oficerem marynarki. Zamiast chwały spotykają go jednak szok klęski w 1940 r. i niemiecka okupacja. Gdy ma 14 lat, ginie jego ojciec, którego kuter wpłynął na niemiecką minę. Dorastający chłopak nie postrzega drugiej wojny światowej jako prostego konfliktu dobra i zła. Życzy ostatecznej porażki Niemcom, ale z sympatią patrzy także na marszałka Pétaina, którego portret stoi w domu Le Penów.

Pétain w jego optyce stara się maksymalnie chronić życie Francuzów – być ich tarczą, gdy formujący Wolną Francję de Gaulle jest ich mieczem. Do swoistej „symetrii” Le Pena skłaniają też alianckie bombardowania francuskich miast na wybrzeżach Atlantyku, w których podczas wojny ginie 60 tys. osób. Pierwsze Boże Narodzenie bez ojca spędził z matką u jej siostry, nocując w podziemnym schronie.

Po wojnie Le Pen oczekuje narodowego pojednania, a zamiast tego otrzymuje ostre rozliczenia, w których przoduje Francuska Partia Komunistyczna, ciesząc się wówczas poparciem ok. 25 proc. społeczeństwa oraz dużej części elit intelektualnych. Jean-Marie szybko nabiera przekonania, że „czerwoni” pod pozorami „antyfaszystów” chcą zniszczyć wszystkich swoich wrogów i tradycyjną Francję.

Nie może zostać marynarzem ze względu na słaby wzrok, jedzie do Paryża studiować prawo na Sorbonie. Duża część okresu uczelnianego schodzi mu na walce z lewicowymi, zwłaszcza komunizującymi, rówieśnikami. Docho- dzi niekiedy także do starć fizycznych – Le Pen ma awanturniczy charakter, jest wysokim i silnym mężczyzną, niekiedy robi za „ochroniarza” prawicowym kolegom. A kolegów ma różnych obrządków – od katolickich monarchistów chcących kontynuować tradycję Akcji Francuskiej, przez dzieci dawnych kolaborantów czy urzędników Vichy, do gaullistów. Już na tym etapie za swoją misję uważa „łączenie wszystkich patriotów”. We wspomnieniach napisze potem: „Media zarzucały mi »zwierzęcą nienawiść do komunizmu«. Sam nazywałem się antykomunistą pierwotnym, wtórnym i trzeciorzędowym [tj. absolutnym]. Ale to nie ma nic wspólnego ze ślepym uczuciem. To osąd oparty na doświadczeniu i refleksji. Widziałem, od Francji przez Rosję do Indochin, biedę, kłamstwo i śmierć, które niósł komunizm”.

OD IMPERIALIZMU DO NACJONALIZMU

Po studiach Le Pen z właściwą sobie fantazją postanawia zaciągnąć się na ochotnika do wojska i walczyć w Indochinach – w imię przetrwania francuskiego imperium oraz antykomunizmu. W praktyce walczy w Wietnamie tylko kilka

Jean-Marie Le Pen okazał się charyzmatycznym mówcą. W wieku zaledwie 27 lat został pierwszy raz posłem

tygodni, bo nowy lewicowy rząd decyduje się na zawieszenie broni. Jean-Marie jest rozgoryczony. Z perspektywy czasu ocenia to tak: „Tragedią mojego życia [jest to], że gdy ja rośłem, Francja malała”. Po powrocie kraju wraz z podzielającymi jego poglądy znajomymi z wojska angażuje się w ruch Pierre’a Poujade’a łączący patriotyzm z obroną interesu drobnych przedsiębiorców i ostrymi atakami na klasę polityczną. Jean-Marie potrafi zadeklarować w kampanii, że „rządzi nami banda apatrydów i pederastów”. Okazuje się charyzmatycznym mówcą. W wieku ledwie 27 lat zostaje pierwszy raz posłem.

Na tym etapie Le Pen jest bardziej imperialistą niż nacjonalistą. Jego kolejną misją staje się obrona francuskości Algierii, formalnie będącej częścią francuskiego państwa, zamieszkiwanej w ok. 10 proc. przez Europejczyków. Deklaruje wówczas wiarę w możliwość integracji osadników i muzułmańskich Algierczyków, ale z pozycji siły. Jako urzędujący poseł zgłasza się też na ochotnika do wojska, by dać przykład innym, i bierze udział w desancie w Kanale Sueskim oraz walkach w Algierii. Jego głównym wrogiem staje się de Gaulle, który w 1962 r. zdecydował się na uznanie niepodległości Algierii, a wcześniej potępił Vichy i zgodził się na rozstrzelanie wielu weń zaangażowanych.

W tym samym roku po dwóch kadencjach Le Pen traci mandat posła. Dopiero po 22 latach uda mu się wrócić do polityki parlamentarnej. W tym czasie utrzymuje się z prowadzenia firmy sprzedającej płyty z przemówieniami (papież, Pétain, de Gaulle, Lenin, Mussolini...), materiałami historycznymi czy pieśniami wojskowymi.

Le Pen nie ustaje też w próbach integracji środowisk znajdujących się na prawo

(umowne) od gaullizmu. W 1972 r. staje na czele Frontu Narodowego, który formuje wspólnie z Nowym Porządkiem. To grupa młodych narodowych rewolucjonistów, którzy ścierają się na ulicach z komunistami czy anarchistami (choćby podczas maja 1968 r.) i inspirowani włoskim neofaszyzmem. Wśród założycieli FN było dwóch byłych esesmanów z francuskiej dywizji Charlemagne (Karol Wielki). Le Pen bronił starszych kolegów, którzy wybrali walkę z bolszewizmem na froncie wschodnim, jako ideowych antykomunistów. Na inauguracyjnej liście znajdziemy jednak także choćby Rolande Birgy – Sprawiedliwą wśród Narodów Świata i działaczkę pro-life, która uważała walkę za życie dzieci nienarodzonych za prostą kontynuację ratowania żydowskich dzieci podczas wojny. W praktyce koalicja z Nowym Porządkiem szybko się rozpadła. Le Pen chce być samodzielnym przywódcą, a młodzi radykałowie liczyli, że będzie raczej ich paprotką. W swoich pierwszych wyborach prezydenckich w 1974 r. Jean-Marie otrzymuje rozczarowujący wynik 0,74 proc. głosów. Sukces przyniesie dopiero wzięcie na sztandary sprzeciwu wobec narastającej imigracji z dawnych kolonii.

FRANCJA 1984 JAK POLSKA 2024?

Gdy spojrzymy na moment historyczny, w którym Front Narodowy przebił się na polityczny pierwszy plan, zauważymy pewne analogie z obecną sytuacją w naszym kraju. Na początku lat 80. rządy we Francji przejęła lewicowa koalicja pod wodzą prezydenta Mitterranda. Po kilku kadencjach odsunęła ona od władzy centroprawicę, która zdążyła rozczarować dużą część bardziej konserwatywnych wyborców. W imię rozwoju gospodarczego centroprawica rozpoczęła bezprecedensowe sprowadzanie na dużą skalę imigrantów spoza Europy.

Z czasem zaczęło to jednak prowadzić do narastania napięć na tle etnicznym i religijnym, wzrostu przestępczości oraz pogorszenia się sytuacji rdzennie francuskich robotników. W tych okolicznościach Le Pen przebił się ze sprzeciwem wobec imigracji oraz ofertą wyrazistej kontry



KACPER
KITA
„SAGA RODU
LE PENÓW”
DEBÓGÓRA
2024

■ zarówno wobec rządzących, jak i wobec „zgniłej” postgaulistowskiej centroprawicy. W 1984 r. Front uzyskał 10 proc. w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Od tego momentu stopniowo stawał się stałym elementem francuskiej sceny politycznej.

„DETAL” I IZOLACJA

Le Pen skutecznie zgromadził w ramach jednej partii mozaikę różnych środowisk. Obok weteranów walk o Algierię Francuską czy środowisk dawnych kolaborantów byli tam także tradycjonalistyczni katolicy, tożsamościowi neopoganie czy rozczarowani gaulliści. Sam Jean-Marie reklamował się jako „francuski Reagan” – antykomunista, patriota, wolnorynkowiec. W 1987 r. udało mu się zresztą krótko porozmawiać i zrobić sobie zdjęcie z ówczesnym prezydentem USA. W ramach międzynarodowego tournée Le Pen spotkał się też z republikańskimi senatorami, Pinochem, przywódcą Filipin Marcossem czy premierem Japonii. Zaczął być traktowany jako poważny polityk.

Wkrótce dochodzi jednak do największej kontrowersji w życiu Le Pena. Pytany w wywiadzie o podważanie istnienia komór gazowych w hitlerowskich obozach Jean-Marie nie chciał zająć jednoznacznego stanowiska. „Nie mówię, nie istniały. Nie badałem specjalnie tego zagadnienia, ale uważam, że jest to detal drugiej wojny światowej” – powiedział. Za dyskusyjną uznał także liczbę ofiar Holocaustu: „Było wielu zabitych, setki tysięcy, może miliony ofiar, ale także ludzie, którzy nie byli Żydami”. Mimo nacisków części współpracowników nie chciał wycofać się ze swoich słów. Prywatnie stwierdził, że nie może odciąć się od swoich starych kolegów. Publicznie kłócił się, że „detal” oznacza „część całości”.

Od tej pory „kordon sanitarny” wokół Le Pena się uszczelnia. Na przestrzeni kolejnych lat coraz częściej można odnieść wrażenie, że stracił on wiarę w możliwość realnego dojścia do władzy i woli podtrzymywać swoją pozycję, wchodząc w kolejne kontrowersje, choćby czyniąc aluzje do żydowskiego pochodzenia wybranych dziennikarzy czy powtarzając twierdzenie o „detalu”. Po zakończeniu zimnej wojny Le Pen dokonuje też strate-

gicznego zwrotu – uznaje, że po upadku ZSRS i komunizmu to USA i globalizm są w nowych okolicznościach analogicznym zagrożeniem dla politycznej i kulturowej suwerenności Francji.

W 2002 r. Jean-Marie jedyny raz wchodzi do drugiej tury wyborów prezydenckich, ale odnosi w nich druzgocącą porażkę – wynik 17 proc. z pierwszej tury poprawia jedynie na 18 proc., choć jego rywalem jest mało popularny i zużyty prezydent Chirac. To apogeum siły kordonu – przeciw „faszyście” angażują się zgodnie media, biskupi, związki zawodowe, celebryci.

DZIEDZICTWO I TRANSFORMACJA

Niepodważalnym sukcesem Jean-Marie Le Pena jest jednak budowa trwałej partii, której francuscy narodowcy nie mieli przez wcześniejsze dziesięciolecia. Zapisał się w historii także jako człowiek, który przestrzegał od razu przed muzulmańską imigracją, multikulturalizmem, dekadencją (sprzeciw wobec legalizacji

Wadą Marine Le Pen jest obojętność na kwestie cywilizacyjne, takie jak obrona tradycyjnej rodziny

aborcji czy promocji homoseksualizmu) oraz oddawaniem kolejnych kompetencji na rzecz UE. Sam z charakterystycznym patosem stwierdza: „Jeśli moje życie miało sens, to było nim wołanie prawdy, tak jak robił to mój patron, św. Jan Chrzciciel”, zamiast „słodkiej miłości” i stanowisk rządowych.

Le Pen traktował przy tym ową partię jako swoją prywatną własność. Dopiero w wieku 82 lat oddał władzę, a za jedynie godną sukcesji uznał swoją najmłodszą córkę. Marine była jego ulubionym dzieckiem, a ich relacja była i jest jednocześnie bliska oraz pełna sprzeczności. Dorastanie z piętnem nazwiska Le Pen głęboko naznaczyło obecną poseł. Miała osiem lat, gdy prawie zginęła, bo ktoś podłożył bombę pod ich mieszkanie. Całe życie była naznaczona jako „córka diabła”. Marine chciała kontynuować rodzinny polityczny biznes, ale dokonując jego rebrandingu.

Jest przekonana, że nie da się wygrać tylko na temacie imigracji i tożsamości. Odcięła się od kontrowersji związanych z Holocaustem, a w 2015 r. usunęła ojca z partii, gdy kolejny raz, mimo jej próśb, by tego nie robił, publicznie powrócił do „detalu” – choć po trzech latach pojednali się, gdy Jean-Marie trafił do szpitala.

MATKA NARODU ZAMIAST SAMCA ALFA

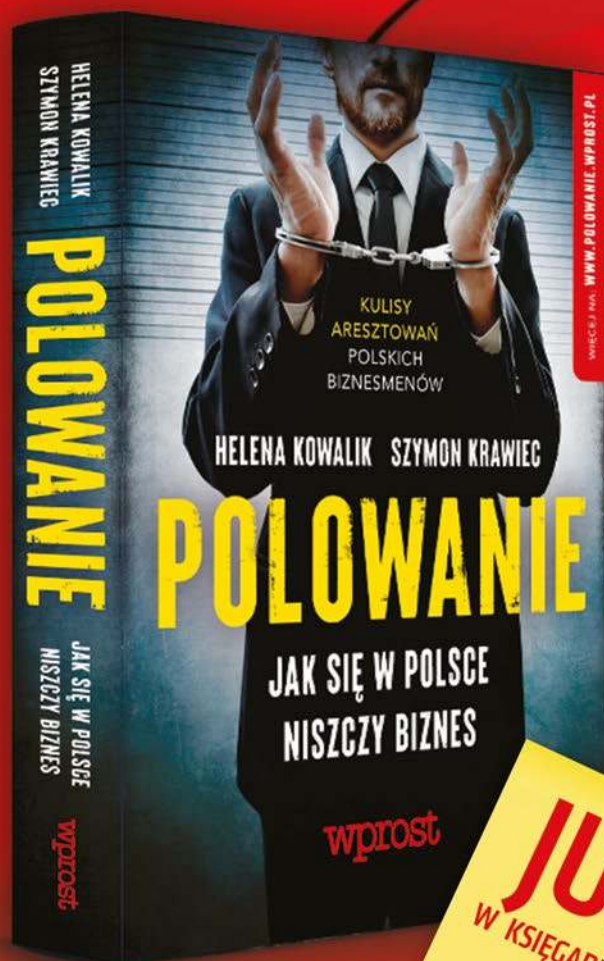
Marine przestała też walczyć, stawiając na gospodarczy solidaryzm i pozyskując dawnych wyborców lewicy. Dziś jej partię popiera aż 65 proc. robotników, a szczególnie silna jest w dawnych regionach przemysłowych, które straciły na globalizacji.

Mocno podnosi też problem braku dostępu do usług publicznych w mniejszych miejscowościach (szpitali, oddziałów położniczych, szkół) oraz broni interesu kierowców (akcyza na paliwo, normy ekologiczne, zakaz samochodów spalinowych, fotoradary). Sprawnie występuje w roli dobrej ciotki – sympatycznej pani w średnim wieku, która interesuje się zwykłym człowiekiem i może mówić nie tylko o polityce, lecz także o przepisach na ciasto, swojej pasji do ogrodnictwa czy kotach, a do tego niedawno została babcią. Gdy Macron mówił o wysłaniu żołnierzy na Ukrainę, Marine skrytykowała go za „ryzykowanie życia naszych dzieci” – wszyscy wiedzą, że ona ma troje, a prezydent żadnego.

Wadą Marine z pewnością jest obojętność na kwestie cywilizacyjne, takie jak obrona tradycyjnej rodziny – na tym polu liczyć można prędzej na jej siostrzenicę Marion, twarz mniejszościowego środowiska katolicko-konserwatywnego. W sprawie suwerenności państwa narodowego czy imigracji RN zachowuje jednak w znacznej mierze ciągłość z Frontem Narodowym. Potrafi też formułować konkretne postulaty, takie jak likwidacja Komisji Europejskiej, uznanie wyższości francuskiej konstytucji nad prawem unijnym i zobowiązaniami międzynarodowymi czy likwidacja prawa ziemi. W ostatnim czasie Marine sygnalizuje też chęć otwarcia się na rodzimy biznes, przedstawiając się mu jako zaporę przed „islamolewactwem” i unijnymi regulacjami. Ostatecznie – po owocach ją poznamy.

© 2024 Wszelkie prawa zastrzeżone

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracywłókiarzy



WEI
Wielkopolskie
Instytut



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF

Idea zmian w prymacie papieskim nie pochodzi od Franciszka. Jako pierwszy zaczął ją krzyczeć i praktykować św. Paweł VI. W 1965 r. papież Montini sprzedał tiarę papieską, symbolicznie zrywając z dotychczasową teologią papieskiej władzy. W tym samym roku powołał też nową instytucję – Synod Biskupów – która została przewidziana jako organ doradczy następcy św. Piotra, mający zarazem wyrażać koncepcję kolegalności władzy biskupów. Od samego początku proces zmian w sposobie rozumienia i sprawowania prymatu papieskiego był powiązany z dialogiem ekumenicznym, zainicjowanym na wielką skalę na tym samym soborze jeszcze przez św. Jana XXIII, a silnie rozbudowanym przez jego następcę.

Bezpośredni impuls do wprowadzenia formalnych zmian w papieństwie dał św. Jan Paweł II, publikując w 1995 r. encyklikę ekumeniczną „Ut unum sint”. Papież Wojtyła zawarł w niej słynne zdanie mówiące o konieczności wsłuchania się w głosy niekatolików celem znalezienia „takiej formy sprawowania prymatu, która nie odrzucając bynajmniej istotnych elementów tej misji, byłaby otwarta na nową sytuację”.

KONKRETYZOWANIE PLANÓW

Przez wiele lat z tych słów nic nie wynikało. Co więcej, w 2006 r. Benedykt XVI zrezygnował z tradycyjnego tytułu papieskiego „patriarcha Zachodu”, co zostało skrytykowane zwłaszcza przez chrześcijan prawosławnych – uznali, że biskup Rzymu chce wynieść się ponad wschodnich patriarchów. W 2009 r. ten sam papież ustanowił w Kościele katolickim specjalną strukturę dla anglikanów, którzy chcieliby opuścić swoją wspólnotę i przejść do Kościoła katolickiego, przyjmując zwierzchnictwo papieża, co ponownie zrodziło krytyczne głosy o papieskiej „supremacji”. Nic nie wskazywało na to, by papież chcieli kontynuować kurs wyznaczony przez św. Pawła VI i w gruncie rzeczy tylko marginalnie zaznaczony przez św. Jana Pawła II w „Ut unum sint”.

Wszystko zmieniło się pamiętnego 13 marca 2013 r., kiedy Tron Piotrowy objął Jorge Mario Bergoglio. Papież Franciszek już w swojej programowej adhortacji „Evangelii gaudium” przytoczył zacytowane wyżej słowa Karola Wojtyły o zmianach w prymacie. Stwierdził, że Kościół katolicki

Papieństwo ogłoszone z władzy



Paweł Chmielewski

Papież Franciszek chce gruntownie przekształcić papieństwo. Tak by prymat biskupa Rzymu był do zaakceptowania dla różnych niekatolików. Watykan przygotował właśnie wstępny dokument, a szczególnie zainteresowani specyficzną jednością ze Stolicą Apostolską są... liberalni protestanci

tylko „niewiele postąpił w tym kierunku”, a „papieństwo oraz centralne struktury Kościoła powszechnego muszą wsłuchiwać się w wezwanie do nawrócenia”. Tę opinię połączył z programem decentralizacji sprawowania władzy w Kościele na rzecz przekazywania coraz większych kompetencji w ręce krajowych konferencji episkopatów. Zarazem Franciszek zaczął gwałtownie umacniać instytucję Synodu Biskupów, idąc w tej kwestii za radami zmarłego w 2012 r. włoskiego liberalnego kardynała Carla Marii Martiniego. Swoje apogeum osiągnęło to w 2021 r., wraz ze zwołaniem wciąż trwającego Synodu o synodalności. Przy okazji różnych synodalnych wystąpień papież Bergoglio cytował po raz kolejny słowa św. Jana Pawła II i wskazywał na możliwość wprowadzenia zmian w sposobie sprawowania prymatu. W kwietniu tego roku nieoczekiwanie przywrócił sobie tytuł „patriarchy Zachodu”.

Teraz plany Franciszka zaczynają się konkretyzować. Wskazuje na to najnowszy dokument opublikowany przez Kurię Rzymską 13 czerwca tego roku. Tekst pt. „Biskup Rzymu. Prymat i synodalność w dialogach ekumenicznych oraz w odpowiedziach na encyklikę »Ut unum sint«” został przygotowany przez Dykasterię do

spraw Popierania Jedności Chrześcijan; publikacja została zaaprobowana przez papieża. Tekst nie jest jeszcze wiążący; to studium zbierające rozmaite głosy z dialogu ekumenicznego na przestrzeni ostatnich ok. 30 lat. Zawiera jednak wiele konkretnych propozycji zmian przygotowanych przez wspomnianą Dykasterię.

Jej pracami kieruje szwajcarski kardynał Kurt Koch. Hierarcha ma opinię konserwatysty z rozdania ratzingeriańskiego; w ostatnich latach rzeczywiście występował wiele razy w obronie wiary przed błędami progresizmu, np. ostro krytykując niemiecką „drogę synodalną” albo sprzeciwiając się udzielaniu Komunii Świętej protestantom.

Kurt Koch nie jest jednak hierarchą ściśle oddanym Tradycji. Zanim został kardynałem, publikował wiele książek i artykułów teologicznych, które wspierały postulaty ruchu postępowego. Przykładowo sugerował konieczność zniesienia obowiązkowego celibatu, a nawet... udzielania kobietom sakramentu święceń. Dziś Koch nie zabiera głosu w tych kwestiach, a pytania o swoje poglądy wskazuje po prostu na to, co głosi papież. Czytając tekst o prymacie papieskim, warto jednak pamiętać, że jego głównym autorem jest duchowny,

którego formacja intelektualna i zasadnicze poglądy na sprawę Kościoła wywodzą się z jak najbardziej „postępowej” teologii niemieckojęzycznej. Tym bardziej że wdrażać zmiany w życie będą jeszcze bardziej otwarcie progresywni duchowni, jak choćby kard. Mario Grech, sekretarz generalny Synodu Biskupów.

WIELKA ZMIANA

Zmiany proponowane przez tekst Kurta Kocha mogą skutecznie rozsądzić papieństwo w znanej nam formie. Efektem może być sprowadzenie urzędu biskupa Rzymu do roli strażnika mętnej jedności chrześcijan, w którą wpisać będą się mogli zarówno katolicy, jak i prawosławni czy niektórzy protestanci, zwłaszcza ci najbardziej liberalni. Pierwszym i najważniejszym postulatem dokumentu jest ponowna prezentacja dogmatycznych orzeczeń Soboru Watykańskiego I na temat papieństwa. Konstytucja „Pastor aeternus” z 18 lipca 1870 r. mówi jednoznacznie, że biskup Rzymu posiada w Kościele „najwyższą władzę nauczania”, „pełną i najwyższą władzę jurysdykcji” i może w sposób wiążący i nieomylny określać naukę „dotyczącą wiary lub moralności”. Według tekstu Dykasterii należy twierdzenia tej konstytucji przedstawić w nowym języku. W zapisach dokumentu kryje się idea swoistego „wydobycia” tego, co w „Pastor aeternus” miałyby być „autentyczną” treścią dogmatu, i oddzielenia tego od historycznych i stąd jakoby zmiennych naleciałości.

Jak może skończyć się taki proces „synodalnej reinterpretacji”, doskonale wie każdy, kto zna przebieg Soboru Watykańskiego II i wie, jak pozornie drobne zmiany leksykalne prowadziły po latach do tworzenia całkowicie rewolucyjnych koncepcji teologicznych. Dotyczy to zwłaszcza takich kwestii jak stwierdzenie, że Kościół Chrystusowy „trwa” w Kościele katolickim, które zostało zawarte w konstytucji dogmatycznej o Kościele „Lumen gentium”, a z czego progresywna teologia wyprowadzała i wciąż wyprowadza przekonanie o zasadniczej „równości” Kościoła katolickiego i różnych wspólnot niekatolickich.

Drugą propozycją kard. Kocha jest przeprowadzenie głębokiego rozróżnienia pomiędzy funkcjami papieskimi. Dokument nie precyzuje, na czym dokładnie miałyby polegać, ale tu z pomocą przychodzi wspomniana wcześniej adhortacja „Evan-

gelii gaudium” Franciszka, która sugeruje, że papieństwo mogłoby w przyszłości być bardziej „schowane”, pozostawiając dalekie większe kompetencje jurysdykcyjne i doktrynalne w rękach lokalnych ciał kościelnych. W adhortacji papież Bergoglio pisał wprawdzie o konferencjach episkopatów, ale w toku procesu synodalnego pojawiła się idea powoływania specjalnych gremiów kontynentalnych, które miałyby otrzymywać te kompetencje. W świetle dokumentu Kurta Kocha należałoby to prawdopodobnie rozszerzyć o wspólnoty niekatolickie: papież zachowałby pełnię władzy wobec rzymskich katolików, dobrowolnie ograniczając ją względem anglikanów, prawosławnych czy luteran.

Wreszcie tekst szwajcarskiego kardynała proponuje „synodalną” transformację papieństwa, co miałoby mieć dwa wymiary – wewnętrzny i zewnętrzny. Ten pierwszy polegałby na położeniu większego nacisku na funkcjonowanie różnych ciał kolektywnych w Kościele, co odsyła nas do opisanej

Papież chciałby być ponownie „patriarchą Zachodu”, z ważnym dopowiedzeniem: Zachodu liberalnego lub, jeśli ktoś woli, Zachodu po prostu zgniłego

przed chwilą propozycji tworzenia gremiów kontynentalnych i tym podobnych.

Synodalność zewnętrzna miałaby znaleźć swój wyraz w powołaniu nowego ogólnoswiatowego forum chrześcijańskiego, które zbierałoby się cyklicznie pod przewodnictwem biskupa Rzymu, a w którym udział brałoby reprezentanci najrozmaitszych wspólnot niekatolickich. Przypomina to próbę utworzenia kontrolowanego przez Rzym odpowiednika Światowej Rady Kościołów, organizacji założonej w 1948 r. w Amsterdamie i stanowiącej nieformalną chrześcijańską odnogę ONZ.

Dokładnie dwie dekady wcześniej papież Pius XI kategorycznie odrzucił możliwość partycypacji Kościoła katolickiego w tego rodzaju gremium, wskazując, że oznaczałoby to relatywistyczne rozmywanie prawdy o jedności zbawczej i prawdziwości Kościoła katolickiego. Te

same obiekcje miał jego następca Pius XII, decydując o nieprzystępowaniu Rzymu do Rady. Pomysł kard. Kocha o stworzeniu nowej struktury pod duchowym zwierzchnictwem papieża teoretycznie pozwala na uniknięcie problemu relatywizmu, ale w praktyce może być zgoła przeciwnie.

PATRIARCHA ZGNIŁEGO ZACHODU

W jednym z wcześniejszych numerów „Do Rzeczy” pisałem, że papież Franciszek wydaje się zafascynowany projektem prymasa Wspólnoty Anglikańskiej Justina Welby’ego, który chce w przyszłości konstruować anglikanizm w oparciu o powszechne uznanie tylko kilku elementarnych prawd, takich jak wiara w trójjedność Boga, Wcielenie Chrystusa czy sakramentalność chrztu. Chociaż Kurt Koch, mówiąc w mediach o nowym dokumencie Watykanu, zwracał uwagę na jego przydatność w dialogu z prawosławnymi, to w konferencji, na której zaprezentowano tekst, wzięła udział tylko jedna dość marginalna grupa prawosławna – i właśnie anglikanie. Ma to swoją przyczynę. Wszystko wskazuje bowiem na to, że zmiany w papieństwie będą szczególnie akceptowalne właśnie dla najbardziej liberalnych grup chrześcijan ze świata Zachodu. Prawosławni nie chcą rozmawiać dziś z Rzymem ze względu na skandaliczny charakter wielu inicjatyw papieża Franciszka, z błogosławieniem par jedнопłciowych na czele.

Jakąś formą „jedności” zainteresowani są wyłącznie ci, którzy w przyjmowaniu owoców rewolucji seksualnej 1968 r. poszli tak daleko, jak obecna Kuria Rzymska, albo jeszcze dalej. Obok anglikanów to również progresywni luteranie i ewangelicy. Sadzę, że ostatecznie to właśnie oni są właściwym adresatem najnowszego dokumentu; że to do nich tak naprawdę skierowana jest propozycja przemodelowania papieństwa. Biskup Rzymu rzeczywiście chciałby być ponownie „patriarchą Zachodu”, z ważnym dopowiedzeniem: Zachodu liberalnego lub, jeśli ktoś woli, Zachodu po prostu zgniłego. Czytelnik przyzna, że nie taką wizję jedności między chrześcijanami rodziły w umysłach wiernych ekumeniczne projekty Pawła VI czy Jana Pawła II.

Po raz kolejny ujawnia się głęboka prawda powiedzenia, zgodnie z którym rewolucja pożera własne dzieci.

Kulisy srebra



Włoski bramkarz Dino Zoff próbuje obronić strzał Kazimierza Deyny. Obok nich biegają Włoch Giacinto Facchetti i Grzegorz Lato. Reprezentacja Polski wygrała 2:1 ten ostatni mecz grupowy na mundialu w 1974 r. Włosi odpadli z turnieju FOT. KARL SCHNÖRRER/PAP



Grzegorz Majchrzak

Pięćdziesiąt lat temu reprezentacja Polski w piłce nożnej wygrała w „małym finale” z Brazylią, dzięki czemu zajęła trzecie miejsce na mistrzostwach świata. Droga do tego sukcesu nie była łatwa, a kulisy – zarówno te bardziej, jak i te mniej znane – niezwykle ciekawe



W eliminacjach do mundialu Polska trafiła pechowo na Walię i światową potęgę Anglię, która była zdecydowanym faworytem do awansu. Kiedy więc nasza reprezentacja rozpoczęła je (w marcu 1973 r.) od wyjazdowej porażki z Walijczykami, wydawało się, że jej szanse na wyjazd do Republiki Federalnej Niemiec spadły do minimum. Przywróciły je jednak domowe zwycięstwa w „kotle czarownic”, czyli na Stadionie Śląskim w Chorzowie – w czerwcu i we wrześniu tego roku – najpierw nad Anglią, a potem nad Walią. Problem w tym, że w tym pierwszym meczu pech ponownie dopadł Polskę – poważnej kontuzji doznał współautor wiktorii i strzelec drugiej bramki Włodzimierz Lubański. Przez lata panowało przekonanie, że był to efekt brutalności brytyjskiego obrońcy Roya McFarlanda. Prawda była jednak inna. Lubański miał przed meczem problemy z kolanem i w spotkaniu tym po prostu nie powinien wystąpić. Zamiast tego na bliznę na kolanie nałożono mu grubą warstwę pudru, aby Anglicy nie wiedzieli, że jest ono jego czułym punktem... W tej sytuacji na rewanż na Wembley znakomity napastnik owszem pojechał, ale jedynie w roli widza, a na mundial w roli komentatora. Na Wembley pech Polaków na chwilę opuścił – udało im się, mimo że nikt praktycznie nie dawał im na to szans, wywieźć ze słynnego stadionu bezcenny remis. Po meczu tym polski bramkarz – nazywany wcześniej przez Brytyjczyków „klaunem” – otrzymał przydomek człowieka, który zatrzymał Anglię.

Tymczasem losowanie grup mundialu znów nie okazało się – delikatnie rzecz ujmując – najszcześniejsze. Polska trafiła na Argentynę, Włochy, a także Haiti. Dwaj pierwsi rywale – szczególnie Italia, która przed czterema laty zajęła na mun-

dialu czwarte miejsce – byli bardzo silni. Z kolei nasza reprezentacja w sparingach przed mistrzostwami nie prezentowała się najlepiej. Nic zatem dziwnego, że – jak po latach wspominał Władysław Żmuda – „Jechaliśmy praktycznie jako »chłopcy do bicia«. Nikt nie wierzył, że Polska może wyjść z grupy. Ani styl, ani wyniki nie napawały optymizmem. Zawszą słyszałem było: »Poważna impreza, ważne, żebyście wstydu nie przynieśli«...”.

KONTROWERSJE

Jak się potem okazało, pecha mieli, ale rywale naszej reprezentacji. Polacy pokonali po kolei Argentynę, Haiti i Włochy w pierwszej fazie grupowej, a następnie w drugiej Szwecję oraz Jugosławię, by po dramatycznym meczu „na wodzie” (decydującym o awansie do finału) ulec RFN. Na boisku więc wszystko było w jak najlepszym porządku. Pojawiły się jednak kontrowersje wokół spotkania z Włochami. Kontrowersje dotyczące pieniędzy, które miały być oferowane czy też które rzekomo oferowano polskim piłkarzom. W związku z tym wybuchały, i to dwukrotnie, afery.

Zdecydowanie najgłośniejszą i najbardziej brzemienną w skutki rozpętał wiele lat po mundialu Grzegorz Lato, który zresztą został królem strzelców mistrzostw świata w 1974 r. Tym razem jednak na jego celowniku znalazł się jego kolega z reprezentacji – Robert Gadocha. Źródłem informacji Grzegorza Lato był Rubén Ayala, który w czasie, kiedy obaj grali w meksykańskich klubach, poinformował go, że on i jego koledzy złożyli się, aby zmotywować Polaków przed meczem z Italią.

Tak przynajmniej twierdzi znakomity polski napastnik, który opisywał – na łamach napisanej wspólnie z Piotrem Dobrowolskim książki „Grzegorz Lato.

■ Król mundialii” – kulisy tego zdarzenia, powołując się na argentyńskiego zawodnika: „Stałem na tym, że w jakiejś knajpie siedzieli drugi trener, tłumacz i kierownik drużyny. A naprzeciwko nich żona Roberta [Irena – przyp. G.M.] z pieniędzmi w torebce. Układ był taki, że jeśli wygramy z Italią, to zatrzymuje kasę, a jeśli padnie remis lub przegramy, to musi oddać pieniądze. Wygraliśmy i 20 tysięcy dolarów zostało u niej”.

Notabene – jak twierdzi Lato – rzekomo informacja o tej sytuacji miała przeciec do Włochów. Jak opisuje dalej: „Dlatego ilekroć obrońca Giacinto Facchetti koło mnie przebiegał, pocierał palcami o palce w charakterystycznym geście imitującym liczenie pieniędzy i krzyczał: »Lato, many, many, many«”. Gadocha jednak nigdy nie przyznał się do wzięcia wspomnianych pieniędzy. Stwierdził: „Te pomówienia są oczywiście bzdurą”. I dodał, że on i jego koledzy, owszem, otrzymali od Albicelleste, ale „dwie skrzynki jabłek”. Nie zmienia to tego, że część jego kolegów mu nie uwierzyła. Czy słusznie? Nie wiadomo.

I to mimo że Iggy Boćwiński, który w latach 70. pełnił funkcję dyrektora amerykańskiej linii lotniczej PanAm na Polskę i był blisko związany w tym czasie ze skrzydłowym Legii Warszawa (m.in. miał pośredniczyć w jego niedoszłym kontrakcie do Bayernu Monachium, został również ojcem chrzestnym jego córki) – w rozmowie z dziennikarzem sportowym Markiem Wawrzynowskim potwierdził przyjęcie pieniędzy przez Roberta Gadochę oraz wzięcia przez siebie – jako pośrednika – kilku tysięcy dolarów. Jego zdaniem do skrzydłowego miało trafić „jedynie” 18 tys. We wspomnianym wywiadzie opisuje m.in. początki tej nietypowej „transakcji”: „Przed meczem w kawiarni w Niemczech, niedaleko polskiego obozu, spotkałem dwóch argentyńskich dziennikarzy. Pytali, czy mam kontakt do kogoś z naszej kadry. Powiedziałem, że znam Gadochę, i tak się zaczęło”.

W AKTACH Z PRL

Piłkarz zaprzecza stanowczo jego słowom, oskarżając Boćwińskiego o spisek z jego byłą małżonką. Na korzyść Roberta Gadochy przemawia z kolei to, że tym oskarżeniom zaprzecza inny argentyński uczestnik mundialu w RFN,



Mecz Polska – Włochy na mundialu w 1974 r. Przy piłce Andrzej Szarmach

FOT. STANISŁAW JAKUBOWSKI/CAF/PAP

znakomity napastnik Mario Kempes, który w jednym z wywiadów stwierdził, że nic o tym nie wie, i dodał: „Nie sądzę zresztą, żebyśmy byli w stanie zebrać wtedy tyle pieniędzy”.

Za wersją Gadochy przemawiają materiały aparatu bezpieczeństwa PRL. Ani bowiem Wojskowa Służba Wewnętrzna, na której „celowniku” znajdował się od września 1972 r. ten znakomity piłkarz w związku z sygnałami od Służby Bezpieczeństwa o jego podejrzanych kontaktach, ani też wspomniana SB, która „zabezpieczała” wyjazd polskiej reprezentacji na mundial, nie zdobyły żadnych sygnałów, które potwierdzałyby rzekome przyjęcie przez niego pieniędzy od rywali z Argentyny. I to mimo że WSW sprawdzała konta, zarówno jego, jak i jego małżonki... Na niekorzyść natomiast to, że – jak twierdzi Lato – wiele lat (kilka dekad) później również miał próbować oszukać kolegów na kasie. Tak to opisywał na łamach wspomnianej wcześniej książki: „Drugi [numer – przyp. G.M.] wywniął nam, kiedy graliśmy w oldbojach w drużynie Orłów Górskiego. W tamtym okresie szanujące się duże firmy miały swoje amatorskie zespoły, a ich szefowie za punkt honoru stawiali sobie możliwość zmierzenia się z dawnymi gwiazdami, medalistami mistrzostw świata [...]. No i mieliśmy mecz z firmą telefonii komórkowej Orange [...].

Robert, który był łącznikiem pomiędzy Orłami a Orangem, to on przywiózł chłopakom pieniądze. Dostali po 1200 złotych [...]. Po jakimś czasie zadzwonił do mnie Lesio Ćmikiewicz i mówi, że otrzymał z Orange PIT, w którym jasno stało, że za mecz zapłacono jemu, Lesiowi, czyli także wszystkim innym, po trzy tysiące brutto. Odliczając podatek, wychodziło to po jakieś 2200 złotych na twarz”. Grzegorz Lato, który w tym meczu nie grał, podjął się wyjaśnienia tej sprawy z Robertem Gadochą. Odbił z nim rozmowę telefoniczną, w której czasie znakomity skrzydłowy zobowiązał się do wyjaśnienia tej sprawy. I – jak dalej opisuje Lato na łamach swojej autobiografii – „traf chciał, że trzy dni później rozgrywaliśmy kolejny mecz z inną firmą. Robert wszedł do szatni uśmiechnięty i bez słowa usprawiedliwienia, jakby nic się nie stało, dopłacił każdemu po tysiąc złotych. Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu”. Niestety, z powodu braku kontaktu nie sposób poznać w tym przypadku wersji samego Gadochy.

Tuż po mistrzostwach świata pojawiły się – w wywiadzie trenera Kazimierza Górskiego dla „Życia Warszawy” – kolejne sugestie. Tym razem, że pieniądze zaoferowali, owszem, ale... Włosi. Polski dziennik zresztą bardzo szybko wycofał się z tych poważnych oskarżeń, przepraszając naszego szkoleniowca za „przypi-

sanie mu nieprawdziwej wypowiedzi”. Wynikało to z błyskawicznej reakcji Włoskiego Związku Piłki Nożnej, który nie tylko zaprzeczył temu, aby miał coś wspólnego z rzekomą próbą przekupstwa, lecz także zażądał od Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA) zbadania wysuniętych zarzutów.

Według Andrzeja Strejla trener Górski po opublikowaniu z nim wywiadu został wezwany do Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Afera była na tyle głośna, że informowało o niej – z wyjątkiem wezwania Kazimierza Górskiego do KC PZPR – nawet Radio Wolna Europa. Czy coś było na rzeczy? Wspomniany wcześniej Żmuda po latach relacjonował: „Pamiętam, jak schodzimy na przerwę, a włoski wiceprezes Alody pokazuje całą walizkę dolarów. Ponoć było w niej 22 tys. dolarów. Wiem, że polscy i włoscy działacze bili się w przerwie. Była jakaś szarpanina przy szatni”. Sprawę miał uciąć Kazimierz Deyna, który stwierdził: „My nie będziemy z wami rozmawiać”. Tak na marginesie to właśnie rzekomo z Deyną Włosi mieli negocjować przed rozpoczęciem spotkania z Polską. Gwoli ścisłości warto dodać, że według „Życia Warszawy” pieniądze – za remis – mieli oferować nie działacze, lecz „kilku bogatych Włochów”. O próbach dotarcia z pieniędzmi ze strony Włochów słyszało zresztą również kilku innych polskich piłkarzy, np. Grzegorz Lato czy Jan Tomaszewski.

CI NIESFORNI KIBICE

Po zakończeniu spotkania grupa krewkich kibiców z Italii obrzuciła pomidorami polską ambasadę w Rzymie. Kibice to zresztą kolejny ciekawy i mało znany wątek. Otóż polska prasa po kończącym eliminacje do mundialu meczu na Wembley chętnie krytykowała kibiców angielskich, słowem nie wspominając o polskich. Tymczasem w stolicy Dolnego Śląska musiały nawet interweniować „siły porządkowe” – doszło tam do starć z młodymi ludźmi hucznie świętującymi awans polskiej reprezentacji na mistrzostwa świata. Feta – początkowo spokojna – zaczęła się ok. godz. 22. Jednak półtorej godziny później do oficera dyżurnego Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu zaczęły „napływać interwencje telefo-

niczne w sprawie przywrócenia spokoju i porządku w mieście” – świętujący (po krzepiający się alkoholem) używali nie tylko dzwonków czy trąbek, lecz także donośniejszych ręcznych syren strażackich. Wysłano więc na miasto funkcjonariuszy „ze środkami rozgłaszającymi”.

W większości przypadków wystarczyło jednak wezwanie do rozejścia się. Jednak nie wszędzie, np. na wrocławskim rynku, gdzie zgromadziło się ok. 1,3 tys. osób, doszło do walk. Na milicjantów, którzy użyli pałek, polecały nie tylko kamienie, lecz także... kasztany. W efekcie zatrzymano 22 osoby, większość zwolniono po 48 godzinach, ale np. sprawę 19-letniego ślusarza z Wrocławia, któremu zarzucano rzucanie kamieniami i „słowne znieważenie funkcjonariuszy MO”, skierowano do sądu w trybie przyspieszonym.

Sam mundial na żywo mogli zobaczyć jedynie szczęśliwcy. Starannie zresztą dobrani. Jak wynika z danych Biura Paszportów MSW, planowano, że wyjedzie na niego 1306 osób, w tym trzy zespoły artystyczne. Niestety, nie wiadomo, ile osób w końcu rzeczywiście pojechało. Ci, którym się to udało, nie zostali zdyskwalifikowani przez Służbę Bezpieczeństwa jako np. podejrzeni o chęć pozostania na Zachodzie – wyjechali w zorganizowanych grupach Orbisu, Juventuru czy Almaturu.

Mimo że pozostawali oni w Republice Federalnej Niemiec pod czujnym okiem nie tylko pilotów, lecz także zapewne funkcjonariuszy SB, a z pewnością ich tajnych współpracowników, niewielka część z nich nie powróciła do PRL. I tak np. z województwa krakowskiego, z którego do RFN wyjechały 52 osoby, nie wróciły dwie – 39-letni maszynista pomp w Hucie im. Lenina Władysław Frączek oraz 25-letni pomocnik operatora w Przedsiębiorstwie Zmechanizowanych Robót Inżynieryjnych w Krakowie Bronisław Szydlowski. Wśród wyjeżdżających w tej grupie było 10 tajnych współpracowników krakowskiej Służby Bezpieczeństwa.

Wspomniani uciekinierzy mieli zdecydowanie więcej szczęścia niż autor listu z gratulacjami dla piłkarzy Republiki Federalnej Niemiec – Antoni Skowron z Chorzowa. Z powodu próby złożenia gratulacji za zdobycie mistrzostwa świata przesłanych do znakomitego zachodnio-

niemieckiego piłkarza Franza Beckenbauera znalazł się on „na celowniku” funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, którym nie podobało się również to, że „natarczywie ubiega się o wyjazd stały” do RFN.

TRANSFEROWA EPOPEJA GADOCHY

Polscy piłkarze po powrocie z mistrzostw świata byli witani jak bohaterowie. Przyjął ich (uroczystą kolacją) sam I sekretarz KC PZPR Edward Gierke. Okazało się to zresztą – przynajmniej w przypadku Roberta Gadochy – brzemienne w skutki. Otóż w jej trakcie piłkarz, który miał być zresztą od dawna ulubieńcem Gierka, otrzymał od niego zgodę na transfer do zagranicznego klubu. I to mimo że nie spełniał kluczowego warunku, czyli nie miał jeszcze skończonych 30 lat. Zapoczątkowało to epopeję znakomitego skrzydłowego, którego za wszelką cenę nie chciało puścić za granicę – jako zawodnika Legii Warszawa – wojsko. Nie tylko zresztą, co oczywiste, jego klub, lecz także m.in. Wojskowa Służba Wewnętrzna czy Zarząd Wychowania Fizycznego i Sportu Inspektoratu Szkolenia WP. Nie pozwolono mu niestety – z przyczyn politycznych – wyjechać do Republiki Federalnej Niemiec. I to mimo że Bayern Monachium był skłonny zapłacić za niego według sekretarza PZPN Piotra Śniadowskiego „astro-nomiczną sumę”. Ostatecznie trafił po długich bojach do francuskiego FC Nantes, a jego transferowa epopeja stała się nawet przedmiotem audycji Radia Wolna Europa. Został sprzedany za „śmieszne pieniądze”, gdyż za 50 tys. dol., podczas gdy np. zachodnoniemiecki FC Duisburg w tym samym czasie proponował za niego 200 tys. dol.

Ten znakomity skrzydłowy, któremu wcześniej nie brakowało gotówki, zmuszony był w czasie swoich kilku-miesięcznych starań o wyjazd zagraniczny pożyczać ją przed pierwszym. Było to związane z tym, że karał go klub, gdyż odmawiał dalszej w nim gry.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

Korzystałem z książek Karoliny Apieconek „Mundial '74. Dogrywka” oraz Piotra Dobrowolskiego i Grzegorza Lato „Grzegorz Lato. Król mundialu”, a także artykułu Marka Wawrzynowskiego „Wielkie oszustwo Gadochy”.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Ochab – doktor honoris causa

Po 1944 r. mieliśmy wielu przywódców partii komunistycznej. W 1990 r. partia zmieniła nazwę (i robi to do tej pory, pogubić się można), ale nie swą istotę, zachowując znaczną część majątku, kadry organizacyjno-propagandowe itd. Dlatego warto ich przywódców przypominać, aby nie przepadli w pomroce dziejów.

Najkrócej sprawującym najwyższą władzę w PZPR był towarzysz Edward Ochab, jeden z bardzo nielicznych inteligentów w tamtych kręgach. Do dziś jest najmniej znany.

Z podchorążówki został usunięty z powodu powiązań z komunistami (Komunistyczny Związek Młodzieży Polskiej – nazwa myląca, bo młodzież polska bywała tam w mniejszości). Następnie przeszedł do Komunistycznej Patrii Polski, gdzie kariera organizacyjna stanęła przed nim otworem. Kilkakrotnie więziony w II RP za agenturalną działalność na rzecz Sowietów, co paradoksalnie uratowało mu życie. Uniknął bowiem stalinowskiej jatk, siedząc w sanacyjnym więzieniu.

Okres okupacji Polski przez ZSRS (1939–1941) i III Rzeszę spędził w „ojczyźnie proletariatu”. Był oczywiście członkiem komunistycznej partii sowieckiej [WKP(b)] i z jej ramienia organizował agenturalny Związek Patriotów Polskich oraz wojsko Berlinga, będąc współpracownikiem NKWD. W 1944 r., będąc już w stopniu pułkownika (!),

został zastępcą dowódcy 1. Armii do spraw polityczno-wychowawczych. I stale się piął, w 1949 r. został generałem. U zarania Polski Ludowej był zwolennikiem krwawej rozprawy z AK, bo „szła na rękę hitlerowskiemu przywódcom”. Opowiedział się po stronie Bolesława Bieruta przeciwko Władysławowi Gomułce. Wchodził w skład Komitetu Centralnego, a następnie Biura Politycznego PZPR. Po śmierci Bieruta w Moskwie (jak wówczas mówiono: „zjadł ciastko z Kremlem”) został przejściowo, na pół roku, I sekretarzem. Był to okres potężnych walk frakcyjnych, ale ludzie patrzyli na to inaczej, oczekując „więcej schabów, mniej Ochabów”, co dobrze oddawało mizerną skalę poparcia „ludu pracującego miast i wsi” dla panującej ideologii.

W tzw. epoce drugiego Gomułki (po 1956 r.) pełnił wiele bardzo wysokich funkcji, m.in. przewodniczącego Rady Państwa. Zrzekł się ich (lub został o to „poproszony”) w okresie wydarzeń marcowych 1968 r. Być może nastąpiło to pod wpływem żony, Racheli Silbiger. Zmarł w 1989 r. i miał okazały partyjny pogrzeb na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Mimo że umyślowo wyróżniał się wśród najwyższych kadry partyjnej, był „inteligentny inaczej”. W ankiecie partyjnej członka PZPR jako „posiadany stopień naukowy” podał... „doktor honoris causa”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zamach na księcia

Polscy uczestnicy i komentatorzy powstania styczniowego, a później także historycy, pomijali z reguły milczeniem to, że wobec wroga czasami stosowano metody typowo terrorystyczne. Przecież według tradycji narodowej zawsze walczyliśmy z otwartą przyłbicą i nigdy nie używaliśmy niegodnych metod.

Jednym z takich przypadków był zamach w Warszawie na wielkiego księcia Konstantego, młodszego brata cara Aleksandra II. Przyjazd dostojnika zapowiadała wcześniej prasa, wobec tego uznano, że jego zabójstwo będzie znakomitą okazją do zademonstrowania uczuć patriotycznych. Na zamach szczególnie nalegał radykalny działacz konspiracji, Ignacy Chmieleński, nazywany z racji prezentowanych poglądów „małym Robespierre’em”. Dopuszczał nawet zabójstwa za pomocą sztyletów zatrutych strychniną (!!!), ale nie odrzucał bardziej konwencjonalnych metod, jak bomby czy rewolwery.

To właśnie Chmieleński znalazł ochotników do zamachu na wielkiego księcia, byli to dwaj młodzi, liczący po 22 lata czeladnicy krawieccy: Ludwik Jaroszyński i Edward Rodowicz. Obaj zobowiązali się zamordować Konstantego w dniu jego przyjazdu do Warszawy, a do zamachu miało dojść na Dworcu Petersburskim (w pobliżu obecnego Dworca Wileńskiego). Zamachowcy otrzymali rewolwery

i sztylety, po czym udali się na dworzec. Pociąg z wielkim księciem przybył do stolicy 2 lipca 1862 r. ok. godz. 17, jednak do próby zabójstwa nie doszło. Konstantemu towarzyszyła bowiem małżonka będąca w zaawansowanej ciąży i w tej sytuacji Jaroszyński nie odważył się strzelać i powstrzymał towarzysza.

Niechęć do poszkodowania ciężarnej kobiety nie oznaczała, że w ogóle zrezygnowano z zamachu. Niedośli zabójcy otrzymali informację, że następnego dnia Konstanty będzie bez żony na przedstawieniu w Teatrze Wielkim, i tam postanowili ponowić próbę uśmiercenia wielkiego księcia.

Sytuacja im sprzyjała, Konstanty niepokoił się bowiem o zdrowie partnerki i postanowił opuścić teatr jeszcze przed zakończeniem przedstawienia. Na to czekali tylko zamachowcy, jednak kula wystrzelona przez Jaroszyńskiego tylko drasnęła dostojnika, a zamachowiec został natychmiast zatrzymany. Natomiast Rodowicz w ogóle nie wyciągnął broni i uciekł chwilę później.

Jaroszyński dzielnie trzymał się w śledztwie, gdy jednak obiecano mu złagodzenie kary, zaczął zeznawać. Nic mu to nie pomogło, carskie sądy wojenne z reguły nie dotrzymywały obietnic wobec Polaków i został skazany na karę śmierci. Powieszono go publicznie sześć dni później na stokach Cytadeli. ©©

O CZYM ŚNI ŁUKASZENKA

Białoruski prezydent Alaksandr Łukaszenka pojawił się niedawno z wizytą w gospodarstwie rolniczym w okolicach Dzierżyńska, niedaleko Mińska. Przy kamerach rozmawiał z rolnikiem zajmującym się hodowlą krów mlecznych. I przekonywał, że nie ma lepszego zajęcia niż dojenie krów. „Mnie się to śni po nocach do dziś. Ludzie, z którymi pracowałem. Śnią mi się krowy, ja je tam w nocy doję” – wyznawał białoruski dyktator.

ŁAWROW WYPROSZONY

Zgrzyt podczas dyplomatycznej wizyty Władimira Putina w Korei Północnej. Kamery pokazały urzędników, w tym m.in. ministra spraw zagranicznych Rosji Siergieja Ławrowa, którzy zajęli miejsca na sali i zaraz zostali z niej wyproszeni przez koreańskiego urzędnika. Powód? Weszli na salę przed Kim Dzong Unem. Wstali i wyszli, choć słychać było, że są rozgniewani. „Trzeba było od razu nas ostrzec” – rzucił jeden z dyplomatów.

WPADKA MINISTRA

Gennaro Sangiuliano, minister kultury w rządzie Giorgii Meloni, podczas niedawnego festiwalu literatury na Sycylii powiedział, że Kolumb chciał dopłynąć do Indii, opływając glob „na podstawie teorii Galileusza”. Media natychmiast zauważyły, że Galileusz urodził się prawie 100 lat po odkryciu nowego kontynentu. To nie pierwsza wpadka Sangiuliano. Wcześniej jako jeden z jurorów literackiej Nagrody Stregi przyznał, że nie czytał żadnej z nominowanych w konkursie książek.

IMPREZA REKRUTACYJNA

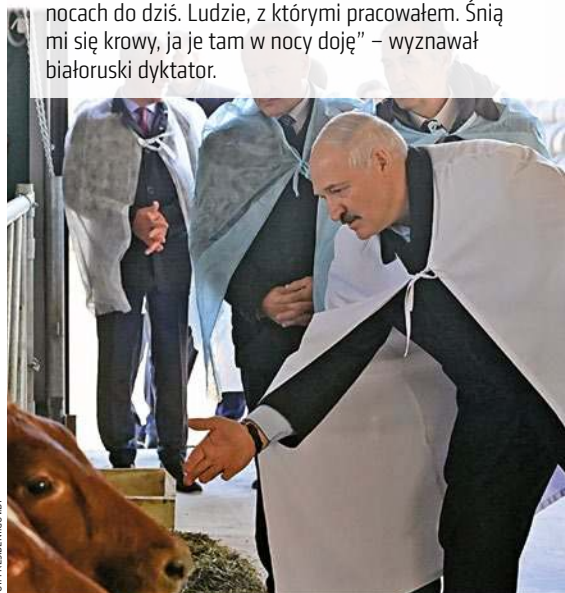
Jedna z anglojęzycznych tiktokerów – Marissa Marlowe – opowiedziała, jak potrafi wyglądać współczesna rekrutacja do firm. Po rozmowie o pracę została zaproszona na imprezę integracyjną, by „poznać zespół”. Okazało się jednak, że impreza jest tylko kolejnym etapem rekrutacji i zaproszono na nią samych kandydatów do pracy.

CO CI PODA KELNER Z AI

McDonald's testował sztuczną inteligencję w punktach restauracyjnych drive-thru. Skończyło się kląpą. Klienci publikowali w sieci błędy w zamówieniach. Chodziło nie tylko o pomyłki w liczbie dań, lecz także o pomyłki w składnikach. Zdarzały się podobno „lody z bekonem” czy „lody z rybą i dodatkowymi ziemniakami”. McDonald's poinformował BBC, że „podjął decyzję o zakończeniu współpracy z IBM w zakresie rozwiązań z zakresu automatycznego przyjmowania zamówień”. ©

Łukasz Zboralski

FOT. PRESIDENTOUBRY



GLOBALNE OCHŁODZENIE



JACEK PRZYBYLSKI

Polska na chińskim szlaku

Wizyta Andrzeja Dudy w Chinach w głównych mediach została przedstawiona z obiektywizmem podobnym do relacjonowania spraw krajowych. Tak więc według źródeł liberalnych zły, a już na pewno naiwny prezydent spotkał się z dyktatorem, który jest przyjacielem Putina, a według mediów z drugiej strony barykady polski przywódca Andrzej Duda polecał do Pekinu kreować nowy światowy porządek, a dowodem na wielkie znaczenie polskiego prezydenta miała być pompatyczność, z którą Chińczycy ugościli Dudę i jego małżonkę.

Z oboma narracjami łatwo się brutalnie rozprawić, ale szkoda na to czasu drogie czytelników. Wprawdzie wizyta z punktu widzenia geopolityki nie była niczym wyjątkowym, a Chińczycy znani są z tego, że swych gości przyjmują z dyplomatyczną pompą – to dobrze, że do tej wizyty doszło. Nie dlatego, że prawnicza szuka alternatywy dla sojuszu z USA (to niedorzeczność), ale choćby dlatego, że prezydent Duda miał okazję przedstawić przywódcy Chin polskie argumenty dotyczącej rosyjskiej inwazji na Ukrainę, które mogą odegrać kluczową rolę w doprowadzeniu do rozejmu.

Najważniejsze jest zaś to, że w czasach, gdy Pekin szuka partnerów biznesowych, Polska nie oddaje walkowerem szans na chińskie inwestycje i lepszy dostęp do wielkiego rynku Państwa Środka.

Kluczowe w relacjach Polski i Chin powinny być bowiem stosunki handlowe. I to nie tylko nowe chińskie inwestycje nad Wisłą (na Węgrzech, które od ponad dekady stanowią dla Pekinu bramę do Europy, Chiny zainwestowały już kilkanaście miliardów euro). Istotne jest też wsparcie dla polskich eksporterów i pomoc w promocji produktów „made in Poland”. ©

Teflonowy Mark



Dominika Cosić z Brukseli

Na tym, jakim szefem NATO okaże się Mark Rutte, zaważy m.in. to, kto zostanie prezydentem USA. Holender potrafi się porozumieć z oboma kandydatami i w przeciwieństwie do części europejskich polityków wstrzymuje się z krytykowaniem Donalda Trumpa



Mark Rutte w polityce głównego nurtu jest od ponad 20 lat, wcześniej pracował w prywatnym biznesie. Ale ani polityka, ani biznes nie były jego pierwszym wyborem życiowym i pasją. Młody Mark chciał być pianistą. Kiedy przyszedł czas wyboru kierunku studiów, wybrał jednak nie akademię muzyczną, a studia historyczne na uniwersytecie w Leiden. Postąpił pragmatycznie zgodnie z protestanckim duchem, w którym został wychowany.

Urodził się w Hadze jako najmłodsze dziecko niemłodych już rodziców – jego ojciec miał wówczas prawie 60 lat. Ojciec Ruttego, Izaak, był handlowcem, prowadził interesy także w Indonezji, byłej kolonii holenderskiej. Tam w czasie drugiej wojny światowej, wraz ze swoją pierwszą żoną, był internowany. Pierwsza żona Izaaka Ruttego zmarła. Po jej śmierci ożenił się z jej siostrą. Mark Rutte ma siedmioro rodzeństwa. Jeden z jego braci zmarł na AIDS, co – według holenderskich dziennikarzy – Mark Rutte

bardzo mocno przeżył, podobnie zresztą jak kilka lat później śmierć ojca.

Życie osobiste holenderskiego polityka owiane jest tajemnicą. Wiadomo jedynie, że nie ma dzieci i nigdy się nie ożenił. Nic więc dziwnego, że budziło to zainteresowanie mediów. Niektórzy nawet spekulowali na temat orientacji seksualnej polityka, co jest raczej wątpliwe, bo akurat w takim kraju jak Holandia premier w żaden sposób nie straciłby politycznie na coming outcie, wręcz przeciwnie.



FOT. PIER MARCO BACCA/GETTY IMAGES

zując się w młodzieżówkę partii liberalnej: Partii Ludowej na rzecz Wolności i Demokracji – VVD. Było to jednak zaangażowanie na pół gwizdka, bo cały czas pracował w prywatnych koncernach. Rokiem przełomowym dla jego kariery politycznej był 2002, gdy po raz pierwszy został ministrem, wchodząc do rządu premiera Jana Petera Balkenendego (on z kolei z racji podobieństwa fizycznego był przez dziennikarzy nazywany holenderskim Harrym Potterem i typowany był kilkanaście lat temu na szefa KE albo NATO). Funkcje ministerialne Rutte piastował także w dwóch następnych gabinetach Balkenendego, jednocześnie awansując w strukturach partyjnych. W 2006 r. został przewodniczącym partii (był nim aż do 2023 r.), pokonując najgroźniejszą rywalkę, Ritę Verbonk. Kilka miesięcy później po serii jej krytycznych wypowiedzi na temat politycznego kursu partii Rutte wyrzucił ją z VVD.

W kolejnych wyborach parlamentarnych w 2010 r. VVD otrzymała największą liczbę głosów, dzięki czemu Rutte został premierem Holandii. Jego rząd nie trwał długo. Upadł po tym, jak lider populistów Geert Wilders wycofał swoje poparcie. Wówczas w 2012 r. w Holandii przeprowadzono kolejne wybory. W sumie Rutte premierem Holandii był czterokrotnie. Za każdym razem były to skomplikowane rządy koalicyjne, a premierowi udawało się zawsze wychodzić cało z kryzysów lub afer, dzięki czemu zyskał przydomek Teflonowy Mark.

Obserwatorzy życia politycznego w Holandii zauważają metamorfozę polityczną Ruttego. Pod wpływem zagrożenia ze strony rosnącego w siłę i zwiększającego swą popularność Wildersa Rutte, zwłaszcza od 2017 r., coraz bardziej zaostrzał podejście do polityki imigracyjnej. Było to zresztą zgodne ze zmianą podejścia do tego tematu samych Holendrów. Przez całe lata kraj ten prowadził bardzo otwartą politykę migracyjną. Dopiero od kilkunastu lat zaczęto mówić o ciemnej stronie polityki otwartych drzwi, o zwiększeniu przestępczości, o problemach z integracją cudzoziemców, o pogarszającej się sytuacji finansowej. Dzwonkiem ostrzegawczym były głośne morderstwa polityczne – najpierw w 2002 r. mord dokonany na antyimigranckim polityku

Pimie Fortuynie (zabójcą był lewicowy aktywista), a dwa lata później na dziennikarzu pracującym nad filmem o Fortuynie – Theo van Goghu. Dziennikarz został zamordowany przez fundamentalistę islamskiego. To morderstwo wstrząsnęło Holandią i przyczyniło się do zrewidowania polityki migracyjnej. Główną twarzą twardego kursu stał się Wilders, a chcący utrzymać władzę Rutte, chcąc nie chcąc, zaczął przyswajać część haseł Wildersa.

„OPCJA ATOMOWA”

Rutte bez wątpienia jest jednym z bardziej doświadczonych i rozpoznawalnych polityków europejskich. A zarazem jednym z najbardziej kontrowersyjnych. Jako premier Holandii reprezentował swój kraj przez kilkanaście lat na szczytach unijnych w Brukseli. Podczas negocjacji dotyczących wieloletnich ram finansowych stał się nieformalnym szefem tzw. klubu skąpców, czyli krajów

Rutte był premierem Holandii czterokrotnie. Za każdym razem wychodził cało z kryzysów lub afer

będących płatnikami netto i żądających cięć w budżecie unijnym. Ówczesni polscy negocjatorzy wspominają rozmowy z nim jako bardzo trudne. Gdy w ramach rozmów na temat Funduszu Odbudowy Polska i Węgry sprzeciwiły się powiązaniu kwestii budżetowych z szeroko i dowolnie pojętą praworządnością, Rutte oznajmił, że ustalone rozwiązania są „absolutnym minimum w tej kwestii i nie ma opcji, by renegocjować to porozumienie”. Zgodził się z pomysłem ówczesnego europosła belgijskiego (byłego premiera Belgii), Guya Verhofstadta, który chciał zastosowania tzw. opcji atomowej, czyli zawarcia porozumienia z ominięciem Polski i Węgier. W mało dyplomatyczny sposób wypowiedział się także nieraz na temat stanu demokracji np. na Węgrzech, krytykując rząd Viktora Orbána za „ograniczanie praw osób LGBT”. Do tych wypowiedzi odniósł się zresztą niedawno, starając się o poparcie swojej kandydatury na szefa NATO. Na ostatniej

Sam Rutte o swoim życiu osobistym opowiadać nie lubi, chętniej mówi o zainteresowaniach. Poza grą na pianinie i – szerzej – muzyką (Mozart, Bach i Brahms to jego ulubieni kompozytorzy) zajmuje go także literatura. Polityk znany jest też z tego, że często do pracy, nawet już jako premier, jeździł rowerem i – jak przystało na Holendra – prowadzi raczej oszczędny tryb życia.

TEFLONOWY MARK

Pięćdziesięciosiedmioletni dziś Rutte karierę polityczną zaczął wcześniej, anga-

prostej jego kandydaturze sprzeciwiały się Węgry. Wówczas Rutte wystosował list do Orbána, w którym przeprosił go za niesprawiedliwe słowa na temat Węgier i LGBT. Po tych głośnych, medialnych przeprosinach Budapeszt wycofał swój sprzeciw.

GAZPROM

Trzy lata temu holenderski portal śledczy Follow the Money opisał skandal, który wybuchł w Niderlandach. Opozycja zarzuciła wówczas premierowi, że wprowadził w błąd posłów w sprawie Nord Stream 2. Po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 r. i po zestrzeleniu malezyjskiego samolotu z wieloma obywatelami holenderskimi na pokładzie, również w 2014 r., Haga oficjalnie zerwała relacje dyplomatyczne z Moskwą. Okazało się jednak, że od 2017 r. urzędnicy z holenderskich ministerstw potajemnie jeździli do Moskwy na rozmowy z Rosjanami w sprawie budowy Nord Stream 2 – w projekt były zaangażowane także holenderskie firmy z Shellem na czele. Według Follow the Money Rutte ukrywał te informacje przed holenderskim parlamentem.

Niedługo później wybuchł kolejny skandal, gdy pełniąca od 2017 r. funkcję ministra infrastruktury Cora van Nieuwenhuizen zrezygnowała z ministerialnej posady i od razu została lobbystką m.in. Shella i Gazpromu, z pensją wynoszącą 250 tys. euro miesięcznie. W oczywisty sposób przypomina się historia byłego kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera. Przypadek holenderskiej minister przyczynił się do ponownej dyskusji politycznej zarówno na temat powiązań kraju z Gazpromem – czytaj: Rosją – jak i standardów etycznych w polityce i konieczności wprowadzenia nowych bardziej restrykcyjnych zasad.

Te dwie sprawy wzbudziły w wielu krajach wschodniej flanki NATO obawy o podejście Ruttego do Rosji. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że po agresji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Rutte nie blokował sankcji na Rosję, nie blokował także pomocy dla Ukrainy, ale taką pomoc napadniętemu krajowi wysyłał.

O tym, że jest jednym z najpoważniejszych kandydatów na sekretarza generalnego NATO, mówiło się co najmniej od dwóch lat, sam także nie ukrywał swoich

ambicji. Ale nie był jedynym, który marzył o tym stanowisku. Takie ambicje miała także m.in. premier Estonii Kaja Kallas, ją jednak niektóre kraje uznały za zbyt radykalną w stosunku do Rosji. Przepadła także kandydatura duńskiej premier. Na placu boju pozostał w tym roku jedynie ostatni rywal, prezydent Rumunii Klaus Iohannis. Za jego wyborem przemawiało to, że reprezentował kraje wschodniej flanki. Polska, Czechy i Węgry są już od 25 lat członkami NATO, Rumunia kilka lat krócej, zatem czas już, by najwyższe stanowiska w pakcie przypadły politykom z krajów z naszej części Europy. Ale nasz region przez zachód

Według holenderskiego portalu śledczego Rutte ukrywał, że rząd potajemnie rozmawiał z Rosjanami o Nord Stream 2

Europy uważany jest w większości za zbyt rusofobiczny i choć teraz nikt nie ma złudzeń co do Rosji, to część polityków mniej oficjalnie mówi, że kiedyś trzeba będzie z Rosją rozmawiać. Iohannis ostatecznie sam wycofał się z rywalizacji o fotel szefa NATO, co otworzyło drzwi dla Ruttego. Ostatnią przeszkodą był opór Węgier, który Holender przełamał, posypując sobie głowę popiołem.

ORGANIZATOR

Jak widzą Rutte sami Holendrzy? – Jeszcze rok temu – po różnych skandalach – Rutte był wyjątkowo niepopularny, ale ostatnio jego notowania w Holandii się poprawiły, przede wszystkim dlatego, że długo nie udało się wyłonić nowej koalicji, i spodziewamy się chaosu i kłótni. Często się słyszy: „Będzie go nam brakowało” – mówi prof. Arent van Nieukerken. A jakim może być sekretarzem generalnym? – Wybór jest nie najgorszy. Rutte jest sprawnym organizatorem, negocjatorem i moderatorem. Nic dziwnego, bo w Holandii zna tylko rządy koalicyjne, w których koalicjanci mają na ogół porównywalną wagę. Rutte nie ma już żadnych złudzeń co do intencji Rosji wobec Europy (kiedyś je miał). Może

wizerunkowo lepszy byłby kandydat z Europy Środkowo-Wschodniej, ale Rutte naprawdę nie jest złym kandydatem – dodaje.

W tym momencie warto przypomnieć kontrowersje, które się pojawiły 10 lat temu, gdy ogłoszono, że nowym sekretarzem generalnym NATO będzie były premier Norwegii, Jens Stoltenberg. Zarzucano mu wówczas sympatię do Rosji, lewicowe poglądy i powiązania, brak wrażliwości na Europę Wschodnią. Po dwóch kadencjach okazało się jednak, że Stoltenberg jest jednym z najlepszych sekretarzy generalnych, który sprawdził się w wyjątkowo trudnych czasach. Nie potwierdziły się obawy o jego podejście do Rosji, a jeżeli chodzi o stosunek do naszej części Europy, to wystarczy przypomnieć, że samą tylko Polskę odwiedzał regularnie, unikając angażowania się w polskie spory polityczne i komentowania polskiej polityki wewnętrznej.

Inna sprawa, że sekretarz generalny jest szefem NATO tylko pozornie. W rzeczywistości jest bardziej negocjatorem, który musi znaleźć konsensus w gronie 32 krajów członkowskich i sprawnie zarządzać skomplikowaną strukturą paktu. Liczą się zatem umiejętności negocjacyjne. Z tego też względu na ogół stanowisko to przypadało politykom z krajów mniejszej i średniej wielkości.

Mark Rutte będzie czwartym w historii sojuszu Holendrem na tym stanowisku, co w tej dziedzinie plasuje Holandię na pozycji lidera. Ostatnim holenderskim sekretarzem generalnym był Jaap de Hoop Scheffer (2004–2009). Na to, jakim Rutte okaże się szefem NATO, zaważy także to, kto zostanie nowym amerykańskim prezydentem. A Holender z właściwym sobie sprytem potrafi się porozumieć z oboma kandydatami. W przeciwieństwie do części europejskich polityków wstrzymuje się z krytykowaniem Donalda Trumpa. Gdy kilka miesięcy temu oburzali się oni słowami Trumpa na temat NATO, Rutte stwierdził: „Ciagle to jęczenie i marudzenie na temat Trumpa. Przez ostatnie dni słyszę je cały czas. Przestańmy”. I przyznał, że Trump ma rację, żądając większych wydatków na obronę od europejskich sojuszników. Mark Rutte stanowisko sekretarza generalnego NATO oficjalnie obejmie w październiku.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojna domowa w ukraińskich okopach



Podpułkownik Bohdan Krotewycz

FOT. A. MARTINS/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

◀ AZOWCY DOMAGAJĄ SIĘ ROZLICZEŃ ŚWIAT ▶



Maciej Pieczyński

Szef sztabu brygady „Azow” oskarża jednego z dowódców własnej armii, że zabił więcej jego towarzyszy broni niż sami Rosjanie. W szeregach Sił Zbrojnych Ukrainy narasta niezadowolenie. Puczu Krotewycza raczej nie będzie, ale trudno mówić o pozytywnych nastrojach w okopach

Podpułkownik Bohdan Krotewycz domaga się śledztwa w sprawie nadużyć jednego z najważniejszych dowódców SZU. Swoje argumenty przedstawił w obszernym wpisie na portalu społecznościowym Telegram. Tekst ten wywołał prawdziwą burzę wśród ukraińskiej opinii publicznej. Krotewycz nie wymienił w nim nazwiska człowieka, któremu stawia poważne zarzuty. Z ustaleń mediów wynika jednak, że chodzi o dowódcę Połączonych Sił Zbrojnych Ukrainy, gen. Jurija Sodołę. Krotewycz zapewnił, że odpowiedni wniosek złożył już na ręce Państwowego Komitetu Śledczego. Również ten fakt potwierdziły media nad Dnieprem.

Na początku swojego wpisu oficer przekonuje, że wierzy w możliwość dyplomatycznej, świadomej dyskusji o tym, co się dzieje się w szeregach armii. Tłumaczy również, dlaczego postanowił sprawę upublicznić, zamiast ograniczyć się do złożenia odpowiedniego wniosku na ręce organów ścigania. Mianowicie zamierzał w ten sposób tym efektywniej wpłynąć na tych, którzy mogą podjąć odpowiednie decyzje.

OFICER MA DOŚĆ

Zdaniem Krotewycza „niektórzy” (z kontekstu wynika, że chodzi o władze wojskowe i polityczne) są tak bardzo zajęci rozmowami z Amerykanami i innymi partnerami zachodnimi, że całkowicie zapominają o własnym narodzie i własnym wojsku. Oficer zapewnia przy tym, że negatywne skutki tego faktu nie

wpływają na niego osobiście, tylko na sytuację w kraju. A dokładniej: oddalają zwycięstwo Ukrainy w wojnie.

Krotewycz zapewnia, że wielokrotnie informował swoich dowódców o nadużyciach, próbując nadać właściwy bieg sprawom. Bezskutecznie, bo „wszyscy mają to gdzieś”. Dlatego w końcu zdecydował się zwrócić do Państwowego Biura Śledczego z apelem o „wszczęć śledztwa przeciwko pewnemu generałowi wojska”, który „zabił więcej ukraińskich żołnierzy niż jakiegokolwiek rosyjski generał”. „Mam w dupie (ukr. »meni pochrin«), czy wytoczą śledztwo przeciwko mnie, i mam w dupie, czy wsadzą mnie do więzienia. Nie mam w dupie, że dowódcy batalionów i brygad są sądzeni za utratę punktu obserwacyjnego, natomiast generał, który stracił całe obwody, dziesiątki miast i tysiące żołnierzy, już przed sądem nie staje” – pisze Krotewycz.

W jego ocenie warunki, w których toczy się wojna, wymagają nierealnego wręcz heroizmu od zwykłych żołnierzy, dowódców plutonów, kompanii, batalionów czy brygad. „I ten heroizm polega na tym, że oni wszyscy powstrzymują wroga nie dzięki czemuś, a wbrew czemuś” – dodaje.

„Czasem mi się wydaje, że świat przysłała nam bydlaków, żeby nas (przeciwko nim) zjednoczyć” – pisze oficer. I zapewnia, że wszyscy żołnierze rozumieją, kogo ma na myśli, bo 99 proc. wojskowych nienawidzi tego człowieka za to, co robi. „Ten człowiek wszczynają śledztwa przeciwko dowódcom, którzy nacierają i nie tracą zajmowanych pozycji, ale przeciwko sobie śledztwa już nie inicjuje”. Krotewycz twierdzi, że ma tego dosyć. Jak podkreśla, liczy się z konsekwencjami.

W internetowym wpisie niezadowolony oficer nie wymienił konkretnych zarzutów. Przedstawił je w złożonym dokumencie. Według informacji Ukraińskiej Prawdy Krotewycz oskarża Sodołę o przekroczenie uprawnień, niekompetentne dowodzenie wojskiem, co doprowadziło do utraty sporej części terytorium Ukrainy, a nawet prosi, by sprawdzono, czy dowódca nie podjął współpracy z Rosjanami. Krotewycz jest ponadto gotowy zeznawać w sprawie.

Kim jest Bohdan Krotewycz? Oficer, który oskarża generała o zdradę, podobnie jak spora część azowców pochodzi z rosyjskojęzycznej części Ukrainy. Uro-

dził się w obwodzie odeskim, wychowywał w Symferopolu na Krymie. Rocznik 1993. Studiował w Akademii Transportu Wodnego. Uczestniczył w protestach na Majdanie podczas rewolucji godności. Był wtedy aktywistą nacjonalistycznego, neobanderowskiego Prawego Sektora. Po aneksji Krymu i wybuchu wojny w Donbasie wstąpił w szeregi sformowanego wówczas ochotniczego batalionu „Azow”. Brał udział w walkach z prorosyjskimi separatystami. Otrzymał za to kilka odznaczeń. Dowodził plutonem. W 2021 r. został szefem sztabu „Azowa”, który był już wówczas pułkiem (obecnie jest brygadą).

Bohater obrony Mariupola w pierwszych miesiącach pełnoskalowej wojny, będąc szefem sztabu „Azowa”, faktycznie kierował sztabem obrony całego miasta. W swoich apelach w formie wideo oraz wywiadach wzywał do utworzenia korytarza humanitarnego, który pozwoliłby opuścić cywilom oblężony Mariupol. Walczył do końca w Azowstali. Po kapitulacji dostał się do rosyjskiej niewoli, z której powrócił we wrześniu 2022 r. Przez prawie rok pełnił obowiązki dowódcy brygady, po czym wrócił na stanowisko szefa sztabu.

W OGNIU KRYTYKI

Kim jest Jurij Sodoł? Generał, przeciwko któremu wystąpił bohater obrony Mariupola, urodził się w 1970 r. w rodzinie wojskowych. Podobnie jak jego krytyk walczył na froncie wojny z Rosją już od 2014 r. Był m.in. zastępcą dowódcy wojsk desantowo-szturmowych czy dowódcą piechoty morskiej. W 2023 r. dowodził grupą operacyjną w walkach pod Wuhledarem. 11 lutego 2024 r. stanął na czele Połączonych SZU. Krotewycz swoją miażdżącą krytykę pod jego adresem opublikował w niedzielę 23 czerwca. Już następnego dnia gen. Jurij Sodoł, decyzją Wołodymyra Zelenskiego, stracił swoje stanowisko.

Co ciekawe, Krotewycz nie jest jedynym tak ostrym krytykiem Sodoła. „Zbrodniarzem i mordercą” nazywała go wcześniej Marianna Bezuhła, kontrowersyjna deputowana do Rady Najwyższej, która jakiś czas temu odeszła z prezydenckiej partii Sługa Narodu. Bezuhła wsławiła się m.in. tym, że proponowała wprowadzenie kary śmierci dla żołnierzy za niewykonanie rozkazu. W przeszłości ostro krytykowa-

ła gen. Wałerija Załużnego, jako zresztą jedna z niewielu osób publicznych nad Dnieprem. Sodołowi zarzucała, że gdy wojska rosyjskie przełamywały front pod Toreckiem, on przebywał w Odessie, gdzie nagradzał mera miasta.

Były już dowódca Połączonych SZU znalazł się również w ogniu krytyki ze strony znanych blogerów i zarazem wolontariuszy: Ihora Łaczenkowa oraz Serhija Sternienki. Ten drugi o nieudolności generała na stanowisku dowódcy piechoty morskiej pisał już zimą tego roku.

Sodoła na jedno z najważniejszych stanowisk w ukraińskiej armii mianował gen. Ołeksandr Syrski, który na czele SZU zastąpił gen. Załużnego. „Sodoł to typowy dowódca »z czasów Czeczenii i Afgana [Afganistanu – przyp. red.]«. Nie cenili ani szeregowych, ani oficerów” – tak o byłym dowódcy opowiadał żołnierz piechoty morskiej w artykule Asi Projakowej z portalu Liga.net. Oczywiście opowiadała anonimowo. Według ich relacji Sodoł wysyłał piechotę morską do ataku na odcinkach, gdzie natarcie było praktycznie niemożliwe. „Naprzód, naprzód, do ostatniego piechura morskiego” – zwykł mawiać Sodoł. Tak przynajmniej twierdzą jego byli podkomendni. Konkretnie mają na myśli zażarte walki pod wsią Krynki w obwodzie chersońskim na początku tego roku.

Żołnierze gorzko śmieją się z Sodoła, który według ich opowieści kompletnie nie radzi sobie ze zdobyciami współczesnej techniki. Podczas gdy standardem jest posługiwanie się mapami w wersji elektronicznej, generał miał życzyć sobie, by rysowano mu mapę ręcznie na kartce papieru. „Przed operacją chersońską pytaliśmy: Skąd mamy wziąć transport na lewym brzegu (Dniepru)? Odpowiedź brzmiała: zabierzcie od lokalnych mieszkańców” – opowiadają żołnierze.

Rozmówca dziennikarki portalu Liga.net twierdzi, że Sodoł kompletnie się nie liczył ze stratami własnymi. „Ale my walczyliśmy, bo taki był rozkaz – mówi żołnierz. – Dopóki zamiast więzienia takie sukinsyny [w oryginale „pidory”, czyli „pedały” – w języku ukraińskim to wyzwisko nie ma nic wspólnego z orientacją seksualną – przyp. red.] będą dostawać awans, dopóty będziemy tracić ludzi w bezsensownych operacjach”.

Jak twierdzi jeden z piechurów morskich, podczas wspomnianych walk o Krynki dowódcy brygad próbowali wytłumaczyć Sodolowi, że żołnierze giną tam setkami, a ich ofiara idzie na marne. W odpowiedzi generał wysłał jednego ze skarżących się dowódców na urlop, a następnie po cichu zwolnił. Po interwencji dowództwa SZU i marynarki wojennej dowódca wrócił na stanowisko.

Nie wiadomo, czy dymisja Sodola będzie jedyną karą, która go spotka za to, o co oskarżany jest przez żołnierzy. Ekspert do spraw bezpieczeństwa, były żołnierz piechoty morskiej Pawło Łakijczuk, w rozmowie z portalem NV przyznał, że przez 10 lat wojny z Rosją ani obecna, ani poprzednia władza Ukrainy nie wypracowała skutecznych mechanizmów karania dowódców za nadużycia czy niekompetencje.

BUNT NARASTA

Sprawa Sodola nie jest jedynym przykładem niezadowolenia ukraińskich żołnierzy ze swoich dowódców. Jeszcze do niedawna ironiczne komentarze na temat wojny w stylu „Ameryka i Rosja walczą ze sobą do ostatniego Ukraińca” traktowane były (często słusznie) jako prorosyjska propaganda oderwana od rzeczywistości. Jednak od pewnego czasu głosy przypominające tego typu opinie padają również z ust samych Ukraińców. Coraz częściej słychać, jak żołnierze SZU narzekają może nie tyle na Waszyngton, który pcha ich do wojny, ile na swoich przełożonych, którzy nie liczą się ze stratami własnymi. Do niedawna tak mówiło się głównie o rosyjskich dowódcach.

Teraz Ukraińcy podobnie oceniają własnych oficerów i generałów. „Czy należy utrzymywać obronę do ostatniego żołnierza?” – tak brzmi tytuł felietonu na łamach Ukraińskiej Prawdy. Jego autorem nie jest prorosyjski aktywista, tylko Iwan Matejko – dowódca jednego z batalionów desantowo-szturmowych w SZU. Tekst ukazał się 8 czerwca, a więc trzy tygodnie przed tym, jak bohater Mariupola swoim wpisem na Telegramie zwolnił gen. Sodolę. „Kiedy trzeba walczyć do końca? Gdzie kończy się odpowiedzialność zwykłego żołnierza, a zaczyna odpowiedzialność dowódców różnych szczebli?” – pyta retorycznie Matejko.

Do gorzkich refleksji skłoniła go śmierć jednego z podkomendnych, który

powinien służyć na tyłach, ale z powodu braków kadrowych – podobnie jak inni żołnierze, normalnie służący na tyłach właśnie – został wysłany na pierwszą linię frontu. Matejko ironizuje, że według jego dowódców kucharze, elektrycy, kierowcy czy łącznościowcy „doskonale” się nadają do walki jako piechurzy. Oficer zauważa, że dla opinii publicznej samo postawienie pytania o sensowność walki do krwi ostatniej jest kontrowersją, tematem tabu, ale dla zwykłych żołnierzy to realny dylemat. Dla zwykłych żołnierzy właśnie, bo dowódcy zazwyczaj nieszczególnie się przejmują śmiercią własnych podkomendnych. Nie martwi ich stan składu osobowego. Bo przecież jeśli zginie kilku szeregowców, to „przysła im nowych”. Będzie kim dowodzić. Będzie czyją krew przelewać.

Ponadto według Matejki wśród oficerów częsta jest przechwałka w stylu: „A moi żołnierze w ogóle się nie luzują”. Czyli: walczą przez dłuższy czas bez przerwy. „Ale w tej sytuacji wymuszony heroizm i wytrzymałość tych, którzy od miesiąca siedzą w okopie bez zasięgu, a wodę i prowiant otrzymują zrzutami z dronów, przypisywane są dowódcy, a nie

wysyłają do walki każdego, kto tylko jest w stanie unieść broń. Byle utrzymać choćby niewiele znaczącą pozycję. I własne stanowisko.

Matejko oczekuje od dowódców, że będą mieli odwagę powiedzieć swoim dowódcom prawdę – że potrzebują więcej ludzi, aby obronić daną pozycję bez większych strat własnych. Zamiast walczyć niewielkimi siłami, dowódcy powinni prosić o posiłki. I bardziej szanować własnych żołnierzy. „Bo nasze zasoby ludzkie nie są niezmierzone” – tłumaczy. „Drony, artylerię, naboje można zdobyć. A zmotywowanych, wyszkolonych patriotów więcej już nie ma. Kobiety nie nadadzą ich rodzić” – podsumowuje Matejko.

SZYBKA REAKCJA

Na szybką zmianę mentalności ukraińskich dowódców raczej się nie zanoszą. Ale w tym jednym przypadku gen. Sodola Kijów szybko zareagował na protesty żołnierzy. Nowym dowódcą Połączonych SZU został gen. Andrij Hnatow. Niewiele o nim wiadomo. W latach 2016–2018 był szefem sztabu 36. Brygady Piechoty Morskiej, a następnie, do 2021 r., jej

Żołnierze gorzko śmieją się z Sodola, który według ich opowieści kompletnie nie radzi sobie ze zdobyciami współczesnej techniki

tym, którzy w tak trudnej sytuacji zostali postawieni” – pisze Matejko. Poza tym kadrowi oficerowie często łamią regulamin wojskowy, którego przestrzegają z reguły wówczas, gdy pozwala on kogoś przykładać nie ukarać. Zwykłego żołnierza oczywiście.

Matejko zwraca też uwagę na niepokojącą praktykę. Zwykli żołnierze zmuszani są do walki do końca o każdy kawałek ziemi. O każdą chatę w najbardziej zapadłej wsi. Bo dopóki choćby jeden budynek w danej miejscowości zajęty jest przez chociażby jednego ukraińskiego żołnierza, dopóty dowódcy mogą się pochwalić, że dana miejscowość, wysiłkiem ich żołnierza, wciąż należy do Ukrainy. Za opuszczenie zajmowanej pozycji natomiast grozi kara. Zaczyna się dochodzenie i w końcu dowódca traci posadę. Dlatego dowódcy oddziałów na pierwszej linii frontu

dowódcą. W 2022 r. został zastępcą dowódcy Dowództwa Operacyjnego Południe. Wiosną 2023 r. kierował obroną Bachmutu. Rosyjska propaganda twierdzi, że Hnatow uciekł „w damskim ubraniu” z oblężonego Mariupola, a wcześniej na jego rozkaz w mieście mordowano cywilów o poglądach prorosyjskich. Żadnych dowodów tych rewelacji nie przedstawia.

Tymczasem Krotewycz jest zadowolony ze zmiany. Jego zdaniem Hnatow to dobry oficer. „Mam nadzieję, że teraz z frontu będą docierać lepsze wiadomości” – komentuje Krotewycz. Dodaje przy tym: „Nie będę mógł sobie przypisać żadnej zasługi [za poprawę sytuacji w armii – przyp. red.] dopóty, dopóki winni nie poniosą odpowiedzialności za śmierć ukraińskich żołnierzy”.



Z Chase Xu, wiceprezesem i szefem
marketingu koncernu realme
rozmawia Jacek Przybylski

Polska to dla nas kluczowy rynek

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JACEK PRZYBYLSKI: Podkreśla pan przy każdej oficjalnej okazji, że realme jest najszybciej rozwijającą się marką smartfonów na świecie. Jaki jest wasz ostateczny cel: zdetronizować obecnych gigantów?

CHASE XU: Jesteśmy dumni z tego, że aby wejść do czołowej szóstki największych producentów smartfonów, potrzebowaliśmy mniej niż pięć lat od powstania realme. Rozwijamy się więc niezwykle szybko i z pewnością nie chcemy jedynie utrzymać się w TOP6. Zamierzamy zostać jedną z trzech największych globalnych marek. Kluczowym rynkiem dla nas jest Europa, gdzie do pierwszej trójki smartfonowych marek zamierzamy wejść już w ciągu najbliższych trzech lat.

Najnowsza światowa premiera modelu GT 6 odbyła się pod koniec czerwca w Mediolanie. Dla czego Europa jest aż tak ważna dla chińskich firm?

Zdecydowanie Europa jest kluczowym rynkiem dla realme i innych producentów smartfonów. To bowiem technologiczne wyzyny dla każdej firmy. Innymi słowy: jeśli jakaś marka chce odnieść światowy sukces, to musi go najpierw osiągnąć w Europie. Z tego powodu Stary Kontynent jest bardzo wysoko na liście naszych priorytetów.

Jest jeszcze jeden powód, który jest szczególnie prawdziwy w przypadku naszej marki. Sądzymy bowiem, że produkty realme są świetnie dostosowane do potrzeb Europejczyków, którzy cenią sobie wydajność i wysoką jakość. Klienci w Europie potrafią błyskawicznie wyłuskać z rynku najlepsze produkty. Zamiarujemy więc coraz więcej inwestować na Starym Kontynencie i poszerzać liczbę naszych pracowników w Europie, aby lepiej rozpoznawać potrzeby europejskich klientów.

Dla wielu Europejczyków chińskie produkty są jednak synonimem towarów bardzo tanich, ale też bardzo kiepskiej jakości. Jak chcecie przekonywać, że akurat wy potraficie zrobić coś rzeczywiście dobrego?

Aby przekonać Europejczyków do naszej marki, kładziemy największy nacisk na dwa aspekty. Pierwszy i najważniejszy to oczywiście sam produkt, który musi być nie tylko bardzo dobry, on musi zachwycać. Nasza strategia zakłada więc wypuszczanie na rynek imponujących

smartfonów, dzięki czemu największą reklamę robią nam sami użytkownicy. Zwiększamy więc wydajność, ulepszymy wyświetlacz i sprawiamy, aby nasi klienci byli zadowoleni ze swoich telefonów. Dobrym przykładem są nasze najnowsze smartfony GT 6 i GT 6T, które zostały świetnie ocenione przez dziennikarzy technologicznych, a także naszych fanów. Udało nam się zaskoczyć rynek tym, jak dobry smartfon udało nam się wypuścić na rynek w tej półce cenowej.

Drugi aspekt to branding. Realme pozycjonuje się jako marka, która świetnie rozumie młodych użytkowników. Aby podbić serca młodych Europejczyków, inwestujemy więc w marketing lokalny oraz badania rynku, chcemy bowiem, aby zwłaszcza nasi młodzi klienci poczuliby. Wiemy np., że młodzi Europejczycy są bardzo aktywni w mediach społecznościowych, więc i my bardzo aktywnie w nich działamy, aby budować z nimi jak najbliższe relacje.

Każda firma mówi, że chce mieć innowacyjny produkt. Jak inwestujecie, skoro chcecie tworzyć smartfony, które pozwolą realme dostać się do czołowej trójki producentów w Europie?

Kluczowa część naszych wydatków to inwestycje w badania i rozwój. Pracownicy działu R&D stanowią już ok. 60 proc. wszystkich zatrudnionych w naszej firmie. Tylko podczas pracy nad nowym modelem GT aż trzykrotnie zwiększyliśmy liczbę inżynierów odpowiedzialnych za opracowanie jak najlepszego smartfona.

Jeśli zaś chodzi o polski rynek, to już teraz działa w Polsce lokalny zespół, który nie tylko zajmuje się marketingiem i sprzedażą, lecz także specjalizuje się w zbieraniu informacji o oczekiwaniach polskich użytkowników.

Jak ważny jest dla realme polski rynek?

Polski rynek jest dla realme niezwykle ważny, bo to jeden z pierwszych europejskich rynków, na które weszliśmy; to również wiodący rynek w Europie Wschodniej. Polska jest więc kluczem dla naszego dalszego rozwoju w regionie, stanowi więc znaczącą część naszej strategii na Starym Kontynencie.

W Europie koncentrujemy się obecnie na czterech kluczowych rynkach.

Są to: Polska, Włochy, Hiszpania i Bałkany.

W obecnym roku skupiliśmy się na tych czterech głównych rynkach i osiągnęliśmy dobre rezultaty. W najbliższej przyszłości będziemy dążyć do ekspansji na kolejne kraje, aby w końcu osiągnąć nasz główny cel: chcemy stać się marką znaną we wszystkich krajach świata.

Polscy konsumenci lubią nowe technologie i znają się na nich. To, w połączeniu z solidnym otoczeniem gospodarczym kraju, stanowi świetny grunt dla naszego wzrostu. Kluczem do sukcesu nad Wisłą jest zrozumienie i zaspokajanie potrzeb lokalnych konsumentów, utrzymywanie silnych partnerstw z lokalnymi operatorami komórkowymi i sprzedawcami detalicznymi oraz inwestowanie w budowanie marki poprzez wykorzystywanie nowoczesnych strategii marketingowych.

Jak konkretnie realme planuje zwiększać udział na rynku europejskim, a zwłaszcza w Polsce?

Nasza strategia ekspansji w Europie, w tym w Polsce, zakłada równoczesne działania na różnych płaszczyznach: ulepszanie oferty produktowej w celu zaspokojenia różnych potrzeb konsumentów, wzmacnianie relacji z głównymi klientami na rynku, a także zacieśnianie naszych relacji z kluczowymi operatorami telekomunikacyjnymi oraz wykorzystanie technologii cyfrowych i tradycyjnego marketingu w celu zwiększenia rozpoznawalności marki.

Dodatkowo zależy nam na błyskawicznym wprowadzaniu na rynek naszych najnowszych innowacji, dzięki czemu polscy konsumenci zyskają szybki dostęp do najlepszych globalnych technologii.

Jaki udział w rynku zamierzacie osiągnąć w Polsce?

Według najnowszych danych firmy badawczej Counterpoint za I kwartał 2024 r. realme znalazło się w pierwszej piątce na polskim rynku ze wzrostem rok do roku na poziomie 47 proc. Ten sukces pokazuje naszą dynamikę wzrostu i rosnące znaczenie w Europie.

Mamy nad Wisłą do zrealizowania bardzo ambitne cele. Do końca 2024 r. chcemy znaleźć się w gronie czterech największych marek smartfonów w Polsce z udziałem w rynku na poziomie

■ 12 proc. i sprzedaż na poziomie miliona egzemplarzy rocznie. W ciągu najbliższych trzech lat planujemy stać się jedną z trzech największych marek w Polsce.

Biorąc pod uwagę potrzeby polskiego rynku, skupiamy się obecnie na przedziale cenowym do 3 tys. zł, jednak realnie dąży do poszerzenia zakresu cenowego oferowanych nad Wisłą produktów. Chcemy wprowadzić na polski rynek również podstawowe produkty 4G z serii Note. Jednocześnie zamierzamy podbić rynek smartfonów ze średniej i wyższej półki i wprowadzać więcej produktów wysokiej jakości, takich jak seria realme digital czy seria GT.

Naszym groźnym konkurentem na polskim rynku jest Xiaomi. Chcemy jednak pokonywać konkurencję, wyznaczając nad Wisłą najwyższe standardy w branży, zwłaszcza w segmencie produktów ze średniej półki. Mamy nadzieję, że zacięta rywalizacja doprowadzi do zwiększenia liczby innowacyjnych rozwiązań.

Tak ambitne cele, które mamy w Polsce, wynikają nie tylko z naszej pewności siebie. Jesteśmy także mocno zaangażowani w to, aby bić na polskim rynku kolejne rekordy, których ustanowienie będzie możliwe dzięki temu, że koncentrujemy się na innowacyjnych technologiach i tworzeniu produktów atrakcyjnych zwłaszcza dla młodszej grupy demograficznej.

Czy to oznacza, że planujecie stworzyć jakąś serię smartfonów specjalnie na rynek polski?

Wprawdzie nasza globalna strategia produktu ma być zasadniczo zgodna z potrzebami polskiego rynku, ale zawsze jesteśmy otwarci na rozwój konkretnych produktów lub funkcji, które odpowiadają na unikalne preferencje lokalnych użytkowników.

Z naszych badań przeprowadzonych wśród polskich konsumentów wynika, że bardzo ważna jest dla nich fotografia smartfonowa. Tym samym zależy nam na zapewnieniu polskim konsumentom możliwości wykonywania wysokiej jakości zdjęć za pomocą modeli z serii Number, np. realme 12 Pro+ ze świetnym teleobiektywem czy GT 6, który daje użytkownikom możliwość wykonywania najlepszych – w swoim segmencie cenowym – fotografii nocnych. Bazując na doświadczeniach

ostatnich pięciu lat, nauczyliśmy się już, że ważnym punktem dla rozwoju naszej pozycji na rynku jest zapewnianie konsumentom jak najlepszych wrażeń z użytkowania smartfonów dostępnych w ramach ich budżetu.

Czy skoro Polska jest dla realme taka ważna, to planujecie jakieś inwestycje w naszym kraju?

Mamy już w Europie zespół profesjonalistów, który tworzy swego rodzaju europejską siedzibę naszej marki. Główny hub znajduje się w Hiszpanii, ale zatrudniamy też specjalistów w Polsce, którzy doskonale znają lokalny rynek. Jeśli chodzi o budowę w Polsce naszej fabryki, to na razie nie mamy takich planów, ale przyglądamy się popytowi i jeśli sprzedaż smartfonów nad Wisłą istotnie wzrośnie, to z pewnością będziemy chcieli zbudować w Polsce naszą fabrykę.

Różne chińskie marki, nie tylko realme, stają się w Europie coraz popularniejsze, bo oferują dobry stosunek ceny do jakości. Sądzi pan, że chińska ekspansja na rynku smartfonów przyczyni się do obniżenia cen również flagowców takich marek jak Samsung czy Apple?

Nie przykładamy aż tak wielkiej wagi do działań innych marek. Skupiamy się na tym, aby opracowywać jak najtańsze telefony, a także aby wprowadzać na rynek jak najlepsze produkty, które nie przekraczają określonego pułapu cenowego. Taka strategia pozwala nam zdobywać użytkowników, którzy w swoim budżecie mogą kupić smartfony, które wręcz przewyższają ich oczekiwania.

Krytycy różnych chińskich marek przekonują z kolei, że producenci z Chin mogą oferować tak tanio zaawansowane technologicznie produkty dzięki wsparciu rządu w Pekinie. Nie brakuje też ostrzeżeń dotyczących bezpieczeństwa danych. Jak chcecie przekonać Europejczyków, a zwłaszcza Polaków, że mogą bezpiecznie używać smartfonów realme, nie obawiając się, że ich wrażliwe dane będą przesyłane np. do władz w Pekinie?

Szczerze powiedziawszy, nikt mnie o to wcześniej nie pytał i nie wiem, dlaczego akurat takie obawy miałyby być jakkolwiek związane z produktami realme. Od początku istnienia naszej marki pozycjonujemy się jako koncern globalny. Nie chcemy ograniczać swojej działalności do konkretnego kraju czy regionu. Najpierw weszliśmy więc do Indii, potem do krajów

Azji Południowej-Wschodniej, a następnie do Europy. Mamy więc duże doświadczenie z użytkownikami z różnych krajów, nie tylko z Chin. Za każdym razem, gdy wchodzimy na nowy rynek, upewniamy się, że dobrze rozumiemy lokalne przepisy i że ściśle ich przestrzegamy. Każdy nasz telefon, zanim wejdzie na rynek, musi zyskać akceptację ze strony lokalnych władz, co powinno rozwiązać pańskie obawy.

Jesteśmy bardzo wyczuleni również na obawy ze strony lokalnych rządów oraz lokalnych użytkowników. Bardzo

Według danych Counterpoint za I kwartał 2024 r.

realme na polskim rynku osiągnął wzrost rok do roku na poziomie 47 proc.

dużo uwagi przykładamy także do ochrony danych i prywatności naszych klientów. Na przykład pracując ostatnio nad algorytmami sztucznej inteligencji (AI) w naszych nowych smartfonach, sprawdzaliśmy regularnie, jakie są w Europie najnowsze przepisy dotyczące AI.

W 2022 r. Indie podjęły wiele działań prawnych zaostrzających sankcje wobec chińskich producentów, którzy zdominowali indyjski rynek smartfonów. Nie obawiacie się, że wkrótce Bruksela również zacznie krytycznie patrzeć na to, w jakim tempie chińskie marki podbijają europejski rynek?

My jako koncern możemy jedynie robić, co w naszej mocy, aby ściśle przestrzegać lokalnych przepisów. Tylko nad tym mamy kontrolę.

Coraz więcej producentów smartfonów rozszerza swoją ofertę produktową nie tylko o telewizory, lecz także o samochody elektryczne. Czy realme pójdzie ich śladem i zamierza opracować auta pod swoją marką?

Zdajemy sobie sprawę, że samochody elektryczne to obecnie globalny hit. Oczywiście przyglądamy się temu zjawisku, ale obecnie skupiamy się na produkcji smartfonów. Nie wykluczam jednak, że w przyszłości, gdy stanemy się jeszcze większym koncernem, zajmimy się również produkcją e-aut.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kibicuję MOL-
-owi. I Saudom

Przez całe lata, ba, przez całe dekady, uwielbiałem kibicować Lotosowi w jego walce konkurencyjnej z Orlenem. A czasami, jak mnie coś naszło, kibicowałem Orlenowi w jego walce konkurencyjnej z Lotosem.

To była piękna, choć nierówna walka, bo zazwyczaj był w niej uprzywilejowany dużo potężniejszy Orlen, w której w dodatku zawsze – ZAWSZE – wygrywali wyłącznie Polacy. Przeważnie wygrywał Orlen, a przegrywał Lotos, choć czasami udawało się Lotosowi, wszelako niezależnie od tego, czy wygrywał polski Orlen czy polski Lotos, największymi polskimi zwycięzcami tej rywalizacji byli Polacy kupujący paliwo (i oczywiście inne oferowane produkty) na stacjach konkurujących ze sobą polskiego Orlenu i polskiego Lotosu. I dzięki tej rywalizacji kupujący to polskie paliwo odpowiednio taniej, a więc też kupujący go odpowiednio więcej, niż mogliby je kupić, gdyby było ono droższe, bo bez wymuszonej przez rywalizację obniżki cen.

No, ale potem przyszedł czas na miłośników państwowych monopolii i karteli, sceptycznie nastawionych do gospodarczej konkurencji, czyli polityków PiS, którzy postanowili unicestwić Lotos i go wyprzedzić, i w ten sposób tę i tak już mocno ułomną, średnio wolną grę sił rynkowych na rynku paliw zastąpić de facto monopolem Orlenu.

I – co za tym idzie, bo trudno zapomnieć benzynę po 5,99 zł do ostatniego dnia przed wyborami 15 października 2023 r. – zastąpić ją cenami paliw ręcznie sterowanymi w takt kampanii przedwyborczych zamiast ewoluującymi w rezultacie zmian ich cen na światowych giełdach oraz właśnie gry konkurencyjnej.

Dziś więc, pozbawiony przez PiS możliwości kibicowania polsko-polskiej rywalizacji na polskim rynku paliw, z konieczności muszę kibicować także obecnym u nas obcym koncernom. Czyli, po pierwsze, węgierskiemu MOL-owi, który wskutek wymuszonej przez Komisję Europejską (dzięki ci, Brukselo!) – w trosce o niedopuszczenie do pełnego zmonopolizowania polskiego rynku paliw przez Orlen – odsprzedaży części aktywów Lotosu kupił i przejął niemało stacji po tej firmie. A po drugie – od niedawna także saudyjskiemu Saudi Aramco, który właśnie zapowiedział, że zamierza rzucić wyzwanie Orlenowi i zbudować w Polsce wielką sieć swoich stacji paliw. I oby Saudyjczykom się to, i to jak najszybciej, udało – z ulgą dla portfeli polskich kierowców!

Tylko, na litość boską, czy naprawdę trzeba było likwidować polski Lotos, żeby teraz Polacy swą nadzieję na elementarną konkurencję na rynku paliw musieli pokładać w Węgrach i Saudyjczykach? Zamiast w Polakach z polskiego Lotosu? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Nullum crimen
sine lege

Nullum crimen sine lege – to jedna z najbardziej znanych i absolutnie fundamentalnych paremii zachodniej nauki prawa: nie ma przestępstwa bez przepisu. Jeśli danego czynu nie zakazano, to nie można za niego karać.

Zostawmy na boku sytuacje graniczne i klarowne moralnie, gdy wydaje się, że można tę zasadę zakwestionować. Gdyby bowiem potraktować ją w sposób skrajny, zgodnie z założeniami pozytywizmu prawnego, trzeba by uznać, że nie powinno się było karać hitlerowskich zbrodniarzy, którzy wszak działali legalnie.

**Najzabawniejsza,
a także
najtragiczniejsza
w tym wszystkim
jest rola
prokuratury**

Jeśli jednak chodzi o sprawy mniejszego kalibru, gdzie w grę nie wchodzi wartości zasadnicze, a więc przede wszystkim ludzkie życie – to zasada ta jest oczywista. Tymczasem można odnieść wrażenie, że politycy rządowej koalicji, ogarnięci szałem odwetu na poprzednikach (szałem, dodajmy, w wielu przypadkach cynicznie wystudio-

wanym i wyrachowanym), zapominają, że aby kogoś postawić przed sądem, należy najpierw wskazać, który przepis prawa złamał.

Możemy oceniać krytycznie to, jak skonstruowane były regulaminy funduszy, konkursów czy dotyczące ich regulacje ustawowe. Proszę bardzo, nowa władza może je zmienić (na razie jakoś specjalnie jej się do tego nie spieszy) – ma do tego pełne prawo. Ale jeśli te przepisy były, jakie były, i nie zostały naruszone – to jak można mówić o czyjejkolwiek odpowiedzialności?

Najzabawniejsza, a także najtragiczniejsza w tym wszystkim jest rola prokuratury. Rządzący standardowo podkreślają, że prokuratorzy są teraz „niezależni”, choć w systemie nic a nic się nie zmieniło. Nadal minister sprawiedliwości jest prokuratorem generalnym. Jego podwładni realizują kreowaną przez niego politykę. Są wśród nich zapewne tacy, którzy z inkwizytorskim szałem w oczach ochotczo podejmują się zleczanych im zadań i z tęsknotą myślą o swobodzie, którą posiadał prokurator Andrzej Wyszynski. Ale są i tacy, którzy siadają nad aktami, łapią się za głowę i nie wiedzą, jak napisać akt oskarżenia wobec polityka opozycji, skoro ten po prostu przepisów nie naruszył. Tym – współczuję. Choć tylko umiarkowanie. ©©

Glamour przy siatce

Mecze Igi Świątek ogląda się z zapartym tchem, podziwiając jej szybkość, precyzję, siłę, wdzięk... Nie mówiąc o kulturze na korcie u naszej cudownej dziewczyny: nie kłóci się z sędziami, nie wścieka się, nie rzuca rakietą. Osobiście ujmują mnie naturalna uroda Igi, brak tatuaży, paznokcie bez lakieru. Coraz rzadsze u kobiet na kortach...

Od zeszłego roku Igę ubiera szwajcarska marka On firmowana przez Rogera Federera. Jej stroje turniejowe są pomyślowe i nieprzekombinowane. W Miami nosiła biały komplet: spódniczkę i koszulkę z wzorem czerwonego paska asymetrycznie przecinającego białe tło spódniczki i góry. Do klasyki tenisowej projektant zrećnie wprowadził delikatny graficzny akcent. Z kolei czerwono-granatowo-białe komplety w Paryżu były ukłonem w stronę gospodarzy Roland Garros.

Można odetchnąć z ulgą, że kabaretowe, błyszczące przebrania siostr



Joanna Bojańczyk

Wielkie marki wpychają się na jeszcze niezagospodarowany teren. Na razie dyskretnie, ale już skutecznie. Gucci, Miu Miu, Casablanca, Loewe, Celine, nawet Chanel. Chcą wstrząsnąć dyskretnym, ale lekko przestarzałym kodem estetycznym tenisa

Williams nie straszą już na kortach; obawiałam się, że inni projektanci pójda śladem tych pretensjonalnych i niedostosowanych do okazji tenisowych strojów. Na szczęście tak się nie stało.

To nie znaczy, że tenis nie daje projektantom pola do inwencji. Wystarczy popatrzeć na świetny strój Naomi Osaki, zeszłorocznej mistrzyni US Open. W tym roku ubiera ją Nike we współpracy z japońskim projektantem Sacai. Kolekcja Nike/Sacai, której Osaka jest twarzą, będzie w sprzedaży od września. Buty

już są. Ubrania Sacai zaskakują oryginalnością: nieoczekiwane, a także nieprzesadzone.

SZYBKOŚĆ I MOC

W latach 20. ubiegłego wieku tenis zaczynał jako elegancki i elitarny sport dla zamożnych. Kort stanowił obowiązkowe wyposażenie podmiejskich rezydencji. Dla kobiet obowiązywały długie białe spódnice, dla panów – białe długie spodnie, koszula i krawat. Mam zdjęcie babci z lat 20., z ogrodu w ich

drewnianym domu w Jabłonie. Trzy panny: drewniane rakiety, długie suknie. Ciekawe, czy grały na punkty czy tylko tak sobie odbijały. Jedno jest pewne: tamtejsi czempioni drewnianej rakiety nie daliby rady wyrwać nawet jednego gema dzisiejszym turbograczom, np. Nadalowi czy Alcarazowi. Inna szybkość, inna moc.

Przewrót stylistyczny w ubraniu na korcie nastąpił dzięki Francuzowi Rene Lacoste i jego koszulce polo z karbowaną bawełną z logo krokodylka. Autor chyba nie spodziewał się, jaką karierę zrobi jego pomysł. Wtedy tenisista bez sztywnej koszuli i krawata to był przełom. Nareszcie!

W latach 70. Włosi triumfowali z markami Fila, Ellesse i Sergio Tacchini. Kto dziś to pamięta? W latach 80. na korty wchodzi lycra i kroje ubrań tenisowych mogą zbliżyć się do ciała, tenis czerpie także z ubrań cywilnych. Projektanci i gracze próbują różnych rozwiązań: Björn Borg nosi paski i kratki, buntowniczy i arogancki Andre Agassi – dzinsowe szorty i fluorescencyjną czapkę. Na kortach męskich wybuchy furii McEnroe'a zderzają się ze spokojem Borga. W tenisie kobiecym rywalizacja polityczna przybiera postać walki sportowej: Czeszka Martina Navrátilová mierzy się z Amerykanką Chris Evans. Dziś obie starsze panie są fachowymi komentatorkami turniejów, podobnie jak Mats Wilander, Wojciech Fibak, John McEnroe. Ten ostatni w nowej roli nie ma już powodów do zdenerwowania.

Gdy na scenę wchodzi tenis amerykański i potentat Nike, sytuacja się zmienia. Spectrum pomysłów i stylów tenisowych staje się ogromne. Biały kostium zostaje już tylko na Wimbledonie, potentaci – Asics, New Balance, Adidas, Nike, Lacoste – mierzą się na pomysły i innowacje.

W nowym tysiącleciu pojawiają się nowe gwiazdy. Federer i Nadal toczą homeryckie pojedynki, serwis osiąga zawrotną szybkość 200 km/h. Rywalizacja kibiców robi się tak zacięta jak w piłce nożnej. Stroje tych dwóch gladiatorów kortu obu ubranych przez Nike noszą znamiona ich stylu gry: Federer klasyczny, w koszulkach polo w stonowanych barwach, z elegancko wyhaftowanymi inicjałami; Nadal to bohater ludowy – w jaskrawej koszulce bez rękawów wygląda jak członek gangu z przedmieścia. Nawet zegarki wyrażają

kontrast osobowości: spokojny rolex na nadgarstku Federera i ekstrawagancki richard mille u Hiszpana.

Ci mistrzowie powoli schodzą ze sceny, żeby zrobić miejsce młodzieży, która czeka w blokach startowych. Siedemna-stolatki wchodzą do turniejów prosto z ekskluzywnych szkół tenisowych na Florydzie, w których rodzice zostawiają dziesiątki tysięcy dolarów w nadziei, że z dzieci zrobią Iłę Świątek albo kolejnego Djokovicia.

Gracze nowej generacji chcą popisać się grą, a także stylem. Nie zawsze wy-

Od zeszłego roku Iłę Świątek ubiera **szwajcarska marka On firmowana przez Rogera Federera**

chodzi. Trudno podziwiać Australijczyka Nicka Kyrgiosa w stroju koszykarza czy Rybakinę w bezbarwnych zestawach, ale niektórzy, jak Grek Tsitsipas o pięknej twarzy i dobrych manierach, trzymają styl godny tej eleganckiej gry.

WTARGNIĘCIE NA KORT

Gdy Instagram zarzucają zdjęcia z kortów, potentaci mody, wietrząc biznes, pchają się do gry. Czy ktoś mógłby sobie wyobrazić, że na kort Wimbledonu, który słynie ze ścisłego kodu ubrania, można wejść z torbą Gucciego? A takie entrées zrobił Yannic Sinner, Włoch.

Moda próbuje zawładnąć także tym terytorium i robi to na swój agresywny sposób. Stracić taką okazję? Wielkie marki wypychają się na jeszcze niezagospodarowany teren. Na razie dyskretnie, ale już skutecznie. Gucci, Miu Skinner, Casablanca, Loewe, Celine, nawet Chanel.

Pod koniec maja Annie Leibovitz fotografowała w Dolomitach najnowszą kampanię Louisa Vuittona. Kim są jej najnowsze gwiazdy? Rafael Nadal i Roger Federer, nie inaczej. Główną rolę w filmie „Challengers” gra Zendaya, najbardziej wzięta ostatnio aktorka. Proszę zgadnąć, kim jest jej postać? Zawodniczką tenisa oczywiście.

Intrygujące są próby wtargnięcia do tenisa marek, które nigdy nie miały nic

wspólnego z żadnym sportem, za to mają znany brand i pieniądze. Hugo Boss, Armani, Brunello Cucinelli, Uniqlo, Weston (francuska marka butów z wyższej półki). Tenis to dla nich ziemia obiecana. Do tego dochodzą tak modne obecnie współprace różnych marek i nazwisk. Sacai z Nike, marka mody ulicznej Kith z Wilsonem (od rakiet), Lacoste z firmą Sporty & Rich, Zara z Prince (też specjalista od rakiet).

Na mapie narodowości uczestników turniejów wielkoszlemowych znajdziemy Tunezję, Koreę, Argentynę, Rumunię. Ale o zawodnikach z Kuwejtu, Arabii Saudyjskiej czy Kataru jak dotąd nie słyszano.

Nic straconego. Oto Ammar Alhaqbani, Saudyjczyk, nowe nazwisko w tym niewielkim kręgu. Na razie w rankingu WTA jest skromnym numerem 1580, za to w Arabii Saudyjskiej jest numerem jeden. Petrodolary mogą wszystko – także z kraju, który kojarzono z piłką nożną, zrobić kraj tenisa. Grunt to pozyskać odpowiednich ludzi. Szefem Saudyjskiej Federacji Tenisowej został zatem Rafael Nadal; świetna oferta dla świetnego gracza, a także veterana, który za chwilę będzie schodził z kortu. Jego zadanie to zorganizować w Arabii Saudyjskiej trzy najbliższe turnieje kobiece Masters WTA. Już wcześniej w pokazowych meczach saudyjska publiczność mogła oglądać mecze Tunezyjki Ons Jabeur, Serba Novaka Djokovicia czy Hiszpana Carlosa Alcaraza.

Zważywszy, że sponsorem turniejów będzie saudyjski fundusz inwestycyjny, można przypuszczać, że sowite nagrody przyciągną zarówno zawodników, jak i media oraz sponsorów. „Jest u nas wielki zapal do tenisa” – powiedział tygodnikowi „Paris Match” Hirmane Abdoulhakime, założyciel konta The Ace Club na Instagramie, który wcześniej zorganizował turnieje młodzieży Next Generation w Dżuddzie.

Ciekawe tylko, jak w Dżuddzie będzie ze strojami na korcie. Czy powrót do długiej spódnicy? Trudno sobie też wyobrazić tenisistki grające w chustach. Grywałam intensywnie w tenisa, gdy mieszkalam kiedyś w Kuwejcie, i z krótkimi spódniczkami nie miałyśmy kłopotu. Jednak od tej pory świat islamski się radykalizował.



Jacek Pałkiewicz

Jest kilka ważnych rzeczy, o których powinni pamiętać początkujący podróżnicy

W 1987 r. leciałem z Jurkiem Kukuczka do Katmandu, gdzie czekała go zimowa wspinaczka na Annapurnę. Jedliśmy w samolocie Aerołotu zimnego kurczaka i popijaliśmy go gruzińskim winem. W pewnym momencie mój przyjaciel wpatrzony w pojawiający się pod nami, pokryty wiecznymi śniegami słynny „Dach Świata”, gdzie stykają się górskie giganty – Himalaje, Karakorum, Pamir i Hindukusz – wyszeptał: „Jacek, ja to już tam jestem o jeden krok”. Zdziwiony zapytałem, co ma na myśli. Okazało się, że po raz pierwszy w swojej karierze nie miał finansowych kłopotów, zatem mógł perfekcyjnie, w każdym szczególe, przyszykować swoją wyprawę. Stąd i pewność sukcesu.

Często powtarzam, że nawet najbardziej banalny wyjazd powinien być każdorazowo przemyślany i sumiennie przygotowany. W mojej bibliotece, pośród książek Melville’a, Londona, Arseniewa, Fidlera, Saint-Exupéry, stoi na półce „The Art of Travel” Francisca Galtona, wydana jeszcze w 1872 r., w bujnym okresie eksploracji afrykańskich. Autor, wiceprezes Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, zebrał doświadczenia wielu podróżników, usystematyzował je i wydał nieocenione kompendium. Zabierali je wówczas w drogę wszyscy udający się w odległe krainy. Dla mnie to vademecum też stanowiło niegdyś biblię.

Z sentymentem oglądam dzisiaj jego pożółkłe kartki. Oprócz planowania i organizacji podróży, zasad przetrwania w różnych sytuacjach są tam uwagi dotyczące wyposażenia, higieny w klimacie tropikalnym i inne wartościowe lekcje dla wagabundy. Wytarte egzemplarze przewodników zostały skazane na zagładę. Wyparł je Internet umożliwiający „surfowanie po sieci” i dostęp do każdej informacji błyskawicznie aktualizowanej oraz do niezależnych opinii turystów

Jak zorganizować wyjazd na wakacje?



FOT. ARCHIWUM AUTORA

o hotelach czy restauracjach. A laptop i telefon komórkowy pozwalają na zgłębianie tych informacji w każdej chwili w dowolnym miejscu.

Pamiętam scenę, która zakrawa na anegdotę. Na jacht stojący w weneckiej przystani wszedł gość w średnim wieku z workiem żeglarskim w jednej ręce

i książką „Moby Dick” w drugiej. Zadowolony z siebie wyznał skipperowi: „Mój znajomy księgarz radził mi ją przeczytać, na wypadek spotkania z wielorybami”. Wspominam nieraz ten obrazek, przygotowując się do kolejnej wyprawy. Utrzymuję, że dobrym źródłem informacji o celu podróży mogą być wszelkie

publikacje. Chociaż są i tacy, którzy mniemają, że dopiero po powrocie do domu powinno się zapoznać z lekturą, która pozwoli przeżyć ponownie doświadczenie. Twierdzą, że jednak lepiej jest wcześniej poznać historię kraju i panujące tam zwyczaje. Dlatego nie tylko studiuję przewodniki, lecz także czytam książki podróżnicze, powieści czy reportaże związane z danym regionem.

CO PRZECZYTAĆ?

Ktoś, kto wybiera się do Afryki, nie może nie przeczytać „Śniegów Kilimandżaro” Ernesta Hemingwaya czy pierwszych powieści Wilbura Smitha. Planując urlop na Polinezji, powinien zapoznać się z lekturą R.L. Stevensona i Somerset Maughama, a jadąc do Amazonii – z książkami Arkadego Fiedlera, które wnoszą sporo wartościowych informacji antropologicznych.

Podczas przygotowań do wojażu – i nie ma znaczenia, czy trudnego czy łatwego – nigdy nie opuszcza mnie reguła sześć razy „P”: Perfekcyjne Planowanie Poprzedzające Podróż Podstawą Powodzenia. Zrozumiałe, że nie wszystko można przewidzieć. Prawie zawsze po drodze trafiają się jakieś niespodzianki. Trzeba wtedy zaakceptować nowe realia i dostosować się do nich. Nie wolno trzymać się sztywno ustalonego programu i starać się realizować go za wszelką cenę. Na taką sytuację służy plan B, chociaż nie zawsze jest zalecany czy możliwy. Arnold Schwarzenegger, który jest inspiracją dla setek tysięcy miłośników sportów siłowych, zawsze stawiał wszystko na jedną kartę. „Zapomnij o planie B. Jeśli wiesz, co chcesz osiągnąć w życiu, to nie potrzebujesz siatki ochronnej – podkreśla do dzisiaj. – Takie podejście może negatywnie wpłynąć na realizację celu, bo potrafi osłabić”. Ja podczas samotnego rejsu przez Atlantyk też musiałem zastosować tę zasadę, ale z innego powodu. Nie miałem kontaktu ze światem zewnętrznym. Wtedy wyjście z opresji zależy od własnej elastyczności.

Nieraz zarzucano mi, że w mojej „pruskiej” organizacji peregrynacji ryzykuję utratę spontaniczności i entuzjazmu. To nieprawda. Broni mnie w tym Phil Cousineau, który w swojej książce „Sztuka pielgrzymki” pisze: „Przygotowania nie przytłaczają spontaniczności i szansy

zaskakujących odkryć. Początkujący wędrowcy muszą zdawać sprawę, jakie sytuacje, trudności i obawy mogą ich oczekiwać po drodze. Świadomość jest oczywiście dużo ważniejsza od pełnej optywizmu ignorancji”.

Sumienne opracowanie programu wcale nie zabrania improwizacji i elastyczności. John Steinbeck pisał w „Podróży z Charleyem”: „Po zaprojektowaniu wakacji zaopatrzyliśmy się w ekwipunek i wyruszyliśmy z domu, natykając się na wciąż nowe realia”. Podróż, safari, eksploracja są czymś niepowtarzalnym, nie ma dwóch takich samych. I wszystkie projekty, zabezpieczenia, gwarancje czy ograniczenia nie mają znaczenia. Po latach zmagania zdajemy sobie sprawę, że to nie my wyruszyliśmy w drogę, lecz wędrowka zagłębiła się w nas. Cenne bywa źródło „z drugiej ręki”. Ktoś, kto niedawno wrócił, zawsze wniesie dużo świeżych i praktycznych informacji. Oczywiście będą to oceny i opinie osobiste, a ponieważ sentyment czy uprzedzenia mogą zniekształcić czyjeś wspomnienia, dobrze jest dokonać własnej analizy.

OD CZEGO ZACZĄĆ

Ktoś, kto decyduje się na pierwszy samodzielny wyjazd za granicę, powinien zacząć od małych kroków, a nie myśleć o podboju świata. Lepiej jest pojechać do kraju łatwiejszego do przemieszczania się, posiadającego wygodniejszą infrastrukturę. Odradzam też pierwsze wyjazdy do nazbyt atrakcyjnych miejsc, bo kolejne cele byłyby odebrane z mniejszym entuzjazmem.

Po podjęciu decyzji o destynacji trzeba ustalić datę wyjazdu, trasę i środki transportu. Stopień trudności będzie zależeć od odporności fizycznej i psychicznej, od posiadanego doświadczenia. W długiej wędrowce nie zawsze będzie możliwe dotarcie w najlepszej klimatycznej porze. Bywa, że kiedy na wybrzeżu jest upalnie, na odległym o 100 km płaskowyżu temperatura staje się akceptowalna. Osobiście zwracam uwagę na to, kiedy nie powinno się jechać. Nie radzę wyruszać na pustynię Kara-kum w sierpniu, bo panuje tam wtedy nieludzki żar. Odradzam Afrykę Zachodnią od marca do czerwca, bo z powodu ulewnych deszczów drogi stają się nieprzejezdne. Nie wybiera się na Karaiby od czerwca

do listopada, bo to okres huraganów. W Peru od stycznia do kwietnia opady blokują trekkingowy szlak inkaski.

Zwykle wyjeżdżamy na urlop w sezonie turystycznym, czyli w okresie korzystnym ze względów klimatycznych. Wtedy jest wszędzie tłoczno i drogo. Ale jeśli ktoś zdecyduje się na wyjazd poza sezonem, to może liczyć na niższe ceny, większy luz w samolotach i hotelach, krótsze kolejki w muzeach i – co ważne – nie musi dbać o dokonywanie różnych rezerwacji. Trafienie na wielkie upały czy polarne zimy nie należy do przyjemności. Dlatego najlepszym okresem może być początek bądź koniec sezonu, kiedy jest względnie korzystna pogoda i nie ma tłumów.

Podstawowe znaczenie w przygotowaniach ma dobór ekwipunku. A uzależniony jest on przede wszystkim od charakteru wyjazdu, środka transportu, regionu geograficznego czy strefy klimatycznej, do której się udajemy. Bagaż powinien zawierać niezbędne minimum i być w miarę lekki, ograniczony objętościowo i łatwy w transporcie. Nie jest to zadanie łatwe, bo cokolwiek by wziąć, to i tak okaże się, że jest za dużo zbędnych rzeczy.

Przed każdą dłuższą podróżą należy zbadać swój stan zdrowia i odwiedzić dentystę. W przypadku chorób przewlekłych trzeba pamiętać o zabraniu ze sobą wystarczającej ilości leków. I nie przegapić szczepień.

Jechać samotnie czy w towarzystwie? To nie zawsze łatwa decyzja. Wojażując samodzielnie, łatwiej jest zagłębić się w nowe realia, otworzyć się na obcych, zawrzeć nowe znajomości. Smak wolności i niezależność pozwalają na łatwą korektę programu. Także wyjazd w towarzystwie ma swoje plusy. Ze znajomymi można dzielić radość, trudności czy strach. A także koszty. Świadomość obecności drugiego człowieka zwiększa poczucie wzajemnego bezpieczeństwa. Tematem, którego nie wolno lekceważyć, jest koszty. Nakreślona kwota nigdy nie będzie zbyt wysoka i preliminarz opracowany na wyrost okaże się zwykle niewystarczający. Pomyślnych wojaży!

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywcą źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarnie jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzychylnych środowiskach.
Jest autorem kilkudziesięciu książek.

KIA EV9



FOT. PAP

EV9 to flagowiec, który miażdży stereotypy. I chociaż samochody elektryczne można lubić albo nie, to obok tego giganta nie sposób przejechać, a tym bardziej nie sposób przejść obojętnie. Model, dzięki któremu południowokoreański koncern zdobył jednocześnie tytuły Światowego Samochodu Roku 2024, Światowego Auta Elektrycznego oraz Światowego Kobiecego Auta roku 2024, przyciąga wzrok kierowców i przechodniów futurystyczną, potężną sylwetką, przypominając skrzyżowanie czołgu z luksusowym SUV-em (auto ma ponad 5015 mm długości, 1980 mm szerokości i 1780 mm wysokości).

Przepastne wnętrze powinno się bardzo spodobać rodzinom. Ergonomicznie zaprojektowana i wykończona dobrej jakości materiałami kabina pozwala bowiem na długie, komfortowe podróże

(niezwykle wygodne są tu np. zagłówki przednich foteli). Luksusowo niczym w saloniku jest także na tylnych siedzeniach. Na pochwałę zasługuje również system multimedialny. Trzy ekrany (dwa o przekątnej po 12,3 cala oraz jeden 5,3-calowy) umieszczono za jedną taflą szkła. Kierowca ma też do dyspozycji duży, kolorowy wyświetlacz HUD.

W Polsce Kia oferuje model EV9 w dwóch wariantach: z silnikiem o mocy 203 KM oraz napędem na jedną oś oraz wersję o mocy 384 KM i napędem na wszystkie łapy. W obu przypadkach akumulator ma 99,8 kWh pojemności i objęty jest siedmioletnią gwarancją (po jej upływie jego wydajność powinna wynosić jeszcze co najmniej 70 proc.).

Testowaliśmy mocniejszą wersję. 384 KM i maksymalny moment obrotowy wynoszący aż 700 Nm sprawia, że ważący ponad 2,5 tony gigant

od zera do setki przyspiesza w zaledwie 5,3 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 200 km/h.

Podczas jazdy nie czuć ogromnej masy auta, które naprawdę przyjemnie się prowadzi. Prześwit o wielkości 177 mm sprawia, że auto nadaje się też do jazdy poza ubitymi szlakami. Można też wybrać tryb jazdy w śniegu, błocie lub na piasku. I chociaż pięciometrowy gigant do najtrudniejszych wypraw offroadowych się nie nadaje, to do luksusowej leśniczówki spokojnie dojedzie.

A co z zasięgiem? Kia EV9 w testowanej wersji może w cyklu mieszanym przejechać teoretycznie nawet 505 km. I przy oszczędnej jeździe to realny wynik. Szybkie ładowanie pozwala naładować baterię tego giganta od 10 do 80 proc. w niecałe 25 minut.

Auto ma praktycznie zaprojektowany bagażnik o pojemności ponad 820 l. Przy rozłożonych siedzeniach trzeciego rzędu pojemność kufra wynosi zaś 333 l (wciąż nieźle).

EV9 jest napakowane systemami wspomagającymi kierowcę. Na wąskich warszawskich miejscach parkingowych przydaje się np. możliwość autonomicznego wjazdu na miejsce parkingowe (już bez kierowcy w środku).

W przypadku tego modelu można zapomnieć o stereotypie „taniej kijanki”. Najtańsza wersja EARTH o mocy 203 KM i teoretycznym zasięgiem wynoszącym 563 km kosztuje 323,9 tys. zł. Za sześciomiejscową wersję GT-Line z silnikiem o mocy 384 KM trzeba już zapłacić co najmniej 375,9 tys. zł. Wystarczy jednak dorzucić panoramiczny dach oraz oceaniczny lakier i na fakturze będzie już ponad 386 tys. zł. ©

SMARTFON MOTOROLA EDGE 50 PRO

Świetny ekran z częstotliwością odświeżania na poziomie 144 Hz, oryginalne wzornictwo, bardzo szybkie ładowanie przewodowe i bezprzewodowe, klasa ochrony IP68, łączność 5G – to największe zalety „flagowca” ze średniej półki firmy Motorola.

Smukły smartfon o wadze 186 g wygląda elegancko (w wersji czarnej) albo oryginalnie (w wersjach lawendowej i perłowej). Na ogromnego plusa zasługuje zakrzywiony wyświetlacz pOLED o przekątnej 6,7 cala i rozdzielczości 2712 x 1220. Uwagę zwracają wysoka maksymalna częstotliwość odświeżania (144 Hz), HDR10+, a także ostry obraz (446 ppi), świetne kolory i kontrast oraz dość wysoka jasność maksymalna (2000 nitów).

Do wrażenia premium ma również przekonywać przyjemnie perfumowane pudełko. Niby miły gest, ale wolałbym, aby twórcy z Motoroli skupili się np. na wydajności niż na ulotnych zapachach. Sercem urządzenia jest bowiem osmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 7 Gen 3 z GPU Adreno 720, który współpracuje z 12 GB pamięci RAM. Na dane producent przewidział 512 GB, z czego użytkownik ma do dyspozycji ok. 493 GB. Z takimi podzespołami Edge 50 Pro daleko do flagowców, a dużo bliżej do telefonów ze

średniej półki. Statystyczny Kowalski może tego wprawdzie nie dostrzec, ale np. gracze mogą być rozczarowani.

Co ze zdjęciami? Główny aparat fotograficzny ma 50 Mpix rozdzielczości, przysłonę f/1,4 i laserowy autofokus. Zrobione nim zdjęcia są ostre, pełne detali i dobrze oddają kolory. Na pochwałę zasługuje nawet jakość fotografii zrobionych nim w nocy. Dużo gorzej w słabych warunkach radzi sobie aparat ultraszerokokątny, choć nim z kolei w dzień można zrobić bardzo dobre zdjęcia makro. Przydatny jest też teleobiektyw.

Po stronie plusów trzeba zapisać również głośniczki, które grają głośno i czysto, choć jak na smartfonowe głośniki przystało, ich brzmienie jest płaskie i pozbawione głębokiego basu.

Akumulator ma 4500 mAh pojemności. Smartfon obsługuje szybkie ładowanie przewodowe (o mocy 125 W) i bezprzewodowe (50 W) oraz bezprzewodowe ładowanie zwrotne (10 W), co może być szczególnie przydatne podczas wakacyjnych wypadów. Plusem jest również to, że w pudełku nadal znajduje się ładowarka, a do tego jest to superszybka ładowarka TurboPower.

Wady? Poza wydajnością ponarzekać można na jakość filmów wideo. Za takie pieniądze powinna być już lepsza. Cena: 2699 zł. ©



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Bramy miejskie i triumfalne

Ozdobne bramy jeszcze w XVIII w. bywały wizytówką miasta. W Polsce zachowało się ich wiele; nawet gdy rozbierano przestarzałe i niepotrzebne średniowieczne mury, nieliczne bramy pozostawiano dla piękna oraz kontroli wjeżdżających i wyjeżdżających.

Z dawnych bram miejskich ocalało kilka. Przede wszystkim Floriańska w Krakowie, przepiękny zabytek sztuki fortyfikacyjnej, pochodzący z przełomu wieków XIV i XV, jednak wielokrotnie przebudowywany – ostatni raz w 1498 r., jak podaje Joachim Bielski. Brama tworzyła całość z Barbakanem (o którym pisaliśmy już kiedyś), uniemożliwiającym bezpośredni atak, a zwłaszcza ostrzał wrót. Bramy Floriańskiej bronił

cech kuśnierzy krakowskich. Przetrwała niemal cudem. Najpierw chciano ją zburzyć razem z całymi murami obronnymi Krakowa, jednak odcinek ten ocalał w 1817 r. prof. Feliks Radwański, profesor Akademii

Krakowskiej, udowadniając, że chroni ona przed niebezpiecznymi wiatrami wiejącymi od strony Kleparza. Po raz drugi planowano ją wyburzyć pod koniec stulecia i na początku XX w., kiedy przeprowadzono przez jej wrota linię tramwajową.

Drugą ocalałą bramą ostrołukową jest Opatowska w Sandomierzu, jedyna z czterech, które prowadziły kiedyś do miasta. Wzniesiona w czasach Kazimierza Wielkiego jako część fortyfikacji miejskich została przebudowana i ozdobiona attyką w XVI w. Pod koniec XIX w. była przegniła, brakowało w niej



FOT. DOWEN PUBLICZNA

podłóg i schodów. Brama wzniesiona została z cegły, ale jej węgly wzmocnione są kamieniem, ogólnie sposób jej budowy przypomina ratusz miejski, dlatego Gloger podaje, że zapewne obie budowle są dziełem tego samego mistrza.

Kolejnym zachowanym przykładem bramy miejskiej jest Krakowska w Lublinie. Ciekawym, bo pokazuje się na niej, jak kończyły w XIX i na początku XX w. mury i średniowieczne fortyfikacje miejskie. Jeśli ich nie wyburzono, to zostawały one po prostu otoczone „obrośnięte” zabudową miejską, a mury wykorzystywano jako elementy kamienic i domów. Budowla została zbudowana w XIV w., być może w 1342 r., odrestaurowana przez Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1787 r., później w XIX w. dbało o nią miasto, gdyż była przydatna. W dolnej części znajdowały się kramy kupieckie, na kolejnych kondygnacjach: mieszkanie dla trębacza i zegar. Były tam także obrazy – św. Antoniego, a od Przedmieścia – Niepokalanego Poczęcia oraz św. Michała i Floriana. W XIX w. dobudowano do niej żelazną galerię dla straży ogniowej.

W XVII w. i później nie budowano już okazałych, ciężkich bram obronnych, na uwagę zasługują jednak ocalałe nieliczne pamiątki baroku – bramy triumfalne wznoszone na powitanie królów i władców, a także dla upamiętnienia doniosłych wydarzeń. Przykładem tego były bramy wzniesione w 1646 r. w Gdańsku na powitanie Marii Ludwiki, świeżo poślubionej królowi Władysławowi IV. Wierchołek pierwszej z nich wyobrażał tęczę, wspierał ją figury Atlasa i Herkulesa, a dołem widać było Gdańsk. Ciekawe, że wewnątrz figur znajdowali się ukryci ludzie, którzy nadawali im ruch. Atlas krzyknął ponoć na powitanie: „Vivat rex”, a Herkules: „Vivat regina” i kiedy królowa wjeżdżała do miasta, obracali się, śledząc ją wzrokiem. Drugą bramę zdobyli posągi królów polskich, na samej górze znajdowała się figura królowej, na bramie, oprócz bezliku posągów, była także galeria, gdzie grała liczna kapela muzyków i śpiewaków.

Z bram triumfalnych nie ocalały prawie żadne. Wyjątkiem jest ta zachowana w Podzamczu Chęcińskim, w części wsi Starocheć, na końcu alei prowadzącej od dworu starostów chęcińskich (obecnie jest to Centrum Nauki Leonarda da Vinci). Istnieją dwie wersje powstania tego obiektu: pierwsza, że został wzniesiony na początku XVII w. jako wotum Stanisława z Ruszczy, który upamiętnił w ten sposób odebranie kościoła franciszkańskiego arianom. Druga mówi, że zbudował ją strażnik koronny, wojewoda sandomierski Stefan Bidziński, znany dowódca i zagończyk, na powitanie króla Jana III Sobieskiego w 1683 r. lub... na przeprosiny, ponieważ wcześniej, w czasie wyprawy wiedeńskiej, pan strażnik omal nie stał się sprawcą klęski armii polskiej pod Parkanami. ©



RYS. MART



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czarne jagody

Czerwiec właśnie minął, zawsze jest to dla nas wyjątkowy czas, ponieważ wtedy w naszej rodzinie co tydzień obchodzimy urodziny lub imieniny. I dobrze, bo miesiąc ten, jak żaden inny, sprzyja świętowaniu. Już jest ciepło, już są świeże warzywa i owoce, a jeszcze nie porozjeżdżaliśmy się na wakacje. Poza tym takie letnie przyjęcie dość łatwo zorganizować, bo w cukierniach pojawia się wyjątkowy przysmak, który lubią wszyscy – jagodzianki! Dodatkowo w lodziarniach uśmiechają się do nas przepyszne lody jagodowe. Jeśli zrobione są na śmietanie – to nie ma lepszego letniego deseru!

Czarne jagody zawsze będą nam się kojarzyć z ciepłym i słonecznym latem. Doskonale pamiętamy wakacyjne wyjazdy w Bieszczady. W GS-ach niewiele było do jedzenia, ale można było wtedy dostać doskonale ukwaszoną śmietanę albo kefir i chleb. Chodziłyśmy więc na górskie polany i zbierałyśmy całe kosiaki jagód, które potem zjadałyśmy z chlebem i ze śmietaną. A jak jeszcze udało się zdobyć cukier, to już w ogóle był luksus! Takie wspomnienia na zawsze pozostają

w pamięci, dlatego zabierajcie swoje dzieci lub wnuki w góry, by przeżyły prawdziwą przygodę!

Czarne jagody, oprócz tego, że są bardzo smaczne, w dodatku są bardzo zdrowe. To cenne źródło antocyjanów, fenoli, przeciwutleniaczy i garbników. Antocyjany mają zdolność modyfikowania celów komórkowych i tkankowych, przez co działają korzystnie na organizm. Ogólnie rzecz ujmując, wszystkie czerwone i ciemnofioletowe owoce warto jeść dla poprawienia zdrowia i układu naczyniowego – wzmacniają one bowiem naczynia krwionośne, zmniejszają ryzyko zwapnienia żył i potencjalnie obniżają ciśnienie. Mają wpływ na obniżenie złego cholesterolu oraz mogą przyczynić się do redukcji rozwoju komórek rakowych. Samo dobro.

Korzystajmy zatem z lata i zjadajmy się jagodami, bo w dodatku są niskokaloryczne i poprawiają wzrok! Aha! I proszę pamiętać, aby przed jedzeniem dokładnie umyć owoce pod bieżącą wodą. A jak podawać? Najprościej, jak się da – polać śmietaną i posypać cukrem. ©©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Najpiękniejsze wakacje

Dom stał w górach Beskidu Żywieckiego. Z Zawoju można było dojechać utwardzoną drogą tylko pierwszy kawałek, dalej grzecznościowo zaprzyjaźniony góral podwoził furmanką. Na drabiniasty wóz ładowało się toboły: torby, koce, śpiwory, pościel, garnki, ręczniki, butle z gazem, weki z cielęciną. Cielęcina, dziś rarystas, wtedy jedynie dostępne mięso, niecierpiany przymus. Wszystko, co konieczne, żeby przetrwać lato. Na towarze siedziały dzieci, uszczęśliwione z takiej jazdy. Trzeba było czasem zejść, gdy droga stawała się zbyt stroma i błotnista.

Na górę tabor docierał często, jak już było ciemno, bo taką gromadą nigdy nie dawało się z Warszawy wyjechać na czas. Zawsze ktoś coś zabradziażył, zapomniał. Więc na polanie przed domem, przyświecając sobie latarkami, rozkładaliśmy materace. Już nadmuchane kładło się na czterech łóżeckach, które tylko dziecko mogły pomieścić. Dorośli na ziemię. Ogarnąć trochę łoś z kurzu i pajęczyn, przepędzić myszy.

My spaliśmy w kąciaku kuchennym: obok sklecona półka, na niej kubeł z wodą i kuchenka gazowa. Dwie niezbyt czyste żarówki zwiisały z sufitu. Pod sufitem na kiju przywiązane wisały sery i kiełbasa, jeśli była. Ochrona przed myszami, które i tak sobie z tym radziły.

Dom na Szczurkówce wynajmowaliśmy na wakacje przez kilka lat. Właściciele

wyprowadzili się do nowo wybudowanego, stary wynajmowali. Dwie izby i sieni, na dachu strzecha. Parę łózek i szafa zostały po właścicielach; stół na krzyżakach skłeciło się z desek. Stał na zewnątrz pod wielką starą lipą i tam się jadało. Wodę przynosiło się ze studni, która niestety znajdowała się poniżej domu. Toaletom służyły miska do mycia oraz łopatką, którą wręczano potrzebującym. Tak wyposażeni udawali się do lasu z instrukcją: zakopać jak najgłębiej, pokryć mchem.

Zresztą czystością nikt się za bardzo nie przejmował. Dzieci częściej bywały brudne niż czyste.

Po aprowizację szło się z plecakami do wsi na dół. Po mleko dzieci szły rano z bańką do pobliskiego gospodarstwa. Uroczystości rodzinne świętowaliśmy w Zawojance, gdzie można było zjeść najlepszego w świecie, usmażonego na smalcu schabowego z kapustą i kapuśniakiem, lokalnie zwany kwaśnicą.

Czterdzieści lat minęło. Nie ma już Szczurkówki. Dom został kupiony przez jakichś ludzi, rozebrany, na jego miejscu postawiono nowy. Zawojanki nie ma. Są nowe drogi, nowe domy powstają wokół w stylu nowoczesnym.

Zostały wspomnienia po najpiękniejszych wakacjach, których nie zastąpi żaden pięciogwiazdkowy hotel. Taras z widokiem na morze niech się schowa przed widokiem na Tatry i Babią. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Polityka narracyjna

Powolutku po eurowyborach kształtują się trzy dominanty polskiej polityki, a raczej jej wersji opowiadanej.

Po pierwsze, włożenie nas przez Brukselę w procedurę nadmiernego deficytu to, moim zdaniem, dar (nie-bios?) dla Tuska. Straszanie tym okropnym PiS powoli się wyczerpuje i naród uśmiechniętej wersji Polski zaczął się rozglądać za innymi niż narracyjne rezultaty zmiany władzy. No, skoro już zośmiogwiazdkowaliśmy tych Kaczorów, to pora na jakieś namacalne efekty. A tu wszyscy mówią, że budżet jest źle policzony, ba – nawet jego deficyt od Morawieckiego zaplanowany na 2024 r. został jeszcze powiększony, już jako wkład nowego rządu, a dochody państwa spadają. Trzeba będzie więc przyciąć kasę i krok Brukseli „zmusi” nas do szukania oszczędności, a wszystko zrzuci się na dzie-dzictwo PiS, czyli będzie to sprzedawane jako kukułcze jajo od tych, którzy przegrali. Kasy nie ma i nie będzie przez PiS, nawet kilka lat po tym, jak już przestał rządzić, i nie trzeba się będzie tłumaczyć z tego, co się samemu nabroiło.

Drugi element to migranci. Tu będzie też na Unię, ba – nawet się wytłumaczy, że to też przez PiS, choć tak naprawdę ta dyrektywa migracyjna to wynik pierwszej wizyty świeżego premiera Tuska w Brukseli, który pojechał tam ją klepnąć w ter-

minie, żeby regulacja weszła jeszcze przed niepewnymi wyborami do Parlamentu Europejskiego. Efekty tych regulacji już powoli widzimy, a to dopiero początek – w drodze do modelu Szwecji, o której mówi się co prawda nie jako o kraju upadłym, ale straconym. Tu też nasi władcy wytłumaczają, że to Kaczory, a kto będzie protestował, że to nie rozwiązuje problemu, ten skończy jako rasista.

Trzecią dominantą na dalszą opowieść o polskiej rzeczywistości będzie rozwinięcie już sygnalizowanego szukania PiS-owskiej ośmiornicy, która rozpełza się po organach państwa i szkodzi za węgla. To będzie też dwusieczny miecz. Z jednej strony dla ultrasów uciecha gonienia pisiorów i ich doginania, z drugiej, dla mniej wyrwanych, acz pytających – wytłumaczenie dla wszelkich porażek.

Wszystkie te elementy spaja jedno – ich wyłącznie narracyjny kontekst. Nie są to bowiem działania dotyczące realnego wpływu na rzeczywistość inną niż percepcyjna, tylko plany dotyczące sposobu wytłumaczenia się z niewygodnych dla ludu i niepopularnych dla władzy zjawisk. Zjawisk, które wywołała sama władza – czy to przez zaniechanie, czy to przez bierność, czy służalczość w realizowaniu zewnętrznych scenariuszy. Żyjemy w czasach polityki narracyjnej. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Wnuk na kursie i na ścieżce

Wydanej w 2005 r. książce o zagadnieniach wojny psychologicznej i wojny informacyjnej kremlowski strateg, były oficer służb sowieckich Vladimir Lisiczkin, pisze o roli, którą w narodzie odgrywa wspólna pamięć historyczna. Ponieważ głównym celem wojny psychologicznej jest doprowadzenie ludności wrogiego państwa do stanu, w którym będzie działało wbrew własnym interesom – przeciwko sobie, należy zniszczyć wszystko, co buduje spójność społeczną. Według Lisiczkina operacje wojny psychologicznej powinny doprowadzić do erozji wspólnotowej pamięci historycznej. Historia, według sowieckiego stratega, jest fundamentem cementującym w narodzie poczucie jedności. Nawet przedstawiciele konkurujących ze sobą na co dzień obozów politycznych w ocenie wydarzeń z przeszłości, np. wielkich zwycięstw, są zgodni. Czerpią tak samo poczucie dumy z osiągnięć przodków. Wymazując lub niszcząc dobre imię bohaterów z jednej strony, a z drugiej, relatywizując haniebne czyny zdrajców, dokonuje się dekonstrukcji wspólnotowego fundamentu.

Przypominam dziś tezy z książki Lisiczkina w kontekście tego, co wydarzyło się w Muzeum II Wojny Światowej. Przywrócony po ośmiu latach przez ministra Sienkiewicz nowo-stary dyrektor Rafał Wnuk dokonuje działań, które wpisują się w scenariusz

suflowany przez sowieckiego stratega. W nocy z 24 na 25 czerwca, jak poinformował prezes IPN Karol Nawrocki, „z wystawy głównej Muzeum zostali usunięci Polscy Bohaterowie: rtm. Witold Pilecki, św. o. Maksymilian Kolbe, po błogosławionej rodzinie Ulmów została czarna ściana”. W odpowiedzi na tę bulwersującą informację dyrekcja muzeum, bez cienia żenady, oświadcza: „Zamierzamy przywrócić spójność całej wystawy, zapowiadamy więc dalsze kroki w tym kierunku”.

Pamiętam, że tym, co stanowiło o „spójności” Wnukowego scenariusza wystawy stałej, był tzw. krytyczny stosunek do przeszłości nazwany przez dyrekcję, w odróżnieniu do wizji „apologetycznej”, wizją „refleksyjną”. Rzecz w tym, że tak rozumiana wizja refleksyjna z jednej strony pomniejszała lub w ogóle pomijała bohaterów i postawy heroiczne Polaków, a z drugiej relatywizowała winę Niemców. Historia to nie tylko wizje i refleksje, lecz także, a może przede wszystkim fakty, liczby, statystyki. Zamiast bredzenia o autonomii twórców i autorskich wizjach historyków (realizowanych za ogromne publiczne środki) przypomnijmy, że istnieje Prawda. W sytuacji, gdy stoimy w obliczu realnej, zbrojnej agresji, zakłamyjąc przeszłość, eliminując przykłady poświęcenia i bohaterstwa, pomniejsza się motywacje Polaków do narażania życia w obronie wspólnoty i ojczyzny. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie drażnić Niemców

Donald Tusk po wnikliwej analizie sondaży na specjalnej konferencji prasowej obiecał: CPK jednak powstanie. Stop. Słowa te zostały wpisane do XII tomu „Obietnic zebranych Donalda”. Stop. Sprzedaż ekskluzywnego wydania w skórze na pergaminie planowana jest jesienią, trwają zapisy. Stop.

W związku ze zbliżającymi się podwyżkami cen gazu i prądu rządzący proponują... zmianę definicji gwałtu. Stop. Skracając i upraszczając: teraz trzeba będzie udowodnić, że miało się zgodę drugiej strony na tego owego, przy czym projekt ustawy nie precyzuje, czy ma to być zgoda poświadczona przez notariusza, wpisana w aplikację rządową mObywatel czy wystarczy pójść np. do Żabki i przy świadkach wydyskutować lekko wyuzdaną formułę. Stop. Najdalej poszła profesor Uniwersytetu Warszawskiego, walcząca feministka Monika Płatek, która proponuje, żeby zgoda na seks była koniecznie wyrażana entuzjastycznie. Stop. Zdrowie psychiczne polskiego społeczeństwa zostaje poddane ciężkiej próbie. Stop.

Wyjaśniono tajemnicę rugowania z polskich szkół poety Jarosława Marka Rymkiewicza. Stop. Otóż kilkanaście lat temu udzielił wywiadu, w którym powiedział: „Istnieją, tuż obok siebie, dwie Polski, a jeśli istnieją dwie Polski, to muszą też istnieć dwa narody Polaków. Te narody oddzieliły się od siebie i zaczęły wieść

życie osobne kilkaset lat temu. Jeden to naród patriotów, drugi – naród kolaborantów”. Stop. Ten nieinkluzywny i nietęczyowy język sieje tylko zamęt, a najgorsze, że refleksje. Stop. Na co to komu?

Okazuje się, że niemiecka policja dość regularnie przywozi nam od siebie bez żadnego trybu niedawnych mieszkańców Afryki, wysadza po naszej stronie granicy, po czym odjeżdża. Stop. Ale niech państwo nie myślą, że nie reagujemy i że jesteśmy bezsilni wobec zbrojeńskich działań Niemców! Stop. My wyrażamy oburzenie stanowczo i to niejedną raz!

Posłanka Lewicy Paulina Matysiak chciała zrobić coś dla Polaków ponad podziałami. Stop. Z posłem PiS Marcinem Horałą, byłym pełnomocnikiem rządu do spraw Centralnego Portu Komunikacyjnego, chciała założyć stowarzyszenie „Tak dla Rozwoju”. Stop. Partia Razem odcięła się od działań Matysiak i zagroziła jej dyscyplinarką. Stop. W polskiej polityce nie chodzi o dobro Polski i obywateli, tylko o skoki do gardeł. Stop.

Muzeum II Wojny Światowej wyrugowało z wystawy głównej polskich bohaterów: rtm. Pileckiego, św. Maksymiliana Kolbego i rodzinę Ulmów. Stop. Jako uzasadnienie muzeum podało, że te postacie „zaburzały antropologiczny charakter narracji”, co na swój prymitywny użytek przetłumaczyłem: drażniły Niemców. © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Olimpijczyk ery Wodnika

Niezwykle kontrowersje towarzyszyć będą występom holenderskiego siatkarza plażowego Stevena van der Velde na zbliżającej się olimpiadzie w Paryżu. Zawodnik ten właśnie otrzymał kwalifikację olimpijską i reprezentować ma Holandię na rozgrywanych tego lata igrzyskach. Jak donosi sportowa prasa, zawdzięcza miejsce na olimpiadzie sukcesom w rozgrywanych ostatnio zawodach. Steven i jego sportowy partner notowani są jako drugi zespół siatkówki plażowej w Holandii i 11. na świecie.

Sportowa kariera Holendra mogła wydawać się zakończona, kiedy w roku 2016 sąd w Wielkiej Brytanii skazał go na karę czterech lat więzienia za gwałty dokonane na poznanej w Internecie 12-letniej dziewczynce. W roku 2014 19-letni wtedy Steven van der Velde poznał swoją ofiarę na portalach społecznościowych. Po kilku miesiącach przyjechał do Wielkiej Brytanii, pod nieobecność opiekunów upił swoją ofiarę, a następnie dopuścił się na niej serii gwałtów. Jak ustalono w sądzie, Holender zdawał sobie sprawę z wieku dziewczynki. Przed powrotem do Holandii 19-latek doradził dziewczynce użycie tabletki „dzień po”, ponieważ nie stosował z nią żadnych zabezpieczeń. Wizyta dziecka w klinice „planowania rodziny” zaalarmowała jej pracowników, którzy

powiadomili władze. Jak podsumował w uzasadnieniu wyroku sędzia: „Młode, naiwne, głupie dziecko dało sobie wmówić, że jest kochane. W rzeczywistości znałeś ją tylko przez Internet, nigdy wcześniej nie spotkałeś i doskonale zdawałeś sobie sprawę z dzielącej was różnicy wieku”. W następstwie zdarzenia ofiara gwałtu dokonywać zaczęła dokonywać samookaleczeń i podjęła próby samobójcze.

W Holandii van der Velde odsiedział tylko jedną czwartą zasądzonej kary, opuszczając więzienie po 12 miesiącach. Jak komentował holenderski związek siatkówki, głównym celem sportowca po opuszczeniu więzienia miało być „ulożenie sobie życia”, nie zaś kontynuacja kariery.

Miedzynarodowy Komitet Olimpijski znany jest ze wsparcia udzielanego sportowcom „trans” chcącym uczestniczyć w kobiecych kategoriach sportowych. Jako jedna z czołowych instytucji opartych duchem „woke” komitet angażuje się w liczne działania o charakterze „antydiskryminacyjnym”. Jak głosi Karta Olimpijska: „Celem olimpizmu jest, aby sport służył harmonijnemu rozwojowi człowieka, z wizją propagowania miłującego pokój społeczeństwa i poszanowania ludzkiej godności”. Uczestniczący w igrzyskach sportowcy powinni być, zgodnie z zasadami olimpizmu, „wzorem takich postaw”. © ©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Na gałęzi

Przez pięć dni w tygodniu wykształcony mieszkaniec wielkich miast polskich, np. Warszawy, stoi w korkach bez szemrania, najwyżej narzekając na rolników, którzy gdzieś tam blokują drogi. Nie uważa, że częściej przeszkadzają mu w drodze jakiś maraton, półmaraton lub rajd rowerowy, a zwłaszcza rozkopane już trzeci rok centrum miasta. Przyzwyczaił się, że wszystkiemu winien PiS, więc myśli pewnie, że i w stolicy ma przeciw sobie rządy tej partii. W niedzielę lub święto mieszkaniec ten wsiada na swój wypasiony rower i ćwiczy mięśnie rąk oraz nóg, ale znów nie mięśnie móżgu. Powiada: „Mieszkam

kojarzy się najwyżej z meczem reprezentacji i odśpiewaniem hymnu. Wtedy łąza się w oku zakręci, można ją podlać piwkiem lub przekąsić chipsami przy telewizorze. Naród się zjednoczy, a jak „nasi” przegrają, to się zaśpiewa „Nic się nie stało”.

Złośliwa przesada? Nie, tak żyje 60 proc. ludności naszego kraju, które przespało ostatnie wybory. Przypomina się opowieść o człowieku, który wlaź na drzewo i piłował gałąź, na której siedział. Ktoś mu mówił: „Chłopie! Zlecisz!”, ale ten zwymyślał go od ciemnogrodu lub „elity”, więc sobie poszedł. Przechodzień wraca, a chłop leży na ziemi i dziwi się: „Co ty, prorok jakiś?”. Ten

ło się ok. 42,5 proc. wyborców, a reszta chciała jedynie odsunąć PiS od władzy oraz akceptowała nazywanie obrońców granic „śmieciami”, usuwanie krzyży i wraz ze swymi „psieckami” wyśmiewała PiS-owską „piątkę dla zwierząt”. W eurowyborach procent wyborców myślących o polskiej racji stanu wzrósł do ok. 48 proc. Dobrze i to. To pewnie skutek niesmaku z powodu chuligaństwa rządzących, kłótni w koalicji 13 grudnia lub aresztowań wśród obrońców granic. Postęp jest, ale przy tym tempie trudno myśleć o naszej przyszłości optymistycznie.

Można się pocieszać przyrostem zdrowego rozsądku naszych wyborców o 5,5 punktu procentowego, ale radość tę burzy jeszcze jedna obserwacja. Otóż jeśli się porównuje ostateczny wynik wyborów z wynikami na podstawie exit poll, czyli deklaracji głosujących, to widać, że ci, którzy wzięli pod uwagę powagę sytuacji, nie byli z tego dumni, a nawet się do tego nie przyznali. Proszę bardzo: wyborcy Koalicji Obywatelskiej byli z siebie dumni – deklarowali 37 proc. i tyle wyszło ostatecznie. Wyborcy PiS deklarowali, że jest ich 34 proc., a było ich 36 proc. Wyborcy Konfederacji deklarowali, że jest ich 11 proc., a było ich 12 proc. Wyborcy Trzeciej Drogi rozbiegli się gdzieś – deklarowali, że jest ich 11 proc., a było zaledwie niecałe 7 proc. Gdzie oni poszli? Może do Koalicji Obywatelskiej, ale chyba głównie do Konfederacji. Może trochę bardziej ogarnęli sytuację? Tak czy inaczej, chyba się wstydzili. Jedyne, co może naprawdę pocieszyć, to to, żeby ten wstyd rozlał się szerzej. © ©

W ostatnich wyborach sejmowych przeciw „resetowi” w stosunkach z Rosją, napływowi migrantów, zwalczaniu rolnictwa i rządowi Berlina wypowiedziało się ok. 42,5 proc. wyborców. Reszta chciała jedynie odsunąć PiS od władzy oraz akceptowała nazywanie obrońców granic „śmieciami”

w Warszawie, żyję w Europie”. Duma z przynależności do elity przesłania mu takie błahostki, jak obrona granic czy wychowanie dzieci. Jak przyjdzie wróg, to będzie uciekać.

Mniej wykształcony mieszkaniec mniejszego miasteczka lub wsi zajęty jest także swoimi sprawami, a obrona granic czy wychowanie dzieci są zbyt oderwane od jego codzienności. Najwyżej powie: „Oni to zawsze” lub zapyta: „A co ja mogę z tym zrobić?”. Ktoś z jego znajomych pojechał może nawet ciągnikiem na protest, ale on lub ona mają ważniejsze sprawy na głowie. W obydwu przypadkach słowo „Polska”

sen wyborców może się zemścić na nas wszystkich, bo sytuacja, w której Polska się znajduje, jest naprawdę poważna.

Cóż jednak myśleli ci z obywateli, którzy głosowali? Mieli do wyboru refleksję nad sensownością polityki klimatycznej Unii, perspektywą jej centralizacji pod przewodnictwem Niemiec oraz szaleństwami obyczajowymi. Bardzo to zawiłe sprawy, ale jeśli się głosuje, to chyba trzeba choć trochę się w tym rozeznawać. I coż widzimy? W ostatnich wyborach sejmowych z października 2023 r. przeciw „resetowi” w stosunkach z Rosją, napływowi migrantów, zwalczaniu rolnictwa i rządowi Berlina wypowiedzia-

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Prezydent Duda wrócił z Chin i pochwalił się, że załatwił Polakom ruch bezwizowy. A co sobie z tej okazji załatwiły Chiny? Bezwizowy wjazd do Polski? No to zrobiliśmy koszmarny interes – Polak w Chinach nie jest zagrożeniem dla chińskiego państwa. Chińczyk w Polsce, owszem, jest. Polak, gdy wjedzie do Chin nawet bez wizy, jest stale inwigilowany, wiedzą dokładnie, kto przyjechał, gdzie przebywa, słyszą każdą rozmowę telefoniczną i widzą wszystko, co przechodzi przez sieć wi-fi. Znają nasz alfabet i mają odpowiednią liczbę osób znających język polski.

Gdy Chińczyk wjedzie do Polski, sytuacja jest odwrotna. Nie znamy alfabetu, nie mamy wystarczającej liczby ludzi w służbach, którzy znają język chiński, nie podsłuchujemy rozmów telefonicznych i nie wiemy, co przechodzi przez sieć wi-fi.

Dodatkowo każdy co do jednego Chińczyk wyjeżdżający za granicę jest urzędowo zobowiązany szpiegować na rzecz Chin. Było o tym głośno w USA kilka lat temu – Amerykanie zorientowali się poniewczasie, że każdy obywatel Chin przebywający na ich terenie jest operacyjnym źródłem informacji dla chińskich służb. Każdy.

Gdy zaczęto o to pytać chińskich studentów, byli zdziwieni, że kogoś to może szokować – przecież w Chinach to normalne, że się donosi, donosicielstwo jest sformalizowane, istnieją urzędowe procedury donosicielstwa i w ogóle donosicielstwo to patriotyczny obowiązek. Amerykanów zatkało. Do dziś nie wiedzą, co z tym robić, i chyba uznali, że to po prostu część chińskiej



FOT. W. CEJROWSKI / ITD / JAROSŁAW SOSNICKI

kultury. A przecież powinni natychmiast anulować wszystkie wizy wydane Chińczykom i odesłać ich do domu.

Chiny są potężne i nie kryją swych imperialnych celów. Te cele są zapisane w oficjalnych dokumentach ze zjazdu Komunistycznej Partii Chin. Doktryną na wiek XXI jest przejęcie panowania nad światem z rąk Amerykanów i Europejczyków. To doktryna ofensywna. Każdy interes z Chinami należy traktować jako ZAGROŻENIE. Szczególnie gdy jest to interes słodki finansowo. Masz się skusić na tę ich forsę po to, by oni mogli zapanować nad światem.

Przykład: chińskie firmy i korporacje wykupiły masę ziemi w USA. Dawały dobrą cenę, nawet za nieużytki, więc sprzedający zacierali ręce, gdy udało im się pozbyć za dobre pieniądze terenów mało wartościowych. A potem ktoś zrobił mapę, gdzie pozaznaczał na czerwono chińskie posiadłości rolne w USA, i nałożył na to drugą mapę wziętą ze stron Pentagonu – okazało się, że chińskie parcele otaczają strategiczne instalacje militarne, bazy i poligony, magazyny broni i laboratoria wojskowe. A potem ktoś nałożył na to kolejną mapę z inwestycjami kanadyjskimi, gdy się okazało, że te kanadyjskie korporacje zostały wykupione przez Chińczyków. To nie jest teoria spiskowa, lecz sprawa, o której demokraci i republikanie mówią wspólnym głosem: KOŁOSALNE ZAGROŻENIE.

Chińskie zagrożenie jest jawne, a my zdajemy sobie z niego sprawę, lecz mimo to nie podejmujemy działań zabezpieczających. Przykład: chińska grupa telekomunikacyjna Huawei jest na Zachodzie postrzegana jako zagrożenie bezpieczeństwa, mimo to ani w UE, ani w USA telefony i inne urządzenia tej firmy nie zostały zakazane. Służby informują o zagrożeniu, politycy przyjmują te informacje do wiadomości, media je publikują, a potem... nic.

Oficjalna doktryna Chin to pokonać Zachód i przejąć panowanie nad światem. Oficjalna doktryna Unii Europejskiej to zacieśniać współpracę handlową i gospodarczą z Chinami – powiedziała to niedawno Ursula von den Leyen. Jak się ma jedno do drugiego? Chiny planują nas pokonać i przejąć panowanie, a my mimo to chcemy z nimi współpracować? Ktoś chce cię podbić, a ty mu w tym pomagasz.

Polska Agencja Prasowa donosi, że chińskie patrole policji będą pilnowały porządku na Węgrzech. Gdy zobaczyłem tę informację, pomyślałem, że w PAP kłamią, bo nie lubią Orbána. Potem znalazłem to samo w wielu innych źródłach omawiających wizytę chińskiego dyktatora Xi w Budapeszcie. Orbán tłumaczy, że ma to być wsparcie do ochrony chińskich turystów, których jest coraz więcej. Podobną umowę Chiny podpisały wcześniej także z Serbią.

Chiński patrol policyjny w Europie oznacza obce formacje siłowe na terenie NATO. W dodatku formacje wroga. Dziś to jest ochrona chińskich turystów, jutro będzie ochrona chińskich inwestycji, a potem ochrona węgierskiego rządu, który chroni interesy chińskie.

W trakcie majowych protestów rolniczych w Warszawie były obecne patrole policji niemieckiej. To oburzające. Poprzednio byli tu w trakcie wojny. Tusk zamienił RP w GG. No ale po Tusku się takich rzeczy spodziewamy, natomiast Orbán wydawał się do tej pory sensowny i inteligentny.

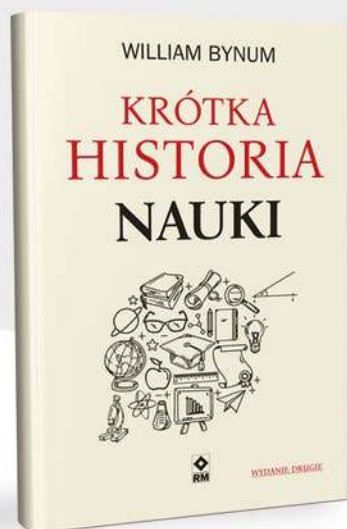
Gdy czytam o wizycie prezydenta Dudy w Chinach, widzę, że nikt go do niej nie przygotował. Pojechał chłop w przekonaniu, że jedzie z normalną wizytą dyplomatyczną, taką samą jak wszędzie indziej. Czy przeczytał cokolwiek na temat chińskiej kultury i wartości, którymi oni się kierują? Czy wiedział, na co zwracają uwagę, w co wierzą, a w co nie? Czy wiedział o takim drobiazgu, żeby się nie uśmiechać, bo dla Chińczyków uśmiech i nasz serdeczny wyraz twarzy oznacza zdenerwowanie i uległość? Duda tego NIE wiedział albo to zlekceważył.

Kluczową fotografię ze spotkania Duda-Xi zrobił Pedro Pardo z agencji Associated Press. Widać na nim Dudę, który chwytą za oparcie krzesła, aby je sobie przesunąć. Xi patrzy na to z góry, jakby zobaczył SŁUGĘ. W Chinach czekasz, aż ci twoje krzesło przesunie ktoś niżej postawiony; nigdy nie robisz tego sam. Z naszego punktu widzenia rzecz bez znaczenia. Z chińskiego punktu widzenia informacja kluczowa: Polska pokazała, że ma mentalność wasala. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~854~~ ZŁ

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WILLIAM BYNUM:
„KRÓTKA HISTORIA NAUKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

403,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 451 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 422403adc8

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



SEKRETY POTĘGI HUSARII

Szarże nie do powstrzymania – Wyszkolenie, nieprawdopodobnie wysokie morale i doskonałe uzbrojenie dawały husarzom olbrzymią przewagę nad wrogami

Towarzyszy wzloty i kłopoty – Jacek Komuda o dniu powszednim skrzydatego jeźdźcy

Czarna seria Mosadu – Incydent w Lillehammer uruchomił kaskadę fatalnych dla Izraela zdarzeń

Afgańska klęska imperium brytyjskiego – Ekspedycja Macnaghena była największą porażką poniesioną w XIX w. przez imperium brytyjskie. W całej sprawie mocno namieszał młody Polak

Każń cichociemnego – Bolesław Kontrym przed wojną bezpardonowo bronił polskiej granicy przed Sowietami. Po aresztowaniu przez UB ślad po „Żmudzinie” urywa się na blisko cztery lata

Cesarz spod Złotej Bramy – Ostatni władca Bizancjum osobiście bronił murów Konstantynopola

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**